

# OSTATNIA MISJA GWENDY

STEPHEN  
KING

RICHARD  
CHIZMAR

ALBATROS



OSTATNIA  
MISJA  
GWENDY



STEPHEN KING &  
RICHARD CHIZMAR

ILUSTRACJE  
KEITH MINNION

Z ANGIELSKIEGO PRZEŁOŻYŁA  
DANUTA GÓRSKA

**ALBATROS**  
Wydanie elektroniczne

## OSTATNI TOM TRYLOGII „PUDEŁKO Z GUZIKAMI”

Gwendy, dwunastolatka, która na Schodach Samobójców w Castle Rock spotkała tajemniczego mężczyznę i dostała od niego dziwne pudełko, stała się dojrzałą kobietą. Może o sobie powiedzieć, że osiągnęła sukces: jest znaną pisarką i zasiada w Senacie. Trudno powiedzieć, na ile zawdzięcza to sobie, a na ile tajemniczym mocom pudełka, które dwukrotnie pojawiło się w jej życiu.

A teraz otrzymuje je po raz trzeci. I to nie dlatego, że ma się nim zaopiekować. Wręcz przeciwnie – musi się go pozbyć, bo siły zła próbują przejąć nad nim kontrolę.

Gwendy miała już okazję przekonać się, co się może zdarzyć, jeśli pudełko dostanie się w niepowołane ręce. Wie również, że próba zniszczenia go na Ziemi może się skończyć katastrofą.

Czując ciężar odpowiedzialności, podejmuje się misji ocalenia świata... być może nie tylko tego, który zna.

Pozostałe części cyklu z Gwendy Peterson

PUDEŁKO Z GUZIKAMI GWENDY

MAGICZNE PIÓRO GWENDY

Tytuł oryginału:  
GWENDY'S MAGIC FEATHER

Copyright © Richard Chizmar 2019

Wstęp © Stephen King 2019

All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2022

Polish translation copyright © Danuta Górka 2022

Redakcja: Marek A. Ostrowski

Ilustracja na okładce: © Ben Baldwin 2019

Ilustracje w książce: © Keith Minnion 2019

ISBN 978-83-8215-912-7



Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://Facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://Instagram.com/wydawnictwoalbatros)

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Konwersja do formatu EPUB oraz MOBI

Katarzyna Rek

**woblink**

woblink.com

# SPIS TREŚCI:

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24  
Rozdział 25  
Rozdział 26  
Rozdział 27  
Rozdział 28  
Rozdział 29  
Rozdział 30  
Rozdział 31  
Rozdział 32  
Rozdział 33  
Rozdział 34  
Rozdział 35  
Rozdział 36  
Rozdział 37  
Rozdział 38  
Rozdział 39  
Rozdział 40  
Rozdział 41  
Rozdział 42  
Rozdział 43  
Rozdział 44  
Rozdział 45  
Rozdział 46  
Rozdział 47  
Rozdział 48  
Rozdział 49  
Rozdział 50  
Rozdział 51  
Rozdział 52  
Rozdział 53

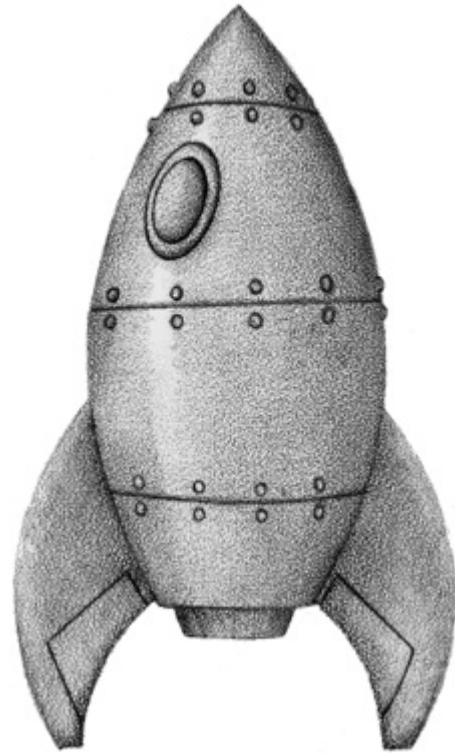
Epilog

O autorach

Ilustratorzy



*Marshowi DeFilippo,  
przyjacielowi kilku pisarzy*



W PLAYALINDA NA FLORYDZIE, NIEDALEKO od Cape Canaveral, jest piękny, słoneczny dzień. Mamy rok Pański 2026 i tylko niewiele osób w tłumie stojącym po wschodniej stronie jeziora Max Hoeck Back Creek nosi maseczki. Większość z nich to starsi ludzie, którym trudno się od tego odzwyczaić. Koronawirus wciąż jest obecny, niczym natrętny gość, który nie chce wyjść z przyjęcia, i chociaż istnieją obawy, że zmutuje i szczepienia okażą się nieskuteczne, na razie został powstrzymany.

Kilka osób w tłumie – znowu ci starsi, którzy nie mają już tak dobrego wzroku jak kiedyś – używa lornetek, ale większość nie. Statek stojący na polu startowym Playalinda to największa załogowa rakietka, jaka kiedykolwiek wzbiła się z Matki Ziemi; z pełnym ładunkiem waży ponad dwa tysiące ton, ma więc wszelkie prawa do drugiego członu swojej nazwy: Eagle-19 Heavy. Mgła oparów przesłania górne piętnaście metrów studwudziestometrowego kosmolotu, ale nawet ci ze słabym wzrokiem mogą odczytać trzy litery z boku:

T

E

T

Kiedy wybuchają wiwaty, ci z lepszym słuchem mogą się przyłączyć. Jeden z mężczyzn – dostatecznie stary, żeby pamiętać trzeszczący głos Neila Armstronga, oznajmiającego, że Orzeł wylądował – ze łzami w oczach i gęsią skórka na opalonych, kościstych ramionach odwraca się do żony. To Douglas „Dusty” Brigham, a jego żona – Sheila Brigham. Dziesięć lat wcześniej odeszli na emeryturę i przeprowadzili się do miasteczka Destin, ale oboje pochodzą z Castle

Rock w stanie Maine. Sheila była dawniej dyspozytorką w biurze tamtejszego szeryfa.

Z oddalonego o dwa i pół kilometra poligonu raketowego korporacji TET wciąż dochodzą wiwaty. W uszach Dusty'ego i Sheili brzmią słabo, ale po drugiej stronie jeziora z pewnością są głośne, ponieważ czaple zrywają się białą koronkową chmurą z porannego miejsca wypoczynku.

– Wystartowali – mówi Dusty do swojej pięćdziesięciodwuletniej żony.

– Niech Bóg błogosławi naszą dziewczynkę – odpowiada Sheila, robiąc znak krzyża. – Niech Bóg błogosławi naszą Gwendy.

OŚMIU MĘŻCZYŹN I DWIE KOBIETY idą gęsiego po prawej stronie budynku kontroli misji TET. Oddziela ich ściana z pleksiglasu, ponieważ od dwunastu dni odbywają kwarantannę. Technicy wstają od komputerów i klaszczą. To już tradycja, ale dzisiaj również wiwatują. Na zewnątrz oklaski i wiwaty podejmie tysiąc pięciuset pracowników TET (z naszywkami *Rakietowi Dżokeje TET* na koszulach, marynarkach i kombinezonach). Każda załogowa misja kosmiczna to wielkie wydarzenie, ale ta jest jeszcze bardziej wyjątkowa.

Przedostatnia w szeregu jest kobieta o długich włosach, siwych, zebranych w kucyk, prawie całkiem schowany pod wysokim kołnierzem skafandra ciśnieniowego. Twarz ma wciąż piękną, bez zmarszczek, chociaż wokół oczu i w kącikach ust widać cienkie linie. Kobieta nazywa się Gwendy Peterson, ma sześćdziesiąt cztery lata i za niecałą godzinę będzie pierwszym czynnym senatorem USA, który polecą rakieta na nową stację kosmiczną MF-1. (Co bardziej cyniczni wśród politycznych kolegów Gwendy twierdzą, że MF oznacza pewien kazirodczy akt seksualny, ale naprawdę to skrót od Many Flags – Wiele Flag).

Załoga na razie niesie hełmy w rękach, więc dziewięcioro z nich może machać wolnymi rękami, dziękując za oklaski. Gwendy – technicznie również członek załogi – nie może machać, jeśli nie chce pomachać małą stalową kasetką, którą trzyma w drugiej ręce. A nie chce.

Zamiast tego woła:

– Kochamy was i dziękujemy! To następny krok na drodze do gwiazd!

Oklaski i wiwaty przybierają na sile. Ktoś krzyczy: „Gwendy na prezydenta!”. Kilka innych osób podejmuje ten okrzyk, ale niezbyt wiele. Gwendy jest

popularna, ale nie aż tak popularna, zwłaszcza na Florydzie, która po ostatnich wyborach znowu stała się republikańska.

Załoga wychodzi z budynku i wsiada do tramwaju z trzema wagonikami, który zawiezie ich do Eagle Heavy. Gwendy musi wyciągać szyję we wzmocnionym kołnierzu skafandra, żeby dojrzeć czubek rakiety. Czy ja naprawdę w tym polecę? – zadaje sobie pytanie, nie po raz pierwszy.

Na siedzeniu obok wysoki biolog o rudawych włosach nachyla się do niej i mówi zniżonym głosem:

– Jeszcze możesz się wycofać. Nikt nie będzie ci miał za złe.

Gwendy śmieje się, nerwowo i zbyt piskliwie.

– Jeśli w to wierzysz, to pewnie wierzysz też w Świętego Mikołaja i Wróżkę Zębuszkę.

– Racja. Ale nie przejmuj się, co ludzie pomyślą. Jeśli masz jakieś obawy, jakiegokolwiek, że po odpaleniu silników zaczniesz świrować i wrzeszczeć: „Czekajcie, stać, rozmyśliłam się!”, zrób to teraz. Bo jak już silniki odpalą, nie ma powrotu i nikt nie potrzebuje na pokładzie spanikowanej polityczki. Ani spanikowanego miliardera.

Patrzy na wagonik przed sobą, gdzie jeden z mężczyzn wierce dziurę w brzuchu dowódcy. W białym ciśnieniowym kombinezonie facet przypomina maskotkę reklamową Pillsbury Doughboya.

Trzy wagoniki zaczynają się toczyć. Mężczyźni i kobiety w roboczych kombinezonach żegnają załogę oklaskami. Gwendy stawia stalową kasetkę na podłodze i mocno przytrzymuje ją stopami. Teraz może machać.

– Dam radę. – Nie jest tego całkiem pewna, ale powtarza sobie, że musi. Musi. Z powodu kasetki, która na obu bokach ma napisy wypukłymi czerwonymi literami ŚCIŚLE TAJNE. – A ty?

Biolog uśmiecha się i Gwendy uświadamia sobie, że nie pamięta jego imienia. Trenowali razem przez cztery tygodnie, zaledwie parę minut wcześniej sprawdzali

nawzajem swoje kombinezony, zanim opuścili strefę zamkniętą, ale nie pamięta, jak facet się nazywa. To ND, jak mawiała jej nieżyjąca matka. Niedobrze.

– Dam radę. To będzie mój trzeci lot, a kiedy rakieta zaczyna się wznosić i przeciążenie wgniata mnie w fotel... To najlepszy orgazm dla chłopaka, w każdym razie dla mnie.

– Dzięki, że mi powiedziałaś – mówi Gwendy. – Na pewno zamieszczę to w swoim pierwszym meldunku na dół. – Tak nazywają Ziemię, na dole, to pamięta, ale jak się nazywa ten cholerny biolog?

W kieszeni skafandra ma notes z różnymi informacjami – nie wspominając o bardzo specjalnej zakładce. Są tam nazwiska wszystkich członków załogi, ale oczywiście Gwendy nie może teraz wyjąć notesu, a nawet gdyby mogła, prawie na pewno wzbudziłoby to podejrzenia. Ucieka się do techniki, której nauczył ją doktor Ambrose. Mężczyzna obok niej jest wysoki, ma kwadratową szczękę, błękitne oczy i strzechę rudoblond włosów. Wesoło szczerzy zęby, wygląda przyjaźnie jak wielkie kudłate psisko. Owczarek albo bernardyn...

Bern. Tak się nazywa. Bern Stapleton. Profesor Bern Stapleton, który przypadkiem jest również majorem Bernem Stapletonem w stanie spoczynku.

– Proszę, nie – rzuca Bern.

Gwendy jest pewna, że chodzi mu o porównanie z orgazmem. Nie ma kłopotów z pamięcią krótkotrwałą, przynajmniej na razie.

No... prawie.

– Żartowałam. – Poklepuje go po ręce w rękawicy własną rękawicą. – I nie martw się, Bern. Poradzę sobie.

Znowu sobie powtarza, że musi. Nie może zawieść swoich wyborców – a dzisiaj to cała Ameryka i większość świata – jednak to drobiazg w porównaniu z zamkniętą kasetką między jej butami. Nie może zawieść *tego*. Ponieważ w kasetce jest pudełko zrobione nie z hartowanej stali, ale z mahoni. Ma około trzydziestu centymetrów szerokości, trochę więcej długości i osiemnaście

centymetrów wysokości. Na wierzchu są guziki, a po bokach dźwigienki tak maleńkie, że trzeba za nie pociągać małym palcem.

Mają jednego pasażera, który zapłacił za swój lot, i nie jest nim Gwendy. Ona będzie pracować. Niewiele, głównie rejestrować dane na iPadzie i wysyłać do kontroli TET, ale to nie jest tylko przykrywka dla jej prawdziwej misji na górze. Będzie monitorować klimat; jej stanowisko to pogodynka, a załoga niekiedy żartobliwie nazywa ją Tempest Storm, pseudonimem dawnej gwiazdy burleski.

Co to jest burleska? – zastanawia się. Powinnam wiedzieć.

Nie wie, więc ponownie ucieka się do techniki doktora Ambrose'a. Słowo, którego szuka, kojarzy jej się z barem. Ludzie popijają drinki podczas przedstawienia...

– Kabaret – mruczy.

– Co? – pyta Bern. Nie dosłyszał, bo zagłuszyły ją oklaski grupki ludzi stojących obok jednej z karetek pogotowia. Które, daj Boże, nie będą potrzebne w ten piękny wiosenny poranek.

– Nic – odpowiada Gwendy, myśląc: burleska to rodzaj kabaretu.

Zawsze czuje ulgę, kiedy pojawiają się brakujące słowa. Wie, że już niedługo przestaną przychodzić. Nie podoba jej się to, tak naprawdę to ją przeraża, ale taka jest przyszłość. Na razie musi tylko przetrwać ten dzień. Jak już znajdzie się na górze (gdzie nie to, że powietrze jest rzadkie, ale w ogóle go nie ma), nie będą mogli po prostu odesłać jej do domu, jeśli odkryją, co jej dolega, prawda? Mogą jednak zrujnować jej misję, jeśli się dowiedzą. I jest coś jeszcze, coś znacznie gorszego. Gwendy nie chce nawet o tym myśleć, lecz nie może przestać.

A jeśli zapomni, jaki jest prawdziwy powód jej misji? Prawdziwy powód to pudełko w kasetce. To brzmi melodramatycznie, ale Gwendy Peterson wie, że to prawda: los świata zależy od tego, co jest w kasetce.



KONSTRUKCJA SERWISOWO-DOSTAWCZA OBOK EAGLE Heavy to kratownica stalowych belek, podtrzymująca wielką otwartą windę. Gwendy i jej dziewięcioro towarzyszy podróży wchodzi po dziewięciu stopniach do windy. Wnętrze jest obszerne, spokojnie pomieści ze trzydzieści osób, ale Gareth Winston staje obok niej; jego okazały brzuch wypycha przód białego kombinezonu ciśnieniowego.

Spośród całej załogi Gwendy najmniej lubi Winstona, chociaż jest przekonana, że on o tym nie wie. Ponad ćwierć wieku w polityce nauczyło ją subtelnej sztuki ukrywania własnych uczuć i przybierania miny „Ach, jaki jesteś fascynujący”. Kiedy po raz pierwszy wybrano ją do Izby Reprezentantów, polityczna weteranka Patricia „Patsy” Follett wzięła ją pod swoje skrzydła i udzieliła wielu cennych rad. Tamtego konkretnego dnia dotyczyły starego pryka z Missisipi, Milтона Jacksona (który już dawno odszedł do wielkiej sali konferencyjnej w niebie), ale później też okazały się pożyteczne: „Zachowaj najlepsze uśmiechy dla dupków i nie spuszczaaj ich z oka. Kobiety pomyślą, że podobają ci się ich kolczyki. Mężczyźni pomyślą, że na nich lecisz. Żadne nie zgadnie, że obserwujesz każdy ich ruch”.

– Gotowa na największą przejażdżkę życia, pani senator? – zagaduje ją Winston, kiedy winda rozpoczyna powolną wspinaczkę po studwudziesięciometrowym boku rakiety.

– Zwarta i gotowa – odpowiada Gwendy, obdarzając go szerokim uśmiechem zarezerwowanym dla dupków. – A pan?

– Totalnie podniecony! – wykrzykuje Winston. Rozkłada ramiona i Gwendy musi cofnąć się o krok, żeby nie oberwać w klatkę piersiową. Gareth Winston ma skłonność do przesadnych gestów; pewnie uważa, że skoro jest wart sto

dwadzieścia miliardów dolarów (nie tyle co Jeff Bezos, ale blisko), ma prawo być wylewny. – Totalnie nakręcony, totalnie napalony, totalnie podjarany!

Nie trzeba mówić, że to on jest płacącym pasażerem, a skoro to lot kosmiczny, zapłacił jak za zboże. Jego bilet kosztował dwa miliony dwieście tysięcy dolarów, ale Gwendy wie, że była jeszcze inna cena. Miliardy przekładają się na polityczną siłę przebicia, a przygotowując załogową misję na Marsa, korporacja TET potrzebuje wszelkich możliwych politycznych sprzymierzeńców. Gwendy ma tylko nadzieję, że Winston przeżyje tę wycieczkę i zdąży użyć swoich wpływów. Ma nadwagę i ostatnie badanie wykazało u niego znacznie podwyższone ciśnienie. Inni członkowie załogi Eagle może o tym nie wiedzą, ale Gwendy wie. Ma jego dossier. Czy on wie, że ona wie? To by jej wcale nie zdziwiło.

– Nazwać to wyprawą życia to niedopowiedzenie – ciągnie Winston.

Mówi tak głośno, że pozostali oglądają się na niego. Dowódca Kathy Lundgren mruga do Gwendy i lekki uśmiech unosi kąciki jej ust. Gwendy nie musi czytać w myślach, żeby zrozumieć, co to znaczy: „Lepiej, że padło na ciebie niż na mnie, siostró”.

Kiedy powolna winda mija dolne T w TET, Winston przechodzi do interesu. I nie po raz pierwszy.

– Nie jest tu pani, żeby wysyłać egzaltowane sprawozdania swoim kochającym fanom albo obserwować tę wielką niebieską kulę i sprawdzać, jak pożary w Amazonii wpływają na wiatry w Azji. – Spogląda znacząco na stalową kasetkę z napisem ŚCIŚLE TAJNE.

– Pan mnie nie docenia, Gareth. Na studiach miałam meteorologię i obkułam się z tego przez całą zimę – odpowiada Gwendy, ignorując zarówno komentarz, jak i sugerowane pytanie. Nie żeby on bał się zapytać wprost; pytał już kilkakrotnie, zarówno podczas czterech tygodni treningu przed lotem, jak i w czasie dwunastodniowej kwarantanny. – Okazuje się, że Bob Dylan nie miał racji.

Winston marszczy szerokie czoło.

– Nie nadążam za panią, pani senator.

– *You don't need a weatherman to know...* Tak naprawdę potrzebujemy prognozy pogody, żeby wiedzieć, skąd wieje wiatr. Pożary w Amazonii i Australii powodują zasadnicze zmiany we wzorcach pogodowych na Ziemi. Niektóre z tych zmian są złe, ale niektóre mogą nawet oddziaływać korzystnie na środowisko, chociaż to wydaje się dziwne. Mogą wstrzymać globalne ocieplenie.

– Nigdy nie wierzyłem w te rzeczy. W najlepszym razie to przesada, w najgorszym zwykłe wymysły.

Teraz mijają E. Zabierzcie mnie od tego faceta, myśli Gwendy, a potem uświadamia sobie, że jeśli nie chciała zadawać się z kimś takim jak Gareth Winston, powinna była całkiem zrezygnować z tej wyprawy.

Tylko że nie mogła.

Podnosi na niego wzrok, utrzymując na twarzy coś, co nazywa uśmiechem Patsy Follett.

– Antarktyka topi się jak lody na słońcu, a pan nie wierzy w globalne ocieplenie?

Ale Winston nie daje się odwieść od tego, co go interesuje. Może jest zarozumiałym grubasem, nie zarobiłby jednak swoich miliardów, gdyby był głupi. Albo roztargniony.

– Dałbym wiele, żeby wiedzieć, co jest w tej pani małej kasetce, pani senator, a mam wiele do zaoferowania, jak z pewnością pani wie.

– Ooo, brzmi podejrzenie jak łapówka.

– Bynajmniej, to tylko figura retoryczna. A przy okazji, skoro niedługo będziemy kosmicznymi kumplami, mogę ci mówić Gwendy?

Gwendy nadal uśmiecha się promiennie, chociaż zaczyna ją od tego boleć twarz.

– Ależ oczywiście. A co do zawartości tego... – podnosi kasetkę – gdybym ci powiedziała, oboje mielibyśmy bardzo poważne kłopoty, takie, które kończą się w więzieniu federalnym, a naprawdę nie warto. Byłbyś zawiedziony, a ja nie chcę rozczarować czwartego najbogatszego człowieka na świecie.

– Trzeciego najbogatszego – prostuje Winston i obdarza ją uśmiechem równie promiennym jak jej uśmiech. Grozi jej palcem w rękawicy. – Ja się nie poddam, wiesz? Potrafię być bardzo uparty. I nikt mnie nie wsadzi do więzienia, skarbie.

O rany, myśli Gwendy. Przeszliśmy od pani senator przez Gwendy do skarbu w ciągu jednej jazdy windą. Oczywiście to bardzo powolna winda.

– Ekonomia by się załamała – dodaje Winston.

Na to Gwendy nie ma odpowiedzi, ale myśli, że gdyby pudełko w skrzynce – pudełko z guzikami – wpadło w nieodpowiednie ręce, wszystko by się załamało.

Słońce mogłoby nawet otrzymać nowy pas asteroidów pomiędzy Marsem a Wenus.

NA SZCZYCIE DŹWIGU ZNAJDUJE się duże białe pomieszczenie, gdzie kosmiczni podróżnicy stoją z podniesionymi rękami i wykonują powolne piruety, kiedy opryskuje ich dezynfekujący spray o zapachu podejrzenie przypominającym wybielacz. To ich ostatnie oczyszczenie.

Nie tak dawno był tam inny pokój, mały, z napisem na drzwiach: WITAMY W OSTATNIEJ TOALECIE NA ZIEMI, ale Eagle Heavy to luksusowy liniowiec wyposażony we własną łazienkę, która, podobnie jak trzy kabiny, jest właściwie kapsułą. Jedna z prywatnych kabin należy do Garetha Winstona. Gwendy uważa, że facet na to zasługuje; dostatecznie dużo zapłacił. Druga należy do niej. W innych okolicznościach mogłaby zaprotestować przeciwko takiemu specjalnemu traktowaniu – co z tego, że jest senatorką? – ale ze względu na główny powód jej uczestnictwa w tej wyprawie zgodziła się. Kierownik kontroli naziemnej Eileen Braddock zasugerowała, żeby sześciu członków załogi bez uprawnień do pilotażu, które mieli dowódca Kathy Lundgren i jej zastępca Sam Drinkwater, ciągnęło losy o pozostałąabinę, ale załoga jednogłośnie postanowiła oddać ją Adeshowi Patelowi, entomologowi. Jego żywe okazy zostały już załadowane. Adesh będzie spał w ciasnej koi, wśród chrząszczy i pajaków. Włącznie z (och, fuj, myśli Gwendy) tarantulą o imieniu Olivia i skorpionem Borisem.

Toaleta należy do wszystkich i nikt nie cieszy się z tego bardziej niż dowódca misji.

– Koniec z pieluchami – powiedziała Kathy Lundgren do Gwendy podczas kwarantanny. – To właśnie, droga pani senator, nazywam ogromnym skokiem dla ludzkości.

„Wejście na pokład – huczą głośniki z kontroli misji. – Czas do startu: dwie godziny piętnaście minut. Wszystkie wskaźniki zielone”.

Kathy Lundgren i jej zastępca Sam Drinkwater spoglądają na pozostałych członków załogi. Kathy, której kasztanowe włosy błyszczą od maleńkich klejnotów dezynfekującej mgły, zwraca się do całej ósemki, ale Gwendy ma wrażenie, że mówi głównie do miliardera i niej.

– Zanim zaczniemy ostatnie przygotowania, podsumuję harmonogram misji. Wszyscy go znacie, ale korporacja TET zażądała, żebym przypomniała go jeszcze raz przed wejściem na pokład. Wejdziemy na orbitę okołoziemską w ciągu ośmiu minut i dwudziestu sekund. Przez dwa dni będziemy okrążać Ziemię, wykonując trzydzieści dwa albo trzydzieści trzy pełne okrążenia po lekko zróżnicowanej orbicie w kształcie świątecznej kokardy. Sam i ja będziemy mapować kosmiczne śmiecie do usunięcia przy następnej misji. Senator Peterson... Gwendy... rozpocznie monitorowanie pogody. Adesh pewnie będzie się bawił ze swoimi robalami.

Gwendy śmieje się. David Graves, statystyk i informatyk misji, dodaje:

– A jeśli któryś wylezie na wolność, wylatuje przez służę. Razem z tobą, Adesh.

To prowokuje więcej śmiechów, brzmiących całkiem luzacko. Gwendy ma nadzieję, że sama też tak zabrzmiała.

– W dniu trzecim zadokujemy do Many Flags, która obecnie jest praktycznie opuszczona, poza chińską enklawą...

– Upiorne – wtrąca Winston i wydaje z siebie „Uuu”.

Kathy rzuca mu obojętne spojrzenie i kontynuuje:

– Chińczycy trzymają się na dystans w Szprysze Dziewięć. My zajmujemy Szprychy Jeden, Dwa i Trzy. Szprychy od Cztery do Osiem będą puste. Jeśli w ogóle zobaczycie Chińczyków, to będzie znaczyło, że coś się zepsuło, a to mało prawdopodobne. Będziecie mieli mnóstwo miejsca. Zostaniemy tam przez dziesięć dni, więc taka przestrzeń życiowa to niewiarygodny luksus.

Zwłaszcza po czterdziestu ośmiu godzinach w Eagle Heavy. Teraz najważniejsze, więc słuchajcie uważnie. Bern Stapleton to weteran dwóch wcześniejszych misji. Dave Graves ma za sobą jedną. Sam, mój zastępca, odbył pięć misji, a ja siedem. Reszta z was to nowicjusze, więc powiem wam to, co mówię wszystkim nowicjuszom. To wasza ostatnia szansa, żeby się wycofać. Jeśli macie nawet najmniejsze wątpliwości, czy potraficie wykonać swoje zadanie od wejścia na pokład do zejścia po zakończeniu lotu, musicie to powiedzieć teraz.

Nikt się nie odzywa.

Kathy kiwa głową.

– Doskonale. No to jedziemy z tym koksem.

Jedno po drugim wchodzi do łącznikowego rękawa i kwartet personelu pomocniczego w białych (zdezynfekowanych) kombinezonach pomaga im przejść na statek. Lundgren, Drinkwater i Graves – którzy będą nadzorować start, korzystając z szeregu ekranów dotykowych – wchodzi pierwszy.

Pod nimi, na drugim poziomie, siadają w rządzie doktor Dale Glen, fizyk Reggie Black i biolog Bern Stapleton.

Na trzecim i najszerszym poziomie, gdzie w przyszłości zasiądzie więcej płacących pasażerów (przynajmniej korporacja TET ma taką nadzieję), są Jafari Bankole, astronom, który nie ma wiele do roboty, dopóki nie znajdą się na stacji MF, entomolog Adesh Patel, pasażer Gareth Winston i ostatnia, choć nie najmniej ważna, młodsza senator z Maine, Gwendy Peterson.

GWENDY SADOWI SIĘ POMIĘDZY Bankolem a Patelem. Ich fotele wyglądają jak lekko futurystyczne szeslongi. Nad każdym są trzy puste ekrany i Gwendy przeżywa chwilę paniki, bo nie pamięta, po co są. Powinna coś zrobić, żeby je włączyć, ale co?

Spogląda w prawo w samą porę, żeby zobaczyć, jak Jafari Bankole wtyka kabel do portu na piersi swojego kombinezonu, i wspomnienie powraca. Weź się w garść, Gwendy. Musisz wziąć się w garść.

Podłącza się i ekrany nad nią najpierw się rozświetlają, a potem bootują. Jeden pokazuje jej parametry życiowe (ciśnienie krwi trochę podwyższone, puls w normie). Na trzecim przewija się kolumna liczb i informacji, kiedy Becky, komputer Eagle Heavy, przeprowadza serię autodiagnostycznych testów. Nic nie znaczą dla Gwendy, ale pewnie są ważne dla Kathy Lundgren. Oczywiście również dla Sama i Dave'a Gravesa, ale to Kathy oraz Eileen Braddock, kierowniczka kontroli naziemnej, będą obserwować odczyty z największą uwagą, ponieważ każda z nich może odwołać misję, jeśli zobaczy coś, co jej się nie spodoba. Taka decyzja, jak wie Gwendy, kosztowałaby ponad siedemnaście milionów dolarów.

W tej chwili wszystkie cyfry są zielone. Ponad maszerującymi kolumnami widnieje zegar odliczający czas, również zielony.

– Właz zamknięty – ogłasza Becky łagodnym, niemal ludzkim głosem. – Warunki normalne. Czas: minus jedna godzina czterdzieści osiem minut.

– Warunki na zewnątrz – mówi Kathy dwa poziomy nad Gwendy.

– Pogoda na zewnątrz... – zaczyna Becky.

– Zaczekaj, Becky. – Kathy nie bardzo może odwrócić głowę z powodu kombinezonu, ale macha ręką. – Ty mi powiedz, Gwendy.



Przez jedną straszną chwilę Gwendy nie ma pojęcia, co robić ani jak odpowiedzieć. W jej głowie panuje pustka. Potem widzi, że Adesh Patel wskazuje pod jej fotel, i wszystko znowu wraca na miejsce. Gwendy rozumie, że jej stan się pogarsza pod wpływem stresu, i znowu sobie powtarza, że musi się uspokoić. Musi. Siedzenie na megatonach wysoce łatwopalnego rakietowego paliwa przeraża ją znacznie mniej niż nieustanny rozkład zachodzący w szarej gąbce między jej uszami.

Chwyta iPada przypiętego pod fotelem, z napisem PETERSON na obudowie. Budzi go odciskiem kciuka i przełącza na apkę prognozy pogody. Potężne wi-fi w kabinie przejmuje ekran diagnostyczny nad jej głową. Pojawia się na nim mapa pogody, podobna do tych w wiadomościach telewizyjnych.

– Na zewnątrz doskonale – odpowiada Gwendy. – Wysokie ciśnienie, czyste niebo, bezwietrznie.

I wie, że trzeba by huraganu, żeby zepchnąć z kursu Eagle Heavy, kiedy już porządnie się rozpędzi. Pogoda ma znaczenie głównie przy starcie i lądowaniu.

– A jak tam na górze?! – woła do niej Sam Drinkwater. W jego głosie słychać, że się uśmiecha.

– Burze sto dziesięć kilometrów nad nami, niewielkie prawdopodobieństwo deszczu meteorytów – mówi Gwendy i wszyscy się śmieją. Wyłącza tablet i na ekran powraca obraz diagnostyczny.

– Gdyby pani chciała usiąść przy iluminatorze, pani senator, jeszcze zdążymy się zamienić – proponuje Jafari Bankole.

Na trzecim poziomie są dwa iluminatory – pewnie ze względu na przyszłych turystów. Oczywiście przy jednym siedzi Gareth Winston. Gwendy kręci głową.

– Jako pokładowy astronom powinienes mieć dobry punkt obserwacyjny. I ile razy cię prosiłam, żebyś mówił mi Gwendy?

Bankole się uśmiecha.

– Wiele razy. Po prostu to mi nie przychodzi naturalnie.

– Rozumiem. I nawet doceniam. Ale dopóki jesteśmy ściśnięci w tej najdroższej na świecie puszcze sardynek, możesz się bardziej postarać?

– No dobrze. Jesteś Gwendy, przynajmniej dopóki nie zadokujemy do stacji Many Flags.

Czekają. Minuty upływają (tak jak odpływa mój umysł, myśli mimo woli Gwendy). Czterdzieści minut przed startem Becky informuje ich, że kratownica serwisowa odjeżdża na gigantycznych szynach. Trzydzieści pięć minut przed startem Becky ogłasza:

– Tankowanie paliwa rozpoczęte. Wszystkie systemy w normie.

Dawno, dawno temu – właściwie to dziesięć czy dwanaście lat temu, ale w dwudziestym pierwszym wieku zmiany następują szybko – paliwo tankowano przed wejściem na pokład astronautów, ale SpaceX zmieniło to oraz wiele innych rzeczy. Nie ma już przyrządów sterowniczych, tylko wszechobecne ekrany dotykowe, a wszystkim tak naprawdę kieruje Becky (Gwendy ma tylko nadzieję, że Becky nie jest żeńską wersją HAL-9000). Lundgren i Drinkwater są tu głównie z powodu tego, co Kathy nazywa „tą przerażającą o-ja-cię-kręcę chwilą”. Właściwie Dave Graves jest ważniejszy; jeśli Becky będzie miała załamanie nerwowe, Dave wszystko ogarnie. Prawdopodobnie. Miejmy nadzieję.

– Hełmy – wydaje polecenie Sam Drinkwater i nakłada swój. – Czekam na potwierdzenie.

Zgłaszają się jedno po drugim. Przez chwilę Gwendy nie pamięta, gdzie są zatrzaski, ale potem to wraca i hełm się zatrzaskuje.

– Dwadzieścia siedem minut do startu – informuje Becky. – Systemy w normie.

Gwendy zerka na Winstona i odczuwa złośliwą przyjemność, widząc, że stracił trochę ze swojej jowialności bogatego dupka. Wygląda przez iluminator na błękitne niebo i narożnik budynku kontroli misji. Na mięsistym policzku, który widzi Gwendy, ma czerwoną plamę, ale poza tym wygląda blado. Może myśli, że ten lot jednak nie był takim dobrym pomysłem.

Jakby czytał w jej myślach, odwraca się do niej i pokazuje podniesiony kciuk. Gwendy odwzajemnia gest.

– Zabezpieczyłaś swoją tajną skrzynkę?

Wsunęła ją pod kolano, żeby nie odleciała, chyba że sama odleci. A jest przypięta pięciopunktowymi pasami, jak pilot odrzutowca.

– Pełna gotowość – odpowiada. A potem, chociaż już nie bardzo pamięta, co to znaczy... jeśli znaczy cokolwiek... dodaje: – Pięć na pięć.

Winston odchrząkuje i odwraca się z powrotem do iluminatora.

Na lewo od Gwendy Adesh zamknął oczy. Nieznacznie porusza ustami, prawie na pewno w modlitwie. Chciałaby zrobić to samo, ale już dawno przestała pokładać zaufanie w Bogu. Jednak coś tam jest. Tego jest pewna, bo nie wierzy, żeby jakakolwiek ziemską potęgą stworzyła dziwne urządzenie, teraz zamknięte w stalowym pojemniku, który można otworzyć tylko siedmiocyfrowym kodem. Dlaczego znowu trafiło do jej rąk? Gwendy chyba zna odpowiedź na to pytanie, przynajmniej częściowo. Dlaczego została nim obarczona, chociaż dopadło ją pierwsze stadium wczesnego alzheimera? To jest już dla niej mniej zrozumiałe. A także ohydnie niesprawiedliwe, wręcz absurdalne. Ale odkąd to ludzka kondycja ma cokolwiek wspólnego ze sprawiedliwością? Gdy Hiob wołał do Boga, Wszechmogący odpowiedział zimno: „Gdzie byłeś, kiedy stwarzałem świat?”.

Nieważne, myśli Gwendy. Do trzech razy sztuka. Zrobię, co muszę, i zachowam zmysły dostatecznie długo, żeby to zrobić. Obiecałam Farrisowi, a ja dotrzymuję obietnic.

Przynajmniej dotąd zawsze dotrzymywała.

Gdyby nie ci niewinni ludzie obok mnie, myśli, na ogół dobrzy ludzie, dzielni ludzie, pełni poświęcenia (może z wyjątkiem Garetha Winstona), prawie wolałabym, żeby ta rakietą wybuchła na polu startowym albo osiemdziesiąt kilometrów nad ziemią. To by wszystko rozwiąza...

Tylko że wcale nie; kolejna rzecz, którą przeoczył jej coraz bardziej zawodny umysł. Według Richarda Farris, sprawcy wszystkich jej nieszczęść, to by niczego

nie rozwiązało, podobnie jak obciążenie przeklętego pudełka kamieniami i wrzucenie go do Rowu Mariańskiego.

To musiał być kosmos. Nie ostatnia granica, ale całkowita pustka.

Daj mi siłę, modli się Gwendy do Boga, w którego istnienie bardzo wątpi. Jakby w odpowiedzi Becky – bóg Eagle Heavy – mówi im, że do startu zostało dziesięć minut i wszystkie systemy są sprawne.

Sam Drinkwater wydaje polecenie:

– Wizjery opuścić i zamknąć. Czekam na potwierdzenie.

Zatrząskują wizjery, potwierdzają wykonanie. Z początku Gwendy widzi tylko ciemność i przypomina sobie, że opadła również polaryzująca przyłbica. Podnosi ją nasadą dłoni w rękawicy.

– Zainicjować dopływ tlenu, czekam na potwierdzenie.

Zawór jest gdzieś na hełmie, ale Gwendy nie pamięta gdzie. Boże, gdyby tylko mogła zajrzeć do notesu! Ogląda się na Adesha w samą porę, żeby zobaczyć, jak ten przekręca gałkę po lewej stronie hełmu, tuż nad wysokim kołnierzem kombinezonu ciśnieniowego. Gwendy naśladuje go i słyszy cichy syk powietrza napęniającego hełm.

Pamiętaj, żeby to wyłączyć, kiedy wejdziemy na orbitę, napomina się. Potem oddychamy powietrzem z kabiny.

Adesh rzuca jej pytające spojrzenie. Gwendy robi niezgrabne „O” kciukiem i palcem wskazującym. On się uśmiecha, ale ona boi się, że zauważył jej wahanie. Znowu myśli o powiedzeniu matki: ND, niedobrze.

CZAS TRENINGU WLÓKŁ SIĘ POWOLI. Czas na kwarantannie włókł się powoli. Wyjście, jazda windą, wejście do rakiety, wszystko powoli. Ale w tych ostatnich minutach na Ziemi czas przyspiesza.

Przez słuchawki hełmu – za głośno, a Gwendy nie pamięta, jak przyciszyć dźwięk – słyszy Eileen Braddock z kontroli misji:

– Pięć minut do startu, rozpoczynamy końcowe odliczanie.

Kathy Lundgren:

– Przyjęłam, kontrola misji, końcowe odliczanie.

Użyj iPada, myśli Gwendy. On kieruje wszystkim w twoim kombinezonie.

Dotyka ikony kombinezonu, znajduje regulację dźwięku i palcem zmniejsza głośność. Widzisz, jak dużo pamiętasz? On byłby z ciebie dumny.

Kto byłby dumny?

Mój przystojny mężuś. Musi poszukać w pamięci jego imienia, co jest przerażające.

Ryan, oczywiście. Ryan Brown jest jej przystojnym mężusiem.

Sam Drinkwater:

– Eagle na jałowym biegu. Zbiorniki paliwa pełne.

Na iPadzie i na ekranie nad jej głową *T minus 3* zmienia się na 2.59, 2.58 i 2.57.

Ręka w rękawicy chwyta jej dłoń. Gwendy się wzdryga, ogląda się i widzi Jafarię. Pyta ją wzrokiem, czy wszystko w porządku i czy ma ją puścić. Ona kiwa głową, uśmiecha się i wzmacnia uścisk. Jego usta formują słowa: „Wszystko będzie dobrze”. Winston ma swój wykupiony i opłacony iluminator, który jednak się marnuje, przynajmniej na razie, bo miliarder patrzy prosto przed siebie z ustami

zaciśniętymi tak mocno, że prawie ich nie widać. Gwendy zgaduje, co myśli: Dlaczego to wydawało mi się takim dobrym pomysłem? Chyba zwariowałem.

Kathy:

– Gotowość do startu?

Sam:

– Przyjąłem, gotowość do startu. Ludzie, za jedenaście minut gwiazdy w biały dzień!

Wydaje się, że zaledwie po paru sekundach Eileen z kontroli misji pyta:

– Załoga okay? Chcę usłyszeć potwierdzenie.

Zgłaszają się jedno po drugim, Gareth Winston jako ostatni, jego „Przyjąłem” to ochrypły skrzek.

Kathy Lundgren, chłodna jak druga strona poduszki:

– Przygotowania do startu zakończone. Jedna minuta do startu. Startujemy?

Sam Drinkwater i Eileen Braddock odpowiadają jednocześnie:

– Startujemy.

Wolną ręką Gwendy maca stalową kasetkę. Jest tam, bezpieczna. Tylko pudełko w środku nie jest bezpieczne. Pudełko w środku to najbardziej niebezpieczna rzecz na Ziemi. Dlatego musi opuścić planetę.

Eileen Braddock:

– Komandor Lundgren, masz zgodę na start.

– Przyjęłam, mam zgodę na start.



Na ekranie nad głową Gwendy zaczyna się odliczanie ostatnich dziesięciu sekund.

Jak mam na imię? – zastanawia się.

Gwendy. Mój ojciec chciał Gwendolyn, a matka chciała Wendy, jak w *Piotrusiu Panie*. Poszli na kompromis. Dlatego jestem Gwendy Peterson.

A potem myśli: Gdzie ja jestem?

Playalinda na Florydzie, platforma startowa korporacji TET. Przynajmniej jeszcze przez kilka sekund.

Dlaczego tu jestem?

Zanim zdąży odpowiedzieć sobie na to pytanie, sto trzydzieści metrów poniżej jej ergonomicznego fotela rozlega się potężny huk. Kabina Eagle'a zaczyna wibrować – początkowo delikatnie, potem mocniej. Do Gwendy powracają urywki wspomnień, kiedy miała pięć czy sześć lat i siedziała na pralce podczas końcowego cyklu wirowania.

– Zapłon w normie – ogłasza Sam Drinkwater.

Sekundę czy dwie później Kathy woła:

– Startujemy!

Ryk narasta, wibracja się wzmacnia. Gwendy zastanawia się, czy to normalne, czy coś poszło źle. Na środkowym ekranie nad sobą widzi teraz przez czerwono-pomarańczowy kwiat ognia budynek kontroli misji i resztę kompleksu. Jak daleko są w dole? Dwadzieścia metrów? Trzydzieści? Rakieta dygocze, Jafari mocniej ściska rękę Gwendy.

To nie jest normalne. To nie może być normalne.

Gwendy zamyka oczy i ponownie zadaje sobie pytanie, dlaczego tu jest.

Krótką wersją odpowiedzi jest taka, że ten człowiek jej kazał... jeśli to jest człowiek. W tej chwili, czekając, aż jej życie i wszystkich pozostałych skończy się w potężnej eksplozji kriogenicznego płynnego tlenu i wysokooktanowego paliwa raketowego, nie może sobie przypomnieć jego nazwiska. Na dnie jej umysłu



otworzyła się szczelina i wszystko, co kiedykolwiek wiedziała, zaczyna wyciekać tamtędy w ciemność pod spodem. Pamięta tylko, że nosił kapelusz. Mały melonik.

Czarny.

PUDEŁKO Z GUZIKAMI WKRACZA W ŻYCIE Gwendy Peterson po raz trzeci. Za pierwszym razem znajdowało się w brezentowym worku, ściągającym u góry sznurkiem. Za drugim razem znalazła je w dolnej szufladzie szafki na akta w swoim waszyngtońskim biurze, w trakcie pierwszej kadencji jako reprezentantka drugiego okręgu stanu Maine. Trzeci raz miał miejsce w 2019 roku, kiedy kandydowała do senatu, a dobrze poinformowane osoby z Partii Demokratycznej twierdziły, że jej kampania ma mniej więcej takie szanse jak Szarża Lekkiej Brygady. Za każdym razem pudełko dostarczał mężczyzna ubrany w dżinsy, białą koszulę, czarną marynarkę i melonik. Nazywał się Richard Farris. Za pierwszym razem pudełko z guzikami towarzyszyło jej przez cały okres dojrzewania. Za drugim miała je pod opieką znacznie krócej, ale wierzyła, że uratowało życie jej matki (Alicia Peterson zmarła w 2015 roku, wiele lat po tym, jak rak powinien ją zabić).

Trzeci raz był... inny. Farris był inny.

Gwendy odeszła z Izby Reprezentantów w 2012 roku, chociaż mogła dalej być wybierana do osiemdziesiątki, może nawet do dziewięćdziesiątki, gdyby chciała.

– Jesteś jak Strom Thurmond – powiedział jej kiedyś Peter Riley, przewodniczący Demokratycznego Komitetu Maine. – Możesz być dalej wybierana nawet po śmierci.

– Proszę, nie porównuj mnie z tym facetem – obruszyła się.

– Okay, a co powiesz na Johna Lewisa? Pewnie za czterdzieści lat wciąż będą go wybierać z jego okręgu w Georgii. Z kimkolwiek się porównasz... cholera, Margaret Chase Smith ze Skowhegan po sąsiedzku spędziła trzydzieści trzy lata

w Waszyngtonie... chodzi o to samo: jesteś legendarnym pewniakiem. I potrzebujemy cię.

Ale Gwendy potrzebowała pisania książek. Literatura była jej pierwszą miłością. Wydała tylko pięć powieści, a czas uciekał. Rezygnacja ze służby publicznej otworzyła przed nią te możliwości i dała jej satysfakcję, jakiej nigdy nie dało jej życie pod kopułą Kapitolu. W 2013 roku wydała *Dziką różę*, a potem w 2015 powieść o seryjnym mordercy, *Ulicę smutku*. Akcja tej książki o czarującym maniacu, który zbierał zęby swoich ofiar, została osadzona w Waszyngtonie, ale fabuła opierała się na wydarzeniach z rodzinnego miasta Gwendy.

Rozmyślała nad następną książką, pełną romansów i rodzinnych sekretów, kiedy Donald Trump został prezydentem. Wielu wyborców w drugim okręgu stanu Maine cieszyło się z tego, wierząc, że waszyngtońskie bagno zostanie osuszone, budżet zbilansowany, a napływ nielegalnych imigrantów z Ameryki Południowej, *bad hombre*, wreszcie zatamowany. Dla zdeklarowanych demokratów – którzy z założenia nie oglądali Fox News, jakby mogli od tego dostać wścieklizny – to był początek czteroletniego koszmaru. Nawet ojciec Gwendy, chyba najbardziej apolityczny członek Patrii Demokratycznej w całym stanie Maine, następnego dnia po wyborach spojrzał na nią poważnie i powiedział:

– To wszystko zmieni, Gwennie. I raczej nie na lepsze.

Pogrążyła się w pracy nad książką – tym razem osadzoną w Maine w czasach, gdy Gang Bradleya dokonał masakry w Derry – kiedy pewnego dnia na początku zimy znowu zjawił się u niej Pete Riley. Biedak stracił chyba z dziesięć kilogramów przez dwa lata od tamtego wyborczego wieczoru w 2016 roku. Mówił krótko i zwięźle. Chciał, żeby Gwendy kandydowała przeciwko Paulowi Magowanowi w wyborach do senatu w 2020 roku, który nazywał „rokiem idealnego wzroku”. Twierdził, że tylko Gwendy ma szansę pokonać republikańskiego biznesmena, który spodziewał się, że jego kampania będzie jedynie formalnością i zwycięstwo ma już w kieszeni.

– Nawet jeśli nic z tego nie wyjdzie, to chociaż przełamiesz jego dobrą passę i dasz trochę nadziei wszystkim dobrym ludziom cierpiącym na DT.

– Co to jest?

– Depresja Trumpa. No, Gwendy, otwórz umysł. Powinnaś to rzetelnie rozważyć.

„Rzetelnie rozważyć” to był jej sztandarowy zwrot, którego używała przynajmniej raz na każdym publicznym zgromadzeniu podczas swojej kariery politycznej. Jeśli Pete spodziewał się, że w ten sposób weźmie ją pod włos, to się rozczarował.

– Chyba żartujesz – rzuciła. – Przede wszystkim pracuję nad nową książką...

– Która z pewnością będzie równie dobra jak pozostałe albo lepsza. – Pete błysnął zdobywczym uśmiechem Clarka Gable’a.

– Nie próbuj mi mydlić oczu – fuknęła Gwendy. – Lepszy od ciebie próbowali, ale im nie wyszło. Chciałam powiedzieć, że nie tylko w mojej nowej książce jest mnóstwo gorącego seksu, którym się zastępczo delektuję, odkąd ten idiota Magowan w dwa tysiące czternastym zwyciężył piętnastoma punktami. A po dwóch latach całowania w tyłek Trumpa dostanie osiemdziesiąt procent poparcia.

– Bzdura – oświadczył Pete. – Republikańska propaganda! Sama wiesz.

– Wcale nie wiem, ale założmy, że tak jest. Przyznaję, że byłam dość popularna podczas mojej kampanii, ale ludzie mają krótką pamięć. Magowan to bohater dnia, ja natomiast jestem cieniem z przeszłości. W polityce są przypływy i odpływy, a teraz mamy silny przypływ konserwatyzmu. Wiesz to równie dobrze jak ja. Pewnie nie przegrałabym piętnastoma punktami, ale i tak bym przegrała.

Pete Riley, z rękami głęboko w kieszeniach, podszedł do okna w małym gabinecie Gwendy i wyjrzał na zewnątrz.

– Okay – powiedział, nie patrząc na nią. – Jeśli nie stanie się cud, przegrasz. Chyba zgadzamy się co do tego. Więc przegraj. Wygłoś piękne przemówienie, jak to głosy wyborców zdecydowały, ale walka trwa, ple, ple, ple. Potem wrócisz do

pisania o Derry w Maine w latach trzydziestych. Ale to nie są lata trzydzieste, to rok dwa tysiące osiemnasty i wiesz co?

Odwrócił się do niej niczym dobry adwokat zwracający się do ławy przysięgłych.

– To jest *mętna, krwawa kipiela*\* Yeatsa. Ludzie odwracają się od szczepień, od praw kobiet, od nauki, od samego pojęcia równości. Odwracają się od prawdy. Pomijając politykę, ktoś powinien wstać i kazać im spojrzeć na te wszystkie rzeczy, w które łatwiej i wygodniej jest nie wierzyć. Ty zawsze to robiłaś, zawsze. Proszę cię, żebyś zrobiła to znowu.

– Mam zostać twoją szlachetną Joanną d’Arc i pozwolić, żeby dobrzy ludzie z Maine spalili mnie na stosie?

– Nikt cię nie spali – zapewnił Pete... nie wiedząc, że za osiem lat Gwendy znajdzie się na czubku płonącej pochodni zwanej Eagle Heavy, gdzie w każdej chwili może się zmienić w chmurkę przegrzanych atomów. – Tylko przegrasz wybory. Ale przynajmniej przez ciebie ten tłusty wieprz Magowan trochę się spoci. Wciągnij go w debatę i pokaż ludziom, że trzyma się koncepcji, które nie są zwyczajnie złe, są niewykonalne i krańcowo niebezpieczne. Potem możesz wrócić do pisania książek.

Gwendy już chciała się na niego rozzłościć, ale zdała sobie sprawę, że przynajmniej częściowo miał rację. A ona robiła się melodramatyczna. Co pewnie miało związek z pisaniem książek pełnych sekretów i gorącego seksu.

– Innymi słowy, mam się poświęcić dla dobra większości. Czy o to chodzi?

Obdarzył ją szerokim uśmiechem Clarka Gable’a.

– Trafiłaś w dziesiątkę.

– Daj mi się zastanowić – powiedziała.

I pewnie popełniła błąd.

---

\* William Butler Yeats, *Drugie przyjście*, przeł. Antoni Libera.

ALE NIE TAKI WIELKI JAK TEN, MYŚLI Gwendy, kiedy ryk silników narasta do grzmotu. Jafari Bankole mimo grubych rękawic miażdży jej dłoń w uścisku. Wolną ręką Gwendy wybiera ZAŁOGĘ na swoim iPadzie, podświetla nazwisko Jafariego pad-czułym czubkiem palca wskazującego (odkryła, że łatwiej pamiętać różne rzeczy, kiedy się nie starasz) i mówi do niego na prywatnym łączu:

– Wyluzuj trochę, Jaff, okay? To boli.

– Przepraszam, przepraszam – mamrocze Jafari i rozluźnia uścisk. – To... tak daleko od Kenii.

– I od zachodniego Maine – dodaje Gwendy.

Dygotanie kabiny stopniowo się zmniejsza i fotel Gwendy zaczyna się lekko obracać na zawieszaniu. Czy naprawdę? Może tylko środek ciężkości kabiny się zmienia. Przesuwa.

Gwendy stuka w Ops Com, żeby słyszeć Kathy, Sama i kontrolę misji.

– Pięćset pięćdziesiąt kilometrów na godzinę i bariera dźwięku jest tylko miłym wspomnieniem – mówi Eileen. Głos ma całkiem spokojny, bo dlaczego miałyby być inaczej? Jest bezpieczna na Ziemi.

– Przyjęłam – odpowiada Kathy. Ona też wydaje się spokojna, to dobrze.

– Tysiąc dwieście kilometrów na godzinę. Wygląda to dobrze, Eagle Heavy. Spalanie w normie, wszystkie trzy silniki.

– Przyjąłem – potwierdza tym razem Sam Drinkwater.

Kabina przechyla się jeszcze bardziej i lot się wyrównuje. Przynajmniej na razie.

– Możecie zwiększyć prędkość, Eagle Heavy.

Kathy i Sam razem:

– Przyjęłam.

– Przyjąłem.

Gwendy nie słyszy wyraźnej różnicy w ryku silników, ale niewidzialna ręka przygniata jej klatkę piersiową. Przed nią Dale Glen, lekarz misji, chyba robi notatki na iPadzie i zlekceważył pad-czuły czubek palca; zdjął rękawicę, jakby był w swoim gabinecie przyjęć w Missouli, myśli Gwendy.

Otwiera INFO LOTU na swoim iPadzie. Są w powietrzu od niecałych dwóch minut, ale wznieśli się już na trzydzieści pięć kilometrów i osiągnęli prędkość ponad czterech tysięcy kilometrów na godzinę. Jako kobieta, która uważa jazdę ponad setką na autostradzie za niebezpieczną dla życia, nie potrafi tego ogarnąć, ale narastający nacisk na jej ciało mówi sam za siebie. Grawitacja nie odpuszcza.

Słyszy głucho łupnięcie, a potem w iluminatorze po lewej stronie widzi jaskrawy rozbłysk i przez chwilę myśli, że to już koniec. Jafari znowu ściska jej rękę.

– Rakieta wspomagająca na paliwo stałe oddzielona – mówi Sam, na co Dave Graves odpowiada:

– Alleluja! Rozbujaj te silniki, pasteczeko.

– Nazwij mnie tak jeszcze raz, to wydrapię ci oczy – ostrzega Kathy. – Czekam na potwierdzenie.

– Przyjąłem. – Dave szczyrzy zęby.

Przechył kabiny się zwiększa. Na zewnątrz błękitne niebo pociemniało do fioletu.

– Trzy główne silniki odpalają ślicznie – informuje Kathy.

Gwendy widzi, że Bern Stapleton podnosi oba kciuki. Po chwili słyszy go w swoim hełmie, na prywatnym łączu.

– Podoba się przejażdżka, pani senator?

A ponieważ chwilowo rozmawiają tylko we dwoje, Gwendy odpowiada:

– Najlepszy orgazm w życiu.

Bern się śmieje. Głośno. Gwendy się krzywi. Musi ściszyć dźwięk, ale jak to się robi? Wiedziała jeszcze przed chwilą, nawet to zrobiła, ale teraz nie pamięta.

To jest na twoim iPadzie. Wszystko tam jest.

Zanim zdążyła zmniejszyć głośność, Bern się wyłącza i wraca Ops Com, łączność operacyjna. W dole i już bardzo daleko Eileen Braddock mówi im, że minęli punkt bez powrotu.

Kathy:

– Przyjęłam, bez powrotu.

Teraz już nie ma powrotu, myśli Gwendy i jej strach ustępuje miejsca szaleńczej euforii, jakiej wcale się nie spodziewała. Kosmos albo kraksa.

Daje znak Jafariemu, żeby podniósł wizjer hełmu, i podnosi swój. Wbrew przepisom, ale to tylko na parę sekund, bo chce coś powiedzieć. Musi coś powiedzieć, inaczej pęknie.

– Jaff! Zobaczymy gwiazdy!

Astronom się uśmiecha.

– Łaska Boża, Gwendy. Łaska Boża.



PO WIZYCIE PETE’A RILEYA GWENDY zaczęła czytać o Paulu Magowan, republikańskim senatorze z Maine sprawującym urząd przez pierwszą kadencję. W miarę czytania ogarniał ją coraz większy niesmak. Młodsza Gwendy Peterson byłaby przerażona do głębi, ale nawet w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat, mając za sobą kilka politycznych podróży, czuła lekką zgrozę.

Magowan był zaprzysięgłym fiskalnym konserwatystą, deklarującym, że nie pozwoli, żeby krzywdzące podatki obciążały hipotekę wnuków jego wyborców, nie miał jednak żadnego problemu z wycinaniem lasów w Maine i uchylaniem zakazów rybołówstwa na obszarach pod ochroną. Najwyraźniej wyznawał pogląd, że to wnuki, o których ciągle głądził, zajmą się tymi problemami, kiedy przyjdzie czas. Obiecywał, że z pomocą prezydenta Trumpa oraz innych „przyjaciół amerykańskiej ekonomii” uruchomi ponownie zakłady włókiennicze w Maine „od Kittery do Fort Kent”.

Zbywał machnięciem ręki takie kwestie jak kwaśne deszcze czy zatrute rzeki, w których w połowie dwudziestego wieku, kiedy zakłady działały na okrągło siedem dni w tygodniu, wyławiano takie cuda jak dwugłowe łososie. Zapytany, jak te amerykańskie produkty mogą konkurować z tanim importem z Chin, Magowan odpowiadał wyborcom: „Zablokujemy cały import z Chin oprócz wieprzowiny moo shu i kurczaków generała Tso”.

Ludzie autentycznie się śmiali i oklaskiwali te bzdury.

Oglądając to konkretne wideo na YouTube, Gwendy przypomniała sobie, co powiedział Pete Riley podczas swojej wizyty rozpoznawczej w grudniu 2018 roku: „Ludzie odwracają się od szczepień, od praw kobiet, od nauki, od samego pojęcia równości. Odwracają się od prawdy. Pomijając politykę, ktoś powinien wstać

i kazać im spojrzeć na te wszystkie rzeczy, w które łatwiej i wygodniej jest nie wierzyć”.

Postanowiła, że będzie tym kimś, ale kiedy Pete zadzwonił do niej w marcu 2019 roku, powiedziała mu, że jeszcze się nie zdecydowała.

– No to lepiej się pospiesz. W polityce szybko robi się za późno, jak dobrze wiesz – ostrzegł. – Jeśli zamierzasz spróbować, chcę kierować twoją kampanią. To znaczy jeśli się zgodzisz.

– Z tym twoim uśmiechem jak mogłabym odmówić? – Gwendy sama się uśmiechnęła.

– Więc powinienem zacząć cię pozycjonować.

– Zapytaj mnie jeszcze raz w kwietniu.

Pete jęknął cicho, jakby nadepnęła mu na stopę.

– Dopiero w kwietniu?

– Muszę się namyślić. I oczywiście porozmawiać z mężem. – Chociaż właściwie mogła przewidzieć reakcję Ryana.

Tak naprawdę musiała skończyć książkę, *Miasto nocy* (tytuł już wykorzystany przez Johna Rechy’ego, ale za dobry, żeby nie użyć go znowu), i uprzątnąć biurko. Potem zamierzała przypuścić frontalny atak na senatora Paula Magowana. Ponieważ nie miała absolutnie żadnych szans na wygraną, czuła się z tym dobrze.

Kiedy powiedziała Ryanowi, zareagował właśnie tak, jak się spodziewała.

– Pójdę kupić butelkę wina. Porządne. Musimy to uczcić. Panie i panowie, Gwendy Peterson POWRACA!

ZA ILUMINATOREM GWENDY NIEBO jest teraz ciemne, bardziej niż ciemne. „Czarno jak w czarnej dupie”, powiedziała by Ryan. Kabina jeszcze bardziej się obraca, fotel Gwendy dostosowuje się do tego i nagle wszystkie trzy monitory są prosto przed nią zamiast nad jej głową. Ryk silników cichnie i nagle Gwendy unosi się w pięciopunktowej uprzęży. Przypomina jej się uczucie, kiedy wagonik kolejki górskiej zaczyna zjazd, tylko że to uczucie się nie kończy.

– Załoga, można zdjąć hełmy – ogłasza Sam. – Rozepnijcie kombinezony, jeśli chcecie, ale na razie ich nie zdejmujcie.

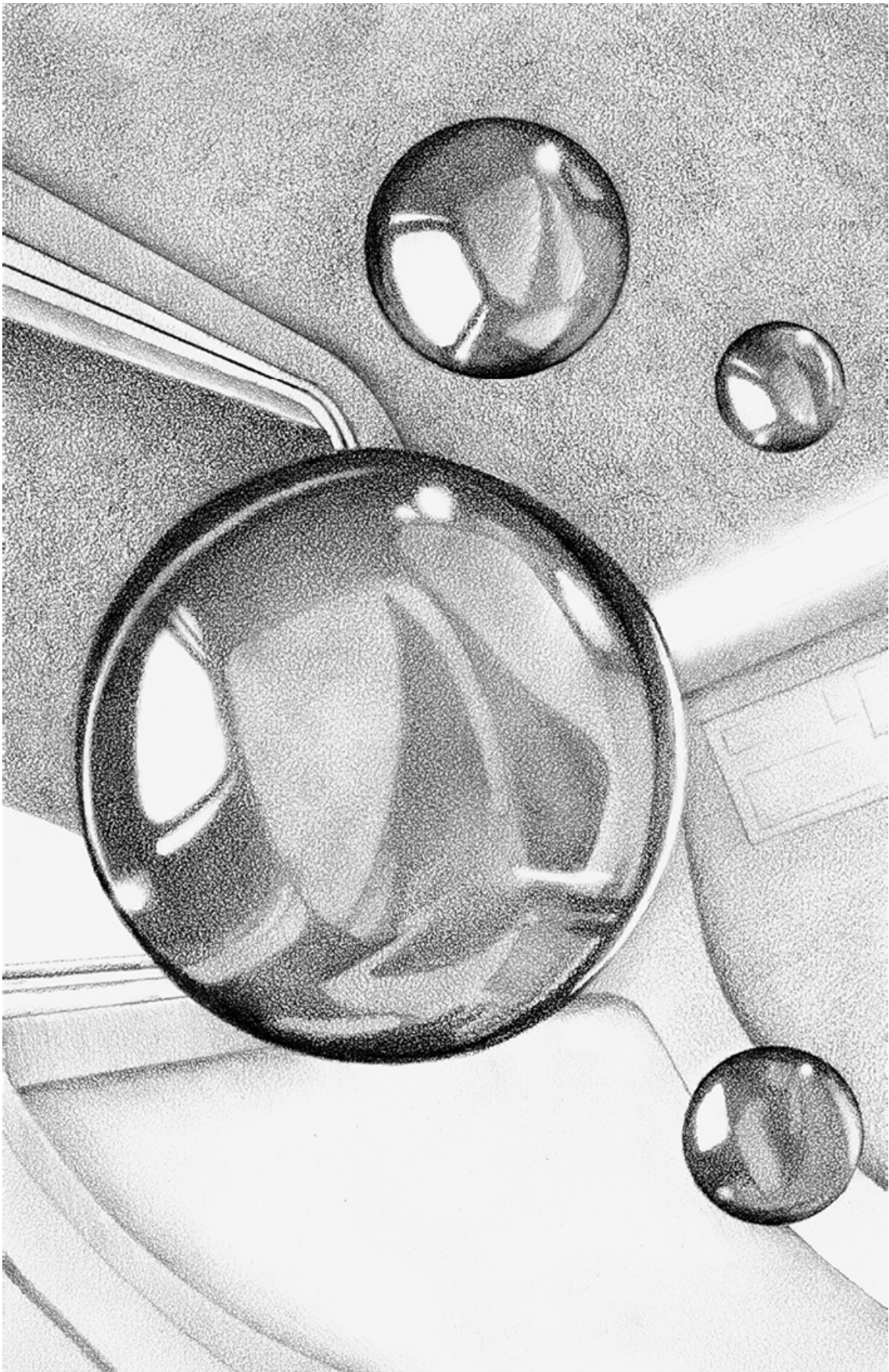
Gwendy odpina hełm, zdejmuje go... i patrzy, jak hełm unosi się najpierw przed jej twarzą, a potem leniwie dryfuje do góry. Rozgląda się i widzi, że trzy pozostałe hełmy też dryfują. Gareth Winston łapie swój.

– Co, do cholery, mam z nim zrobić? – pyta drżącym głosem.

Ona to pamięta i Winston też powinien; Bóg jeden wie, że mieli wystarczająco dużo prób kostiumowych.

– Pod fotel – mówi Reggie Black. – Twój pojemnik, pamiętasz?

– Racja – przyznaje Winston, ale nie dodaje „Dziękuję”; chyba nie ma tego słowa w swoim słowniku.



Gwendy otwiera po omacku klapę, wkłada do środka hełm i czeka na ciche kliknięcie, kiedy magnetyczna obwódka na jego krawędzi trafi na odpowiednie kółko na ścianie jej osobistego schowka, zadziwiająco dużego. Jest tam również miejsce na jej kombinezon ciśnieniowy, kiedy nadejdzie pora, ale na razie chce tam tylko włożyć stalową kasetkę z niebezpieczną zawartością. Wyjmuje ją spod kolan, wkłada do schowka i odkrywa, że musi ją przytrzymać, żeby nie odleciała jak balon napełniony helem.

Stal lata, myśli. Rany boskie, jestem w miejscu, gdzie stal lata.

– Senator Peterson! – woła Kathy. – Gwendy! Chodź tu. Chcę ci coś pokazać. Pamiętasz, jak się poruszać?

Nie pamięta. Wszystko przepadło. Nie powinno, ale przepadło.

Reggie Black, fizyk misji, ratuje ją z opresji.

– Parę powolnych ruchów – podpowiada. – Ostrożnie, żeby...

Teraz Gwendy sobie przypomina.

– Żeby nie walnęła głową w guzik DESTRUKCJA. – Żart, którego się nauczyli na treningu.

– Właśnie – rzuca rozpromieniony Adesh. – Nie wolno uderzyć w ten guzik!

Winston milczy. Gwendy widzi, że jest urażony, że nie zaproszono go na górę jako pierwszego; zapłacił przecież za lot. Facet może jest nieprzyzwoicie bogaty, ale teraz z wysuniętą dolną wargą wygląda jak nadąsany dzieciak.

Gwendy rozpiną pasy i śmieje się, kiedy powoli unosi się z fotela. Podciąga kolana do piersi, jak ją uczono na treningu, i powoli się obraca. Prostuje nogi. Jakby leżała na brzuchu w łóżku, tylko że oczywiście tu nie ma łóżka. I nie musi wykonywać żadnych ruchów. Jafari zaciska dłoń na jej kostce i popycha ją łagodnie. Zachwycona Gwendy ze śmiechem unosi się do sufitu (tylko że teraz to przednia ściana kabiny) nad głowami Reggiego, Berna i doktora Glena. To jak sen, myśli.

Chwyta oparcie fotela Davida Gravesa i podciąga się między Kathy a jej zastępcą, którego nazwisko wyleciało jej z pamięci. Coś z wodą, ale nie pamięta

co.

W sterowni nie ma iluminatorów, jest tylko wąskie okno, długie na półtora metra i szerokie na piętnaście centymetrów.

– Zobaczysz to lepiej na swoim środkowym ekranie – mówi cicho Kathy. – I oczywiście na tablecie, ale pomyślałam, że po raz pierwszy chciałabyś spojrzeć w ten sposób. Bo w końcu te misje są nadal możliwe również dzięki tobie.

Miałam własny powód, myśli Gwendy. Eksploracja kosmosu, poszerzanie ludzkiej wiedzy, jasne. Ale teraz jest coś jeszcze.

Przez jedną przerażającą chwilę nie pamięta, czym jest to coś, chociaż to najważniejsza rzecz w jej życiu. Potem strach zostaje wyparty z jej umysłu przez to, co widzi na dole... i tak, to zdecydowanie jest na dole.

Rodzimy świat wisi w pustce, błękitno-zielony i otulony w szale białych chmur. Oczywiście widziała zdjęcia, ale rzeczywistość oglądana na własne oczy jest oszałamiająca. Tutaj, w czarnej próżni kosmosu, świat kipi nieprawdopodobnym życiem, pięknym życiem, cudownym życiem.

– To jest Pacyfik – mówi cicho zastępca dowódcy i teraz, kiedy Gwendy się nie wysila, pamięta jego nazwisko. Sam Drinkwater.

– Jakim cudem Ameryka zniknęła tak szybko, Sam?

– Kwestia prędkości. Właśnie przelatujemy nad Hawajami. Zaraz pojawi się Japonia.

Gwendy widzi w dole biały wir pośrodku błękitu i przypomina sobie monsun, który zobaczyła, sprawdzając rano prognozę pogody na komputerze, kiedy nie mogła spać. Ale to nie ekran komputera, to widok z okna Boga.

– To jest czyste piękno – mówi do Sama i zaczyna płakać. Łzy unoszą się i zawisają nad nią, idealne nieważkie diamenty.

OCZYWIŚCIE OPOZYCJA JUŻ SIĘ na nią czaiła.

Mogli się do tego przygotować, ponieważ Gwendy była jedynym możliwym kandydatem z ramienia demokratów. Ogłosiła swoje zamiary w sierpniu 2019 roku, stojąc u boku męża. Przemawiała z podium dla orkiestry w miejskim parku w Castle Rock, gdzie za każdym razem zgłaszała swoją kandydaturę do Izby Reprezentantów. Zjawili się reporterzy i kamerzyści ze wszystkich stacji telewizyjnych w Maine, plus blogerzy i nawet facet z ogólnokrajowej, który pewnie przypadkiem był w okolicy: Miguel Almaguer z NBC News. Dopisała również frekwencja miejscowych – wiwatowali aż do zachrypnięcia. Gwendy spostrzegła nawet kilka transparentów domowej roboty. Najbardziej spodobał jej się ten, którym wymachiwała jej dawna przyjaciółka Brigitte Desjardin: HEJ, MAINE! GWENDY JEST TRENDY!

Reakcje na przemówienie Gwendy okazały się pozytywne (miejscowe stacje NPR nadały wieczorem całe dziesięć minut). Paul Magowan skomentował jej wystąpienie z typowym dla siebie lekceważeniem: „Witamy w wyścigu, mała kobietko... przynajmniej będziesz mogła pocieszyć się swoimi książkami, kiedy będzie po wszystkim”.

Jego kampania została praktycznie wstrzymana przez cały następny rok, ponieważ mieszkańcy stanu Maine zaczęli się interesować miejscową polityką dopiero kilka miesięcy przed wyborami, ale wystrzelili wstępną salwę dwudziestego siódmego sierpnia, dzień po przemowie Gwendy. Całostronicowe reklamy w gazetach i sześćdziesięciosekundowe spoty w telewizji zaczynały się od: *Ulubiona pisarka Maine kandyduje do Senatu Stanów Zjednoczonych!*

W gazetach poniżej wydrukowano, a w telewizji odczytano fragment *Dzkiej róży*, wydanej w 2013 przez Vikinga. Gwendy była zgryźliwie ubawiona pompatycznym tonem lektora w telewizji.

– Andrew objął ją od tyłu, mocno przyciskając jedną rękę do jej nagiego brzucha. Drugą ręką pieścił jej (bip), aż zaczęła ciężko dyszeć.

– Chcę, żebyś mnie teraz (bip) – powiedziała. – I nie przestawaj, dopóki nie (bip).

Zaniósł ją do sypialni i rzucił na wielkie łóżko. Dysząc, obróciła się na bok i chwyciła jego (bip).

– Teraz, Andy – szepnęła. – Nie mogę już dłużej czekać.

Pod tym fragmentem w gazecie i na tle wyjątkowo mało korzystnego zdjęcia Gwendy w telewizji (usta otwarte, oczy przymrużone, mina kretynki) umieszczono pytanie: *CZY W WASZYNGTONIE NIE MAMY JUŻ DOŚĆ PORNOGRAFII?*

Rozśmieszył ją ten ordynarnie oszczerczy atak. Jej męża nie.

– Powinnaś ich pozwać za wypaczenie charakteru postaci z twojej powieści! – zawołał Ryan, odrzucając z niesmakiem portlandzkiego „Currenta”.

– Och, oni uwielbiają wciągać mnie w swoje błoto – odparła Gwendy. Podniosła gazetę i przeczytała fragment. – Wiesz, czego to dowodzi?

– Że Magowan nie cofnie się przed niczym? – Ryan wciąż się wściekał. – Że gotów jest nawet założyć cylinder i żonglować grzechotnikami?

– Dobrze, ale nie o tym myślałam. To dowodzi, że wszystko zależy od kontekstu. *Dzika róża* jest lepsza, niż ten kawałek to sugeruje. Niewiele, ale jednak.

W następnych tygodniach, pytana o tak zwaną pornografię, Gwendy odpowiadała z uśmiechem:

– Biorąc pod uwagę historię kampanii senatora Magowana, nie jestem pewna, czy odróżnia pornografię od polityki. A skoro poruszamy temat pornografii, możecie go zapytać o romans jego kumpla Donalda Trumpa ze Stormy Daniels. Zobaczymy, co będzie miał o tym do powiedzenia.



Jak się okazało, Magowan nie miał wiele do powiedzenia o Stormy Daniels i w końcu cała sprawa przycichła, jak każda burza w szklance wody. Obie kampanie zwolniły tempo, kiedy babie lato 2019 roku ustąpiło miejsca fali chłodów. Kiedy zacznie się poważna walka wyborcza, Magowan będzie mógł ponownie przytoczyć ten starannie wybrany fragment z jej książki, ale biorąc pod uwagę jej ostrą ripostę, może tego nie zrobić.

Tamtego roku Gwendy i Ryan pomagali podawać obiad na Święto Dziękczynienia setce bezdomnych w schronisku na Oxford Street w Portlandzie. Wrócili do Castle Rock późno i Ryan poszedł prosto do łóżka. Gwendy przebrała się w piżamę i chciała już położyć się obok męża, ale uświadomiła sobie, że jest zbyt nakręcona, żeby zasnąć. Postanowiła zejść na dół i wypić kieliszek wina – tylko parę łyków, żeby pozbyć się resztek tremy, którą wciąż odczuwała nawet po latach publicznych występów.

Richard Farris czekał na nią w kuchni.

To samo ubranie, ten sam czarny melonik, ale poza tym bardzo się zmienił. Był stary.

I chory.

KIEDY GWENDY ODWRACA SIĘ, ŻEBY przepłynąć z oficierskiego terenu do strefy załogi, niemal zderza się czołowo z Garethem Winstonem, który unosi się tuż za nią.

– Miejsce dla wielkiego człowieka, pani senator.

Gwendy przekręca się na bok, łapie uchwyt i przeciąga się z powrotem na swój fotel, podczas gdy Winston wciska się między Gravesa a Drinkwatera. Wygląda przez szczelinę przez dłuższą chwilę, po czym mówi:

– Hm. Z iluminatora widok jest lepszy.

– Więc proszę korzystać – rzuca Kathy. – Sugeruję, żeby pan pozwolił tu przyjść i rzucić okiem tym, którzy nie mają iluminatora.

Dave Graves sprawdza szereg wykresów na komputerze i mamrocze coś do Sama, ale przerywa na chwilę, żeby rzucić Gwendy przeciągłe spojrzenie, unosząc brwi. Nie jest pewna, czy chce jej przekazać: „Trzy tygodnie z tym facetem to będzie niezła zabawa”, ale nie ma wątpliwości, że właśnie tak będzie. Poznała wielu bogatych ludzi w Waszyngtonie, bo ciągną do władzy jak ćmy do światła i większość z nich jest całkiem w porządku; chcą być lubiani. Gareth chyba jest wyjątkiem od tej reguły.

Gwendy chwyta oparcie fotela, wykonuje zgrabny przewrót (przy zerowej grawitacji jej sześćdziesięcioletnie ciało ma znowu czterdzieści lat) i siada. Zapina uprząż i rozsuwa zamek kombinezonu do pasa. Wyjmuje notes z elastycznej kieszeni czerwonego wewnętrznego kombinezonu, nie dlatego, że go potrzebuje w tej chwili, ale żeby się upewnić, że jest na miejscu. Notes jest pełen nazwisk, różnych list i innych informacji.

Niektórych jeszcze nie potrzebuje, ale przeczytała dostatecznie dużo o swojej przypadłości, by wiedzieć, że to się zmieni w miarę postępującej degeneracji jej władz umysłowych. *1223 Carbine Street* – jej adres. *Pippa* – imię podstarzałej jamniczki jej ojca. *Cmentarz Homeland* – miejsce, gdzie pochowano jej matkę. Spis jej lekarstw, obecnie zapewne umieszczonych w jej małej kabinie razem ze skąpą garderobą, którą pozwolono jej zabrać. Żadnych numerów telefonów, bo iPhone nie będzie tu działał (choć Eileen Braddock zapewniła ją, że za parę lat taka usługa będzie dostępna), ale jest kompletna lista funkcji jej telefonu oraz spis obowiązków jako obserwatora pogody na Eagle. Może to praca bez znaczenia, zamierzała jednak wykonywać ją jak najlepiej.

Najważniejsza rzecz w jej protezie pamięci (tak myśli o notesie) znajduje się w połowie, napisana czerwonym atramentem i wzięta w ramki: *1512253*. To kod otwierający niemożliwą do otworzenia w inny sposób stalową kasetkę. Sama myśli, że zapomni ten numer i nie będzie mogła się dostać do pudełka z guzikami, napawa Gwendy przerażeniem.

Adesh przyciągnął się, żeby wyjrzeć przez iluminator Winstona, a Jafari Bankole zagląda mu przez ramię. Chwilowo z tego miejsca nie widać Ziemi, ale doktor Glen przeciągnął się na dół, żeby wyjrzeć po drugiej stronie.

– Niesamowite – zachwyca się. – Niesamowite! To co innego niż zdjęcia czy nawet film, prawda?

Gwendy zgadza się i otwiera notes na stronie załogi, ponieważ zapomniała, jak lekarz ma na imię. A Reggie Black... czym się zajmuje? Wiedziała jeszcze przed paroma minutami, ale teraz to jej umknęło.

Z notesu wypływa piórko i wracający na swoje miejsce Winston sięga po nie.

– Nie dotykaj tego – rzuca ostro Gwendy.

Miliarder nie zwraca na to uwagi, po prostu chwyta piórko w powietrzu, ogląda je z zaciekawieniem, potem jej podaje.

– Co to jest?

– Piórko – odpowiada Gwendy i powstrzymuje się od dodania: „Ślepy jesteś?”. W końcu musi mieszkać z tym facetem, a jego wsparcie programu kosmicznego się liczy. Jeśli znajdą ślady życia w Układzie Słonecznym albo poza nim, może się to zmienić, ale na razie jest, jak jest. – Używam go jako zakładki.

– Pewnie to amulet na szczęście.

Jest zaskoczona tym bystrym komentarzem i robi jej się trochę nieswojo.

– Jak zgadłeś?

Winston się uśmiecha.

– Masz to samo piórko wytatuowane na kostce. Widziałem je w sali gimnastycznej, kiedy ćwiczyłaś na bieżni.

– Powiedzmy, że je lubię.

On kiwa głową i chyba traci zainteresowanie.

– Panowie? Mogę odzyskać mój fotel? I mój iluminator? – Kładzie lekki, lecz zauważalny nacisk na „mój”.

Adesh i Jafari usuwają mu się z drogi jak para pstrągów ustępujących miejsca przekarmionej focie.

– To cudowne – mówi półgłosem Jafari do Gwendy. Ona z uśmiechem kiwa głową.

Uzyskawszy trochę przestrzeni do manewrów, Gwendy ponownie rozpina uprząż i zdejmuje skafander ciśnieniowy. W trakcie tego niechcący robi fikołka do przodu i myśli, że nieważkość wcale nie jest taka fajna, jak ją zachwalają. Wkłada złożony kombinezon do schowka pod fotelem, obok stalowej kasetki, po czym opuszcza się na najniższy poziom, który będzie ogólnodostępną salą dla pasażerów podczas przyszłych lotów orbitalnych... i może podczas lotów na Księżyc. Takie udogodnienie jest całkowitą nowością i nie ma go w statku lecącym bezpośrednio do stacji MF. To jego dziewiczy lot.

Pomieszczenie ma kształt podłużnej pigułki i jest zadziwiająco przestronne. W podłodze osadzono dwa duże ekrany widokowe; jeden pokazuje pusty czarny kosmos, drugi – szerokie ramię Matki Ziemi okryte woalem atmosfery (trochę

brudnawym, zauważa mimo woli Gwendy). Na lewej burcie są dwie kabiny, kolejna – główna – jest na sterburcie. Błyszczące białe drzwi przypominają Gwendy szuflady w kostnicy z seriali kryminalnych, które lubi oglądać. Tabliczka na drzwiach toalety ostrzega: PRZED UŻYCIEM ZAWSZE SPRAWDŹ PROCEDURĘ.

Gwendy na razie nie potrzebuje skorzystać z toalety, więc wykonuje leniwe kopnięcie i płynie do kabiny z napisem SEN. PETERSON na drzwiach. Klamka przypomina uchwyt na drzwiach lodówki. Gwendy pociąga za nią i przytrzymuje się krawędzi drzwi, żeby dostać się do środka. Kabina – raczej wnęka – również ma kształt podłużnej pigułki, ale jest dużo mniejsza. Wręcz klaustrofobiczna. Kojarzy się Gwendy z kwaterami załogi łodzi podwodnej w filmach o drugiej wojnie światowej. Jest tam koja z uprzężą, żeby śpiący nie odleciał trzydzieści centymetrów wyżej pod łukowaty sufit, miniaturowa lodówka wystarczająca, żeby pomieścić trzy albo cztery butelki soku czy gazowanego napoju (i może kanapkę, jeśli ktoś jest bardzo głodny) oraz, ni mniej, ni więcej, tylko ekspres do kawy Keuriga. Kawa w kabinie, myśli Gwendy. Szczyt luksusu podróży kosmicznych.

Na maleńkiej lodóweczce stoi przytrzymywana magnesem fotografia w stalowej ramce, przedstawiająca Gwendy, Ryana i jej rodziców na plaży w parku stanowym Reid, obejmujących się i roześmianych.

Gwendy wkrótce przystąpi do wypełniania swoich pogodowych obowiązków, na razie jednak musi się skupić i przejrzeć informacje o załodze. Kładzie się na koi i przypina pasami. Gdzieś tam szumią serwomechanizmy, ale poza tym w jej małej zimnej kapsule panuje upiorna cisza. Chociaż okrążają planetę z prędkością tysięcy kilometrów na godzinę, nie ma żadnego wrażenia ruchu. Gwendy otwiera czerwony notes i znajduje strony dotyczące załogi. Nazwiska i skrócone biografie. Reggie Black jest fizykiem, oczywiście. A doktor Glen ma na imię Dale. Łatwizna, bułka z masłem... ale to wszystko może znowu zniknąć za godzinę, nawet za piętnaście minut.

Chyba zwariowałam, że się w to wpakowałam, myśli Gwendy. Ukrywanie mojego stanu jest szaleństwem. Ale on nie dał mi wyboru. „To musisz być ty,

Gwendy – powiedział. – Nie mam nikogo innego”. Więc się zgodziłam. Właściwie nawet się do tego zapaliłam. Tylko że...

– Tylko że wtedy nic mi nie dolegało – szepcze Gwendy. – Przynajmniej tak sądziłam. O Boże, pomóż mi przez to przejść.

Tutaj, na górze, po tym, co zobaczyła wcześniej – Ziemię tak kruchą i piękną w czarnej pustce – łatwiej jest uwierzyć, że On czy Ona naprawdę istnieje.

– CO... – ZACZEŁA GWENDY, zamierzając spytać: „Co pan tu robi?” albo „Co panu jest?”; jeszcze nie zdecydowała, ale Farris nie pozwolił jej dokończyć.

Przyłożył palec do ust i szepnął:

– Sza. – Spojrzał na sufit. – Nie obudź męża. Wyjdźmy.

Podniósł się z trudem, zachwiał się i przez chwilę myślała, że upadnie. W końcu złapał jednak równowagę, dysząc ciężko. Spękane wargi – czyżby to była opryszczka? – odsłaniały pożółkłe zęby. Kilku brakowało.

– Pod stołem. Weź to. Szybko. Nie ma wiele czasu.

Pod stołem leżał brezentowy worek. Ostatni raz widziała go, kiedy miała dwanaście lat, czterdzieści pięć lat wcześniej, ale natychmiast go rozpoznała. Schyliła się i podniosła worek za sznurek ściągający otwór. Farris chwiejnie ruszył do kuchennych drzwi. Obok nich stała oparta o ścianę laska. Gwendy spodziewała się, że taki niezwykły osobnik – postać prosto z bajki – będzie miał równie niezwykłą laskę, może zwieńczoną srebrnym wilczym łbem, ale to była zwyczajna laska z wygiętą rączką i porysowanym rowerowym chwytem u podstawy. Farris oparł się na niej, sięgnął niezdarnie do klamki i znowu o mało nie upadł. Czarna marynarka, czarne dżinsy, biała koszula: ten strój, niegdyś leżący idealnie, z niedbałą elegancją, teraz wisiał na nim niczym łachmany stracha na wróble.

Wzięła Farrisa pod ramię (takie chude pod marynarką), żeby go podtrzymać, i sama otworzyła drzwi. Te i wszystkie pozostałe zamykali w nocy na klucz i włączali alarm, teraz jednak gałka obróciła się z łatwością, a panel alarmu na ścianie był ciemny, bez żadnego napisu na wyświetlaczu.

Wyszli na zabudowaną tylną werandę, skąd jeszcze nie zabrano wiklinowych mebli na zimę. Richard Farris chciał usiąść na jednym z foteli, ale nogi odmówiły

mu posłuszeństwa i upadł ciężko na siedzenie, wydając stłumiony jęk bólu, kiedy jego pośladki uderzyły w poduszkę. Dyszał przez chwilę, stłumił kaszel rękawem (noszącym liczne ślady wcześniej wykaszlanej flegmy) i spojrzał na nią. Przynajmniej oczy miał takie same. I lekki uśmieszek.

– Koniecznie musimy pogadać, ty i ja.

Nie tak powiedział, kiedy po raz pierwszy się spotkali; podobnie, ale niedokładnie tak samo. Wtedy powiedział tylko: „Musimy pogadać”. „Koniecznie” nadało temu całkiem nowy wymiar, pomyślała.

Zamknęła drzwi, usiadła na bujanej kanapie, z brezentowym workiem między stopami, i zadała te same pytania, które zadałaby w kuchni, gdyby Farris nie przypomniał, że na górze śpi jej mąż.

– Co panu jest? I po co pan przyszedł?

Zdobył się na uśmiech.

– Cała Gwendy, od razu przechodzi do rzeczy. Mniejsza o to, co mi jest. Przyszedłem, ponieważ doszło do czegoś, co ten mały zielony gostek Yoda nazywał zaburzeniem Mocy. Niestety, muszę cię poprosić...

Zaczął kaszleć, zanim dokończył zdanie. Spazmy wstrząsały jego chudym ciałem i Gwendy znowu pomyślała, że wygląda jak strach na wróble, teraz szarpany silnym jesiennym wiatrem.

Zaczęła wstawać.

– Przyniosę panu szklanekę wo...

– Nie. Nie przyniesiesz.

Zdołał opanować kaszel. Ten wysiłek powinien zaróżowić mu policzki, ale jego twarz pozostała śmiertelnie blada. Oczy miał chorobliwie ciemno podkrążone.

Pogrzebał w kieszeni marynarki i wyciągnął buteleczkę pigułek. Znowu zaczął kaszleć, zanim zdążył zdjąć nakrętkę, i buteleczka wypadła z jego drżących palców. Potoczyła się i zatrzymała na brezentowym worku. Gwendy ją podniosła. Była to brązowa buteleczka z apteki, ale na etykietce nie było żadnych informacji, tylko kilka run, na których widok dziwnie zakręciło jej się w głowie. Zamknęła oczy, po



chwili je otworzyła i zobaczyła słowo DINUTIA, które nic dla niej nie znaczyło. Kiedy mrugnęła, dziwaczne runy powróciły.

– Ile? – spytała.

Kaszlał zbyt mocno, żeby odpowiedzieć, ale podniósł dwa palce. Gwendy zdjęła nakrętkę i wytrząsnęła dwie małe pigułki wyglądające jak ranolazyna, którą jej ojciec zażywał na dusznicę. Włożyła je do wyciągniętej ręki Farrisa (nie miał żadnych linii dłoni, wewnątrz było idealnie gładkie), a kiedy wrzucił je do ust, z przerażeniem dostrzegła na jego wargach kropelki krwi. Przełknął, zaczerpnął tchu, potem odetchnął drugi raz, głębiej. Na jego policzki wróciła odrobina koloru i znowu zobaczyła w nim mężczyznę, którego po raz pierwszy spotkała przed wielu laty w parku widokowym Castle View, na szczycie Schodów Samobójców.

Kaszlel przycichł, potem całkiem ustał. Farris wyciągnął rękę po buteleczkę. Gwendy zajrzała do środka, zanim nałożyła z powrotem zakrętkę. Zostało tylko kilka pigułek, najwyżej osiem. Farris schował buteleczkę do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyprostował się i spojrzał na ciemne podwórze.

– Tak lepiej.

– To lekarstwo na serce?

– Nie.

– Na raka? – Jej matka brała winkrystynę i abraxane, chociaż żadne z nich nie wyglądało jak małe białe tabletki, które połknął Farris.

– Jeśli naprawdę musisz wiedzieć, Gwendy... zawsze byłaś ciekawa... wiele rzeczy mi dolega i wszystkie dopadły mnie jednocześnie. Lata, które mi darowano... a było ich wiele... wracają tłumnie niczym głodni goście do restauracji. – Obdarzył ją swoim uroczym lekkim uśmiechem. – I wierz mi, że są bardzo głodne. Jestem dla nich jak bufet.

– Ile pan ma lat?

Farris pokręcił głową.

– Mamy ważniejsze rzeczy do omówienia, a mój czas się kończy. Są kłopoty, za które odpowiada to coś w worku. Pamiętasz, kiedy ostatnio rozmawialiśmy?

Gwendy pamięta bardzo dobrze. Była na lotnisku South Airpark w Portlandzie. Kiedy Ryan poszedł zaparkować samochód, siedziała na ławce i stały przy niej bagaże, włącznie z podręczną walizką zawierającą pudełko z guzikami. Richard Farris usiadł obok i powiedział, że powinni pogadać, zanim ktoś im przeszkodzi. Więc gadali. Kiedy skończyli rozmawiać, pudełko z guzikami znikło z walizki. Raz, dwa, trzy i nie ma. To samo stało się z Farrisem. Na chwilę odwróciła głowę, a kiedy znowu spojrzała, już go nie było. Wtedy myślała, że nigdy więcej go nie zobaczy.

– Pamiętam.

– To było dwadzieścia lat temu. – Zniżył głos, ale chrypka zniknęła, ręce już mu się nie trzęsły i wróciły kolory. Tylko chwilowo, pomyślała Gwendy; pielęgnowała matkę przed jej śmiercią, a teraz stan ojca pogarszał się powoli, lecz stale. Pigułki mogły pomóc tylko na krótko. – Wtedy byłaś podrzędną kongresmenką w Izbie Reprezentantów, jedną spośród setek. Teraz sięgasz po prawdziwą władzę.

Gwendy zaśmiała się cicho. Richard Farris na pewno dużo wiedział, ale jeśli myślał, że ona pobije Paula Magowana i wejdzie do Senatu Stanów Zjednoczonych, to gównem się znał na polityce w Maine.

Uśmiechnął się, jakby dokładnie wiedział, co Gwendy myśli (niepokojąca koncepcja, jednak całkiem możliwa). Po chwili uśmiech zbladł.

– Kiedy po raz pierwszy dostałaś pudełko, miałaś je przez sześć lat. Zdumiewające. Od tamtego dnia na lotnisku przeszło aż przez siedem par rąk.

– Za drugim razem miałam je tylko przez chwilę – przypomniała mu. – Ale dostatecznie długo, żeby uratować życie mojej matce... ciągle w to wierzę... jednak niewiele dłużej.

– To była sytuacja awaryjna. Teraz jest następna. – Farris ze wstrętem szturchnął nogą brezentowy worek, spoczywający między kapciami Gwendy. – Ta rzecz. Ta przeklęta rzecz... Jakże jej nienawidzę. Jakże się jej brzydzę.

Gwendy nie wiedziała, jak na to odpowiedzieć, ale wiedziała, co czuje: strach. Przypomniało jej się dawne powiedzenie matki: ND. Niedobrze.

– Z roku na rok rośnie w moc. Z roku na rok jego zdolność czynienia dobra słabnie, a zdolność czynienia zła potężnieje. Pamiętasz czarny guzik, Gwendy?

– Oczywiście – przytaknęła Gwendy przez zdrętwiałe wargi. – Nazywałam go Guzikiem Raka.

Farris kiwnął głową.

– Dobra nazwa. To ten, który ma moc unicestwienia wszystkiego. Nie tylko życia na Ziemi, ale samej Ziemi. A co roku posiadacz pudełka czuje silniejszy przymus, żeby go nacisnąć.

– Niech pan tak nie mówi. – Gwendy była na krawędzi łez. – Proszę, panie Farris, niech pan tak nie mówi.

– Myślisz, że chcę? – zapytał szorstko. – Myślisz, że chciałem tu przyjść i obarczyć cię tą... wybacz język... tą pieprzoną rzeczą po raz trzeci? Ale muszę, Gwendy. Po prostu tylko tobie mogę zaufać, że zrobisz to, co trzeba, i tylko ty może... powtarzam, może... będziesz w stanie to zrobić.

– Co mam zrobić?

Przynajmniej tego się dowie, a potem zdecyduje. To znaczy jeśli będzie mogła, bo jeżeli on zostawi jej pudełko z guzikami, będzie na nie skazana.

Nie, pomyślała, nie będę. Obciążę worek kamieniami i wrzucę do jeziora Castle.

– Siedmiu właścicieli od dwutysięcznego roku. Każdy następny miał je przez coraz krótszy czas. Pięciu popełniło samobójstwo. Jeden zabrał ze sobą całą rodzinę. Żonę i trójkę dzieci. Dubeltówka. Powtarzał w kółko policyjnemu negocjatorowi: „To pudełko mnie do tego zmusiło, pudełko z guzikami”. Oczywiście nie mieli pojęcia, o czym mówi, bo wtedy nie miał już pudełka. Odebrałem mu je.

– Dobry Boże – szepnęła Gwendy.

– Jeden jest w zakładzie dla umysłowo chorych w Baltimore. Wrzucił pudełko z guzikami do pieca w krematorium. Oczywiście to nic nie dało. Sam go tam wysłałem. Siódmą, ostatnią, osobę... zabiłem przed miesiącem. Nie chciałem, bo byłem odpowiedzialny za to, kim się stała, ale nie miałem wyboru. – Przerwał. – Pamiętasz te kolory, Gwendy? Nie czerwony i czarny, wiem, że te pamiętasz.

Oczywiście, że pamiętała. Czerwony guzik robił, co chciała, na dobre czy złe. Czarny oznaczał masową zagładę. Pozostałe sześć pamiętała równie dobrze.

– Przedstawiają kontynenty na Ziemi – powiedziała. – Jasnozielony to Azja. Ciemnozielony Afryka. Pomarańczowy to Europa. Żółty Australia. Niebieski to Ameryka Północna, a fioletowy to Ameryka Południowa.

– Tak. Dobrze. Szybko się uczyłaś, nawet jako dziecko. Później może nie będzie tak szybko, ale jeśli się postarasz... bardzo się postarasz, ze wszystkich sił...

– Nie rozumiem. – Gwendy pomyślała, że pigułki, które połknął, przestają działać.

– Nieważne. Ostatnia właścicielka nazywała się Patricia Vachon. Była nauczycielką z Vancouver pracującą z upośledzonymi umysłowo dziećmi i pod wieloma względami przypominała cię, Gwendy. Silny charakter, zrównoważona, gotowa do poświęceń, z głęboko zakorzenionymi zasadami moralnymi. Święta, ale nie świętoszkowata, jeśli rozumiesz różnicę.

Gwendy rozumiała.

– Jeśli życie to gra w szachy z czarnymi i białymi figurami, to Patricia Vachon stała zdecydowanie po stronie białych. Myślałem, że może być nawet białą królową, jak kiedyś ty. Miała ciemną skórę, ale należała do jasności. Do światła. Rozumiesz?

– Tak.

Nie za dobrze grała w szachy. Ryan zawsze ją ogrywał, kiedy dawała mu się namówić na partię. Była natomiast bardzo dobra w politycznych szachach podczas

swojej kadencji w Izbie Reprezentantów. Tam zawsze myślała trzy ruchy do przodu. Czasem nawet cztery.

– Sądziłem, że jest idealna – ciągnął Farris. – Że będzie w stanie opiekować się pudełkiem przez lata, może nawet dopóki nie zdecydujemy, jak się go pozbyć raz na zawsze.

– Zdecydujemy? Kto zdecyduje?

Farris nie zwrócił uwagi na jej pytanie.

– Myliłem się. Nie co do niej, ale co do pudełka. Nie doceniłem jego rosnącej potęgi. Powinienem się zorientować po tym, co się stało z twoimi następcami, ale Vachon wydawała się taka odpowiednia. Ale pudełko zniszczyło w końcu także ją. Została zniszczona, zanim jeszcze wpakowałem jej kulkę w głowę. Jestem za to odpowiedzialny.

Po pobrużdżonych policzkach Farrisa popłynęły łzy. Gwendy patrzyła na nie z niedowierzaniem. Nie był już tym człowiekiem, jakiego znała. Był...

Załamany, pomyślała. Jest załamany. Chyba umiera.

– Zamierzała wcisnąć czarny guzik. Walczyła z tym impulsem dzielnie... bohatersko... ale trzymała już kciuk na guziku, kiedy ją zastrzeliłem. I naciskała. Na szczęście, można powiedzieć opatrnościowo, guziki trudno się wciska. Bardzo trudno. Jak na pewno pamiętasz.

Gwendy rzeczywiście pamiętała. Za pierwszym razem, kiedy próbowała wcisnąć jeden w ramach eksperymentu – czerwony – pomyślała, że to atrapy i cała ta historia jest żartem. Ale myliła się, chyba że uznać by za żart setki trupów w Gujanie. Wciąż nie wiedziała, do jakiego stopnia jest odpowiedzialna za masakrę w Jonestown, i chyba nie chciała wiedzieć.

– Jak pan zdążył w porę, żeby ją powstrzymać?

– Monitoruję pudełko. Za każdym razem, kiedy jest używane, wiem o tym. I nawet wiem, w którym momencie właściciel myśli o tym, żeby go użyć. Nie zawsze, ale mogę to śledzić w inny sposób.

– Kiedy ktoś pociąga za dźwigienki?

Richard Farris uśmiechnął się i kiwnął głową.

Po obu stronach pudełka znajdowały się dwie dźwigienki. Jedna wydawała srebrne dolary Morgana, w stanie mennicznym i wszystkie z wytłoczoną datą 1891. Druga – maleńkie, ale przepyszne czekoladowe zwierzątka. Trudno im się było oprzeć i Gwendy zrozumiała, że stanowiły idealną wskazówkę potwierdzającą, jak często właściciel używa pudełka. Trzyma je w rękach. Zaraża się od niego... czym? Chorobą? Wirusem? Zdolnością czynienia zła?

Tak, właśnie tym.

– Właściciele, którzy zbyt często pociągają za dźwigienki, żeby dostać czekoladki albo srebrne dolary, uruchamiają alarm. Wiedziałem, że tak się dzieje z Vachon, i byłem rozczarowany, ale myślałem, że mam więcej czasu na znalezienie następnego właściciela. Myliłem się. Kiedy do niej dotarłem, nacisnęła już jeden z pozostałych guzików. Pewnie żeby chociaż na chwilę uwolnić się od presji... biedna kobieta.

Gwendy zrobiło się zimno, poczuła mrowienie na karku.

– Który?

– Jasnozielony.

– Kiedy? – W pierwszej chwili pomyślała o katastrofie w Fukushima, kiedy tsunami spowodowało stopienie się japońskiego reaktora atomowego. Ale do tego doszło ponad siedem lat wcześniej.

– Pod koniec października. Nie winię jej. Wytrzymała tak długo, jak mogła. Nawet kiedy już naciskała kciukiem ten jasnozielony guzik, walcząc z impulsem zbyt silnym, żeby mu się oprzeć, myślała: „Proszę, żadnych wybuchów. Proszę, żadnego trzęsienia ziemi. Proszę, żadnych wulkanów czy powodzi”.

– Słyszał ją pan w swojej głowie. Telepatycznie.

– Kiedy ktoś dotyka jednego z guzików, nawet lekko go muska, wchodzę online, że tak powiem. Ale byłem daleko, załatwiałem inne sprawy. Zjawiłem się najszybciej, jak mogłem, i zdążyłem ją powstrzymać, zanim nacisnęła ten, który nazywasz Guzikiem Raka, ale spóźniłem się i już nacisnęła guzik Azji.

Przegarnął ręką rzadniejące włosy, zsuwając na bakier czarny melonik, niczym aktor ze starego musicalu, który zaraz zacznie stepować.

– To było zaledwie cztery tygodnie temu – dodał.

Gwendy cofnęła się myślami w czasie, próbując sobie przypomnieć jakąś katastrofę, która wydarzyła się wtedy w którymś z azjatyckich krajów. Z pewnością doszło do wielu tragedii i śmierci, ale nie pamiętała kataklizmu dostatecznie groźnego, żeby zepchnął Donalda Trumpa z pierwszego miejsca w wieczornych wiadomościach.

– Chyba powinnam wiedzieć, ale nie wiem – przyznała. – Wybuch rafinerii ropy? Może atak gazem paralizującym? – Wiedziała jednak, że i jedno, i drugie to za mało. Czerwony guzik radzi sobie z małymi rzeczami.

Na przykład z Jonestown.

– Mogło być dużo, dużo gorzej – powiedział Farris. – Powstrzymywała się, jak mogła, opierała się potężnym siłom po czarnej stronie szachownicy. Ale jest dostatecznie źle. Na razie zmarły tylko dwie osoby, jedna to właściciel czegoś, co w prowincji Wuhan nazywają mokrym targiem. To miejsce, gdzie...

– Gdzie sprzedają mięso, wiem. – Gwendy nachyliła się do przodu. – Mówi pan o jakiejś chorobie, panie Farris? Coś jak MIRS albo SARS?

– Mówię o epidemii. Na razie tylko dwa zgony, ale choruje znacznie więcej ludzi. Niektórzy roznoszą zarazę i nawet o tym nie wiedzą. Chiński rząd jeszcze nie ma pewności, tylko podejrzenia. Kiedy się dowiedzą, spróbują to zatuszować. W rezultacie to się rozprzestrzeni. Będzie bardzo, bardzo źle.

– Co mogę zrobić?

– Właśnie zamierzam ci powiedzieć. I pomogę, jeśli zdołam.

– Ale pan...

Nie chciała dokończyć zdania, lecz skończył za nią.

– Umieram? O tak, chyba tak. Ale czy wiesz, co to znaczy?

Gwendy pokręciła głową. Przez chwilę myślała o matce i o nocy, kiedy patrzyły na gwiazdy.

Farris się uśmiechnął.

– To znaczy, że jesteś ostatnią szansą.



KIEDY GWENDY PETERSON BYŁA małą dziewczynką, ona i jej najlepsza przyjaciółka Olive Kepnes bawiły się w grę nazywaną „Syrena” w basenie publicznym w Castle Rock. Brodziły razem na płytkim końcu basenu, dopóki woda, zimna nawet w sierpniu, nie sięgała im do piersi. Potem na zmianę jedna z nich siadała na dnie, a druga dalej stała i recytowała ciąg wymyślonych sekretnych słów. Kiedy dziewczynce pod wodą – Syrenie – zabrakło tchu i wynurzała się na powierzchnię, próbowała odgadnąć, co zostało powiedziane. W tej grze nie było wygrywających ani przegrywających. To była po prostu zabawa.

Kiedy Gwendy otwiera oczy w jaskrawym górnym świetle, przyciskając notes pamięci do piersi mocno zaciśniętą pięścią, pierwsze, co przychodzi jej na myśl, to Olive Kepnes i ich dawna gra. Głos dobiegający zza lśniących białych drzwi, z odległości najwyżej dwóch metrów, jest stłumiony i zniekształcony, jakby słyszała go pod wodą.

Unosi głowę i rozgląda się. Zatrzymuje wzrok na czarno-srebrnym ekspresie do kawy Keuriga. Mruga oszołomiona. Wie, że znajduje się w rakiecie lecącej przez kosmos, tyle pamięta, ale co, do jasnej Anielki, robi tutaj ekspres do kawy?

Próbuje usiąść, przeżywa chwilę lodowatej paniki, kiedy odkrywa, że jest przypięta pasami, a potem zalewa ją natychmiastowa fala ulgi, kiedy uświadamia sobie, że widocznie zdrzemnęła się na koi. Rozpina uprząż i unosi się z wąskiego materaca. Całkiem jak Błaszany Dzwoneczek, myśli w chwili czystego zadziwienia.

Rozlega się głucho pukanie do drzwi i stłumiony głos znowu się odzywa. Gwendy go nie rozpoznaje – nawet nie potrafi określić, czy jest kobiety, czy

męski – ale słowa brzmią jak: „Mój pies zabłądził w sianie”. Mimo wirującej szarej mgły sennego oszołomienia zdaje sobie sprawę, że to niemożliwe.

Ktoś, kto jest za drzwiami, znowu puka, tym razem słycać głośne potrójne stuknięcie, a potem ten sam głos mamrocze jeszcze bardziej nagłym tonem: „Popłynąłem łowić w zatoce”.

Gwendy wsuwa notes do kieszeni, potem odpycha się jednym leniwym kopnięciem i płynie przez kapsułę-kabinę. Kiedy wyciąga rękę, żeby odsunąć zasuwę, nagle uświadamia sobie, że w drzwiach nie ma judasza na poziomie oczu, jak w jej frontowych drzwiach w Castle Rock. Z jakiegoś powodu to ją niepokoi i waha się, nagle przestraszona. Czy tak właśnie czuje się człowiek, gdy traci rozum?

Wstrzymując oddech, otwiera ciężkie białe drzwi. Nad podłogą wspólnej sali unoszą się Adesh Patel i Gareth Winston, para dużych monitorów szczyrzy się pod podeszwami ich butów niczym ciemne głodne paszcze. Matka Ziemia, wciąż otulona tą zwiewną mgiełką, którą Gwendy zauważyła wcześniej, mruga do niej z odległości setek kilometrów i nadal się kręci.

Adesh, z brązowymi oczami rozszerzonymi troską, podpływa bliżej i pyta:

– Gwendy, nic ci nie jest?

To głos entomologa słyszała wcześniej zza drzwi kabiny. Winston, podskakujący w górę i w dół parę metrów za nim, wyglądający jak pulchna pianka cukrowa w rozpiętym kombinezonie ciśnieniowym i uśmiechający się tym swoim uśmiechem: „Jestem lepszy od ciebie i ty to wiesz”, dodaje:

– Zdaje się, że miała pani niezły koszmar, pani senator.

Zmuszając się do uśmiechu, Gwendy odpowiada trochę zbyt wesoło, żeby zabrzmiało to całkowicie wiarygodnie:

– Nic mi nie jest, chłopcy. Tylko się zdrzemnęłam i coś mi się przyśniło. Podróże kosmiczne tak działają na dziewczyny.

– EPIDEMIA... Z CHIN? – GWENDY spojrzała na szkieletową postać siedzącą naprzeciwko niej na zadaszanej werandzie. – Jest źle? Dotrze do Stanów?

– Wszędzie – odpowiedział Farris. – Worki na ciała będą się piętrzyć przed szpitalami jak sągi drewna. Kiedy zabraknie miejsca w kostnicach, domy pogrzebowe będą dostarczać ciężarówki chłodnie.

– A co ze szczepionką? Czy nie mogą...

– Dosyć – syknął Farris, odsłaniając na chwilę zepsute zęby. – Mówiłem ci, mam mało czasu.

Gwendy odchyliła się na oparcie wiklinowej wiszącej kanapy i ciaśniej otuliła się szlafrokiem. *Mam mało czasu.* Teraz była jeszcze bardziej przekonana, że w słowach Farris'a kryje się głębsza prawda. Siedząc dostatecznie blisko, żeby poczuć smród zgnilizny z jego ubrania, znowu pomyślała: on umiera.

– Nie mam wyboru, prawda? – zapytała bez emocji.

– Gwendy Peterson, kto jak kto, ale ty powinnaś wiedzieć, że zawsze jest wybór. – Zrobił długi, drżący wydech.

I wtedy Gwendy zorientowała się, co nie dawało jej spokoju, odkąd wyszli na werandę. W wieczór Święta Dziękczynienia temperatura w Castle Rock spadła sporo poniżej zera; ona i Ryan słyszeli prognozę pogody przez radio, kiedy niecałą godzinę wcześniej wjeżdżali na podjazd. Za każdym razem, gdy otwierała usta, przed jej twarzą pojawiał się ulotny obłoczek pary – „zaczarowany dym”, tak to nazywali w dzieciństwie – jednak kiedy Farris mówił, nie widziała nic, ani śladu.

– Według mnie to żaden wybór – odparła, spoglądając na brezentowy worek między swoimi stopami. – Jestem skazana na to cholerstwo bez względu na to, co powiem, prawda?

– A to, co postanowisz z tym zrobić, zależy wyłącznie od ciebie. – Odkaslnął w dłoń, a kiedy odjął rękę od twarzy, ponownie zauważyła drobne kropelki krwi na jego gładkich kłykciach.

– Powiedział pan, że pudełko robi się złe – przypomniała mu. – Że zabiło ostatnie siedem osób, którym pan je powierzył. Dlaczego pan myśli, że ze mną będzie inaczej?

– Zawsze byłaś inna. – Pomachał cienkim palcem przed jej twarzą. – Zawsze byłaś wyjątkowa.

– Bzdura – oświadczyła spokojnie. – To misja samobójcza i pan o tym wie.

Jego spękane usta rozciągnęły się w makabrycznej imitacji uśmiechu, a potem równie nagle uśmiech znikł. Farris przechylił głowę na bok i patrzył gdzieś w przestrzeń, nasłuchując czegoś, co tylko on słyszał.

– Kto nadchodzi? – zapytała Gwendy. – Skąd oni są? I czego chcą?

– Chcą pudełka z guzikami. – Kiedy znowu na nią spojrział, był tym samym Richardem Farrisem, którego po raz pierwszy zobaczyła na ławce w parku Castle View... przynajmniej jeśli chodzi o oczy, które były teraz czyste, twarde i skupione. – Są ze wszystkich miejsc i ze wszystkich czasów jednocześnie. I są bardzo rozgniewani. Teraz posłuchaj uważnie.

Nachylił się do przodu, wionąc odorem gnijącej padliny, i zanim Gwendy zdążyła się cofnąć, chwycił ją za rękę. Zadrżała, spoglądając w dół na ich splecione palce, i pomyślała: to nie jest dotyk człowieka. To nie jest człowiek.

Zadziwiająco silnym głosem Richard Farris wyjaśnił jej, co trzeba zrobić. Od pierwszego słowa do ostatniego zajęło mu to najwyżej pięćdziesiąt sekund. Kiedy skończył, puścił jej rękę i osunął się z powrotem na fotel ogrodowy. Resztki koloru szybko odpłynęły z jego twarzy.

Gwendy siedziała bez ruchu, wpatrując się w ciemną czeluść tylnego podwórza. Po chwili spojrziała na Farrisa i powiedziała:

– To, o co pan prosi, jest niemożliwe.

– Mam szczerą nadzieję, że się mylisz – szepnął z oczami zamglonymi bólem. – To jedyne miejsce, gdzie nie będą go szukać. Musisz spróbować, Gwendy, zanim będzie za późno. Tylko tobie mogę zaufać.

– Ale jak, na...

Wyprostował się i podniósł rękę, żeby ją uciszyć. Odwrócił głowę i wbił wzrok w głęboką kałużę cienia pod wierzbą płaczącą.

Gwendy wstała i powoli podeszła do siatkowych drzwi; podążała wzrokiem za jego spojrzeniem. Nic nie zobaczyła i niczego nie usłyszała w lodowatej ciemności. Po paru sekundach siatkowe drzwi werandy zamknęły się za nią ze stuknięciem. Obejrzała się, niezbyt zdziwiona. Wiklinowy fotel był pusty. Laska zniknęła. Richard Farris odszedł. Jak Elvis.

– DOTARŁEM TU DOPIERO NA SAM koniec – mówi Adesh, zniżając głos. – Ale to brzmiało tak, jakbyś jęczała. Myślałem, że może się skaleczyłaś.

On i Gwendy znowu są przypięci w fotelach na trzecim poziomie Eagle Heavy. Stalowa kasetka z napisem ŚCIŚLE TAJNE jest bezpiecznie schowana pod fotelem. Gwendy trzyma gołą dłonią iPada z wygaszonym ekranem.

– Winston mówił, że wydawałaś się przestraszona i wołałaś coś jak... „złe pudełko”. Twierdzi, że nie zrozumiał reszty.

Gwendy nie pamięta, żeby zasnęła i coś jej się śniło, ale na samą myśl, że Gareth Winston mógł mówić prawdę, kręci jej się w głowie i żołądek podjeżdża do gardła. Ukrywa zbyt wiele mrocznych, groźnych sekretów, żeby teraz zacząć gadać przez sen.

Zerka ukradkiem na Jafariego Bankolego, który jest zajęty studiowaniem jednego z ekranów nad głową, i w drugą stronę, na Garetha Winstona, ciasno przypiętego i chrapiącego głośno w fotelu obok iluminatora. Jego iluminatora. Czy on naprawdę śpi? Po raz drugi od wejścia na pokład na powierzchnię jej zamulonej świadomości wypływa krystalicznie czysta myśl: Ten człowiek może być niebezpieczny.

– A co on tam w ogóle robił? – pyta.

– Mówił, że chciał skorzystać z toalety, i może skorzystał – odpowiada Adesh, nachylając się tak, że Gwendy czuje cynamon w jego oddechu. Zniża głos do szeptu. – Ale kiedy krótko potem zszedłem na dół, żeby zajrzeć do moich okazów, przyłapałem go z ręką w przysłowiowym słoiku z cukierkami.

Gwendy czeka na dalszy ciąg, obawiając się tego, co usłyszy.

– Grzebał przy zamku w drzwiach twojej kabiny.

ND, myśli Gwendy. Niedobrze. Bardzo niedobrze.

Na okrągłej twarzy Adesha wykwita uśmiech, niezbyt życzliwy.

– Kiedy w końcu się odwrócił i mnie zobaczył, wytrzeszczył oczy i o mało nie wyskoczył ze swojego kombinezonu ciśnieniowego. To jest miłe w nieważkości: nikt nie słyszy, jak się zbliżasz.

– No to jestem wdzięczna, że akurat wtedy się zjawiłeś. Ja... eee...

A potem tak po prostu w jej mózgu następuje krótkie spięcie i umysł się wyłącza. Wszystkie informacje, które jeszcze przed chwilą tam się znajdowały, nagle znikają, jakby niewidzialna gumka wytarła do czysta wnętrze jej głowy. Gdzie to się podziało? Gwendy nie wie. Wie tylko, że nazywa się Gwendy Peterson, jest pasażerką na statku kosmicznym i próbuje uratować świat. Ale uratować przed czym? W ogóle nie pamięta, ani tego, o czym przed chwilą rozmawiała, ani kim jest człowiek, z którym rozmawiała. Nagłe i przerażające poczucie straty – opuszczenia – przytłacza ją tak mocno, że w kącikach jej oczu pojawiają się łzy.

– Senator Peterson? Gwendy? Nic ci nie jest? – pyta ciemnoskóry mężczyzna siedzący obok niej.

– Ja... – zaczyna odpowiadać Gwendy, a wtedy w jej polu widzenia następuje wybuch zakłóceń i tak po prostu wszystko wraca na miejsce. Rozmawia z Adeshem Patelem, Robalem, o Garcie Winstonie, wścibskim i hałaśliwym chamie, który chrapie tam dalej. Winston jest miliarderem przez duże „M” i Gwendy nie jest pewna, czy można mu ufać. Sądząc po podejrzliwej minie Adesha Patela, on też nie jest całkiem pewny, czy ona zasługuje na zaufanie.

– Nic mi nie jest – odpowiada wreszcie Gwendy. – Zamyśliłam się i wróciło do mnie coś, co zwykle mówiła moja nieżyjąca matka, i jakby opanowało mój umysł. Nie wiem dlaczego, ale to mi się ostatnio coraz częściej zdarza.

Brązowe oczy Adesha natychmiast łagodnieją.

– Och, Gwendy, tak mi przykro.

To chwyt poniżej pasa i Gwendy o tym wie, ale nie ma wyrzutów sumienia, ponieważ sytuacja wymaga nadzwyczajnych środków.

– Nie trzeba. Proszę. To była przyjemna myśl i sprawiła mi radość. – Uruchamia kciukiem iPada i pusty ekran się rozświecila. – Żałuję tylko, że nie panuję lepiej nad tymi wspomnieniami, które pojawiają się w najmniej odpowiednich chwilach. To trochę... żenujące.

– Nie wstydz się. Na pewno bardzo za nią tęsknisz.

Gwendy wzdycha.

– Masz całkowitą rację. – Zdobywa się na nieprzekonujący uśmiech. – Prawdę mówiąc, bardziej się wstydzę, że to mój pierwszy dzień na górze i już naruszyłam harmonogram. – Wpatruje się w odczyty na iPadzie. – Mam przerwę na sen dopiero za sześć godzin.

Adesh marszczy brwi i prychna lekceważąco.

– Zdrzemnąłaś się na dwadzieścia minut. Wielkie rzeczy! – Rozgląda się ukradkiem i lekko poklepuje się po brzuchu. – Zdradzę ci mój mały sekret. Pierwszy posiłek mam wyznaczony dopiero za jakąś godzinę, a już zwędziłem dwa batoniki proteinowe.

Gwendy otwiera usta ze zdziwienia.

– Niemożliwe.

– A jednak.

Zerka na poziom nad ich głowami.

– Lepiej, żeby szefowa się nie dowiedziała.

– Co się dzieje na trzecim poziomie, zostaje na trzecim poziomie – odpowiada Adesh i wzrusza ramionami w uprząży.

Gwendy zakrywa dłonią usta i tłumi chichot. Przez cztery tygodnie intensywnego treningu i dwanaście dni ścisłej kwarantanny zdążyła dość dobrze poznać niektórych członków załogi. Kathy Lundgren i Berna Stapletona uważa teraz za zaufanych starych przyjaciół, natomiast wielu innych tylko poskrobała z wierzchu, włącznie z Hindusem, którego przewali Robalem. Wie, że Adesh Patel



jest cichy, uprzejmy i błyskotliwy. Zjeździł cały świat i zna kilka języków. Jest szczęśliwie żonaty z piękną kobietą o imieniu Daksha, co znaczy „Ziemia” w ich tradycyjnej kulturze, i mają dwóch czternastoletnich synów. Widziała kilka zdjęć, na których rodzina zawsze się uśmiecha. Wie również, że żaden z chłopców nie chce pójść w ślady ojca i zostać naukowcem. Chcą zostać zawodowymi koszykarzami, podpisać lukratywne kontrakty z firmami produkującymi sportowe obuwie i mieć siedmiocyfrową liczbę fanów w mediach społecznościowych, co skromnemu entomologowi często spędza sen z oczu.

Po dzisiejszym dniu Gwendy uważa, że dowiedziała się czegoś jeszcze o Adeshu Patelu, czegoś bardzo ważnego: ma dobre serce, łagodne piwne oczy i Gwendy bardzo go lubi. Wierzy, że może mu zaufać podczas tej podróży – a potrzebuje jak najwięcej sprzymierzeńców. Nawet tych – zwłaszcza tych – z pupilem skorpionem o imieniu Boris.

Po drugiej stronie pokładu Gareth Winston zaczyna chrapać przez sen – kakofonia mokrych, bulgotliwych, zaślinionych dźwięków, które trochę kojarzą się z parą napalonych rasowych świń kopulujących w okresie rui.

Gwendy i Adesh gapią się ze zdumieniem na charczącego miliardera, po czym wymieniają spojrzenia i wybuchają śmiechem. Jafari z roztargnieniem podnosi wzrok znad iPada.

– Co? Co przegapiłem? – Zmieszana mina astronoma jeszcze bardziej pobudza ich do śmiechu. – Co? Powiedzcie mi.

Nagle rozlega się brzęczyk i na środkowym spośród trzech monitorów pojawia się twarz Kathy Lundgren.

– Nie chcę psuć zabawy, ludzie, ale niektórzy z nas mają robotę tu, na górze. – Przyjaźnie puszcza oko. – Trochę ciszej, proszę.

– Przepraszam – mówi Gwendy i jej policzki powlekają się szkarłatem. – To wszystko przeze mnie.

– Nie ma sprawy, pani senator. Cieszę się, że wycieczka się pani podoba.

Twarcz Kathy zniką z ekranu, natychmiast zastąpiona przez szereg tabel z danymi i różnobarwnych wykresów.

– Co to za zamieszanie?

Troje załogantów odwraca się i spogląda na drugą stronę pokładu. Gareth Winston, wciąż przypięty do fotela, przeciera oczy pulchną, mięsistą ręką. Przepoczone kosmyki krótkich brązowych włosów, zwykle schludnie uczesanych, sterczą na wszystkie strony. Zanim ktokolwiek zdąży odpowiedzieć, Winston obraca głowę i wygląda z przejściem przez iluminator. Jego iluminator.

– Hej! Jesteśmy na miejscu?

RANEK PO NIESPODZIEWANEJ ŚWIĄTECZNEJ wizycie Richarda Farrisa wstał w miasteczku Castle Rock w Maine zimny i pogodny. W ciągu nocy burza szalejąca nad północną częścią stanu niespodziewanie skręciła na południe i zwolniła na tyle, żeby zawadzić o hrabstwo Castle po drodze do morza i zwalić piętnaście centymetrów mokrego śniegu na zamrożone jezdnie i trawniki. Gwendy usłyszała pracujące pługi śnieżne, zanim jeszcze otworzyła oczy.

Wyśliznęła się z łóżka tuż przed siódmą po krótkim, niespokojnym śnie. Ubrała się po ciemku i zostawiła męża śpiącego pod kołdrą. Zanim wyszła na korytarz, obejrzała się jeszcze raz na jedyne go mężczyznę, którego prawdziwie kochała. Od dzisiaj koniec sekretów, obiecała sobie, cicho zamykając drzwi.

Usilnie starając się zachować spokój – i przez cały czas wbrew wszystkiemu żywiąc nadzieję, że wczorajsza noc był tylko koszmarnym snem po zjedzeniu na deser zbyt wielu kawałków domowego placka z dynią – Gwendy zmusiła się, żeby sprawdzić system alarmowy (na wyświetlaczu znowu pojawił się komunikat GOTOWOŚĆ DO AKTYWACJI; żadna niespodzianka) i włączyła ekspres do kawy w kuchni, zanim wyszła do garażu.

Powoli wspięła się po szczeblach starej drewnianej drabiny, którą dał jej ojciec zeszłego lata, żeby mogła dosięgnąć do najwyższej półki metalowych regałów stojących pod zagraconą tylną ścianą garażu. Odsunęła na bok stary pojemnik Tupperware, podpisany KOŁOWROTKI I SPŁAWIKI, i dysząc ciężko z wysiłku – w wieku pięćdziesięciu siedmiu lat już nie była taka żwawa jak dawniej – ostrożnie zdjęła z półki kartonowe pudło z napisem PRZYBORY DO SZYCIA. Kiedy już zeszła bezpiecznie z drabiny, postawiła je na zimnej betonowej podłodze przed

sobą, uklękła na jedno kolano i otworzyła klapy. Natychmiast jej ramiona pokryły się gęsią skórką.

W środku czekało na nią pudełko z guzikami, wygodnie ułożone w brezentowym worku.

Poczuła, że jeżą jej się krótkie włoski na karku, i usłyszała ten znajomy słaby szept czegoś w odległym zakątku mózgu. Szybko zamknęła pudło, wstała i cofnęła się.

*Ta rzecz. Ta przeklęta rzecz... Jakże jej nienawidzę. Jakże się jej brzydzę.*

Zadrżała, słysząc echo głosu Farrisa w głuchej ciszy garażu, wspominając jego chorobliwie bladą twarz, wychudzone ciało, zepsute i niekompletne zęby.

A potem wróciły do niej jego ostatnie słowa, wtedy już niemal błagalne: *To jedyne miejsce, gdzie nie będą go szukać. Musisz spróbować, Gwendy, zanim będzie za późno. Tylko tobie mogę zaufać.*

– Dlaczego ja? – zapytała, ledwie rozpoznając dźwięk własnego głosu.

Czekała na odpowiedź, ale nikt nie odpowiedział. Z pewnością nie Bóg pytający ją, gdzie była, kiedy On stwarzał świat.

Zebrała się na odwagę, ponownie weszła po drabinie i schowała kartonowe pudło do kryjówki na najwyższej półce. Zamknęła na klucz drzwi garażu – nie pamiętała, kiedy ostatni raz to robiła – wróciła do kuchni i nalała sobie kubek gorącej kawy. Piła ją, wyglądając przez okno nad zlewem na zaśnieżone tylne podwórze i znowu obiecując sobie, że powie wszystko Ryanowi. Była za stara i zbyt przestraszona, żeby przechodzić przez to samotnie – do trzech razy sztuka, pomyślała – ale chodziło o coś więcej. Winna była mężowi prawdę po tych wszystkich latach i dobrze będzie wreszcie to powiedzieć. Cholernie dobrze.

Ale musiała odłożyć tę rozmowę do wieczora.

Najpierw czekał ją pracowity dzień.

Co roku z samego rana w Czarny Piątek jej stara przyjaciółka Brigitte Desjardin zabierała ją z domu. Zjadały pospieszne śniadanie w restauracji Castle Rock, po czym wyruszały w dziewięćdziesięciminutową drogę do Portlandu. Na

miejscu mocno sznurowały reeboki i przez cały dzień przepychały się przez tłumy nie w jednym, nie w dwóch, ale we wszystkich trzech ogromnych portlandzkich centrach handlowych. Zwykle wracały do domu późnym wieczorem, z bagażnikiem i tylnym siedzeniem jaskrawoczerwonego bmw Brigitte zawalonymi torbami z zakupami i pudłami prezentów; przechwalały się, jakie wspaniałe okazje upolowały, narzekały na spuchnięte stopy od chodzenia i spierzchnięte usta od gadania. I tego witania, ponieważ zadziwiająco dużo ludzi wciąż rozpoznawało Gwendy z jej kadencji w Kongresie. Dla niektórych z nich była jak dawny przyjaciel rodziny, bo tak długo uczestniczyła w ich życiu. Pomijając polityczną sławę, świąteczne zakupy z Brigitte stanowiły tradycję, którą Gwendy uwielbiała, i zawsze się na nie cieszyła.

W tym roku najwyraźniej miało być inaczej. Nagle, dzięki mężczyźnie w czarnym meloniku, Gwendy miała ważniejsze zmartwienia niż wyprzedaże butów czy kupony o potrójnej wartości.

Rozważała, czy całkiem tego nie odwołać – nawet podniosła już telefon i wybrała do połowy numer Brigitte, ale odłożyła słuchawkę. Rezygnacja w ostatniej chwili sprowokowałaby mnóstwo pytań, na które nie była gotowa odpowiedzieć. Nie, powiedziała sobie, muszę po prostu zacisnąć zęby, jak lubił powtarzać jej ojciec. Czekala przez prawie dwie dekady, żeby powiedzieć mężowi o pudełku z guzikami. Jakie znaczenie ma jeszcze jeden dzień?

Poza tym Ryan miał własne plany na Czarny Piątek. Najpierw chiński bufet na lunch z kumplami z drużyny kręgli, następnie zawody na zasadzie „wygrywa najlepszy średni wynik w trzech grach” w kręgielni Rumford Rock 'N Bowl (co roku zwycięzca otrzymywał wysokie na pół metra pozłacane trofeum, przypominające tył kopiącego osła; Ryan przynosił je do domu przez trzy lata z rzędu). Po kręglach przenosili się do kawalerki Billy'ego Franklina, gdzie opychali się meksykańskim żarciem na wynos i oglądali futbol uniwersytecki na wielkim telewizorze. Ryan zwykle wtaczał się do domu około ósmej czy dziewiątej wieczorem, straszliwie cuchnęło mu z ust i pędził prosto na górę w poszukiwaniu największego pudełka tabletek na niestrawność. Przez pół nocy jęczał w łazience,

a następnego dnia budził się późno i przysięgał, że w przyszłym roku tego nie powtórzy. Mogą sobie zatrzymać swoje cholerne trofeum. Oboje śmieli się z tego przy śniadaniu – dla niego tylko tost i duża szklanka wody z lodem – dobrze wiedząc, że nie mówił poważnie.

Więc tak, zdecydowała Gwendy, zaciśnie zęby i oboje zrealizują swoje plany na ten dzień. Potem wrócą do domu, przebiorą się w piżamy, wezmą butelkę dobrego czerwonego wina i dwa kieliszki i spotkają się w sypialni. I wreszcie, po wielu latach, wszystko mu powie.

Tylko że nic z tego nie wyszło.

Gwendy całkiem zadowolająco wypełniła swoją część umowy. Początkowo, jak należało się spodziewać, była milcząca i roztargniona. Prawie nie tknęła omletu, frytek i tostów na śniadanie. W samochodzie tylko gapiała się przez okno na uciekający do tyłu krajobraz, rozmyślając o pudełku z guzikami i bladej, woskowej twarzy Richarda Farrisa. Starła się brać udział w rozmowie – kiwała głową w odpowiednich momentach i od czasu do czasu dorzucała jakiś komentarz – ale Brigitte nie dała się nabrać. W połowie drogi do Portlandu ściszyła samochodowe radio i spytała przyjaciółkę, czy coś się stało. Gwendy pokręciła głową i przeprosiła; wytłumaczyła się, że ma jeszcze kaca po wczorajszym wieczorze i źle spała (przynajmniej to ostatnie było prawdą). Ostentacyjnie połknęła trzy tabletki ibuprofenu, a potem śpiewała razem z Barrym Manilowem *I Write the Songs*, kiedy piosenka leciała w radiu – i to chyba przekonało Brigitte.



Zanim zaparkowały samochód i zanurzyły się w rozgorączkowany tłum, Gwendy autentycznie się uśmiechała i śmiała. Brigitte ze swoim dziecięcym entuzjazmem i głupkowatymi dowcipami potrafiła cofnąć zegar i sprawić, że świat się rozplywał. Gwendy często powtarzała mężowi, że popołudnie z Brigitte Desjardin to jak podróż wehikułem czasu do późnych lat siedemdziesiątych. Jej prosta radość życia była zaraźliwa.

Obie zaliczyły trafienia już w pierwszym butik, do którego weszły – duża torebka za pół ceny dla Gwendy i wysokie do kolan skórzane botki dla Brigitte – co nadało ton reszcie dnia. Przez następne osiem godzin chichotały i plotkowały jak beztroskie nastolatki.

Często – właściwie częściej, niż Gwendy się spodziewała – podchodzili do niej mężczyźni i kobiety, by powiedzieć, że będą na nią głosować. Jedna z nich, starsza pani o perfekcyjnie uczesanych różowych włosach, dotknęła łokcia Gwendy i szepnęła:

– Tylko nie mów mojemu mężowi.

Po zupie i sałatce na kolację w pękającym w szwach Cracker Barrel tuż przy trasie I-95 Gwendy w końcu za piętnaście ósma dotarła do domu. Natychmiast rzuciła ubranie, zostawiła je w nieporządnej kupce na podłodze łazienki i zanurzyła się w gorącej kąpieli z bąbelkami. Po godzinie, w ulubionej jedwabnej piżamie, którą Ryan przemycił dla niej z Wietnamu, zdrzemnęła się na kanapie w salonie z kryminałem w miękkiej oprawie otwartym na brzuchu.

Jakiś czas później obudził ją dzwonek. Ten głupek zapomniał kluczy, pomyślała. W drodze do drzwi spojrzała na zabytkowy zegar stojący i ze zdziwieniem zobaczyła, że minęła północ. Nadal jednak nie czuła niepokoju, dopóki nie wyjrzała przez judasza i nie zobaczyła na ganku Norrisa Ridgewicka. Norris, który niegdyś przez dwie dekady pełnił obowiązki szeryfa hrabstwa Castle, przed rokiem odszedł na emeryturę i przez większość czasu łowił ryby w jeziorze Dark Score.



Gwałtownie otworzyła drzwi i z wyrazu twarzy starego przyjaciela natychmiast odgadła, że Ryan nie wróci do domu tej nocy. Zanim Norris zdołał wymówić chociaż słowo, Gwendy załkała rozdzierająco i chwiejnie cofnęła się do pokoju. Łzy strumieniami popłynęły jej z oczu.

Norris wszedł do domu z pochyloną głową i zamknął za sobą drzwi. Przysiadł na poręczy kanapy i położył rękę na ramieniu Gwendy. Kiedy wyjaśnił, co się stało – potrącenie i ucieczka z miejsca wypadku, człowiek, który od tylu lat był jej mężem, zabity na miejscu – Gwendy odsunęła się na drugi koniec kanapy i skuliła w pozycji embrionalnej, przyciskając kolana do piersi.

– Nie cierpiał – powiedział Norris, a potem dodał to, co sama pomyślała: – Wiem, że to żadna pociecha.

– Gdzie? – Przyszło jej do głowy, że to się stało na parkingu kręgielni Rock 'N Bowl; pewnie jakiś facet w pick-upie wyjeżdżał za szybko po zbyt wielu piwach, może nastawiał radio w samochodzie.

– W Derry.

– Co?! – Sądziła, że się przesłyszała. Derry leżało ponad sto pięćdziesiąt kilometrów od kręgielni i mieszkania Billy'ego Franklina w Rumford.

Norris, chyba sądząc, że pyta go o dokładną lokalizację, zajrzał do notesu.

– Przechodził przez Witcham Street. U podnóża czegoś, co nazywają Milowym Podejściem.

– Witcham Street w Derry? Jesteś pewien?

– Przykro mi to mówić, kochanie, ale tak.

– Co on tam robił?

Wciąż nie mogła w to uwierzyć. Ta wiadomość była jak kamień, który utkwiał jej w gardle. Nie, niżej – zaciążył na sercu.

Norris Ridgewick spojrzał na nią dziwnym wzrokiem.

– Nie wiesz?

Pokręciła głową.

W dniach po pogrzebie męża Gwendy szukała odpowiedzi na to pytanie z oślim uporem, graniczącym z obsesją. Z rozmów z kilkoma członkami drużyny kręglarskiej Ryana dowiedziała się, że zadzwonił do nich wcześniej w Czarny Piątek i odwołał doroczny turniej, a także imprezę u Billy’ego Franklina. Nie podał powodu, oznajmił tylko, że wyskoczyło mu coś ważnego.

Nic z tego nie miało sensu dla Gwendy. Z pewnością nie chodziło o pracę – Ryan miał zwolnić tempo po Nowym Roku, co potwierdziła w rozmowie telefonicznej z jego wydawcą – ani tym bardziej o zlecenie, które wymagałoby dwugodzinnej jazdy do Derry dzień po Święcie Dziękczynienia.

Niewiele wiedziała o Derry, a to, co słyszała o tym mieście, brzmiało ponuro. Derry miało mroczną historię, pełną przemocy. W przeszłości niepokojąco często zdarzały się tam zniknięcia i morderstwa dzieci, a także szczegółowo udokumentowane dziwne zjawiska i niesamowite wydarzenia. Dorzucie serię groźnych powodzi oraz fakt, że mieszkańcy Derry należeli do najbardziej homofobicznych społeczności w całym stanie, i nie ma się co dziwić, że zamiejscowi unikali tego miasta jak zarazy.

Kobieta, z którą Gwendy zaprzyjaźniła się dawno temu podczas kampanii zbierania funduszy, twierdziła, że kiedy jako nastolatka mieszkała w Derry, pewnego razu ścigał ją po ulicy chichoczący mężczyzna przebrany za cyrkowego klauna. Miał brzytwy zamiast zębów i wielkie, okrągłe srebrne oczy... przynajmniej tak mówiła. Udało jej się uciec tylko dlatego, że wpadła na posterunek policji, wrzeszcząc z przerażenia. Podczas gdy dyżurny funkcjonariusz podał jej szklankę wody i próbował ją uspokoić, dwóch pozostałych policjantów wyszło poszukać napastnika. Wrócili po piętnastu minutach – zaczerwienieni, z wytrzeszczonymi oczami, oddychając ciężko – i oświadczyli, że niczego nie widzieli. Ulice były puste. Ale wydawali się przestraszeni, powiedziała kobieta. Była pewna, że nie mówili prawdy. Dyżurny zadzwonił do rodziców dziewczynki i odwiózł ją do domu radiowozem.

I jeszcze jedno: kiedy Gwendy dorastała, jej ojciec powtarzał przy wielu okazjach – zwykle po przeczytaniu złych wiadomości w gazecie albo po wypiciu

zbyt wielu puszek piwa – że Derry jest nawiedzone. W wieku dwudziestu paru lat, na długo zanim ożenił się z matką Gwendy, mieszkał przez sześć miesięcy w ciasnej kawalerce z widokiem na kanał, który dzielił miasto na pół. Zarabiał na życie jako domokrażca sprzedający tanie polisy ubezpieczeniowe. Nie cierpiał Derry i uciekł stamtąd przy pierwszej okazji. Chociaż zwykle praktyczny do szpiku kości, Alan Peterson wyznał córce, że wierzy, że niektóre miasta zostały zbudowane na złej ziemi, dlatego na zawsze będą przeklęte. Twierdził, że Derry to jedno z nich.

Wielu długoletnich mieszkańców stanu Maine odnosi się do obcych z ostentacyjną nieufnością i gburowatą niechęcią – jeśli nie wręcz otwartą wrogością – niczym z zasłużoną odznaką honorową. Gwendy wiedziała o tym i akceptowała to, nawet wykorzystwała ten stereotyp w kilku swoich powieściach, a także w paru przemówieniach politycznych. „Pedziołem tymu miastowemu, żeby zabirol tyłek z powrutem do Nowego Jyrku” zawsze pomagało rozluźnić atmosferę, zanim przeszła do rzeczy.

Ale nawet ona była zaszokowana i rozgniewana tym, jak ją potraktowano, kiedy po wypadku pojechała do Derry. Razem z detektywem śledczym Wardem Mitchellem spędzili pół godziny na skrzyżowaniu Witcham i Carter Street, gdzie zginął Ryan. Mitchell przynajmniej był uprzejmy – ostatecznie była znaną polityczką, która właśnie straciła męża – ale odpowiadał na jej pytania bez cienia życzliwości. Podziękowała mu, złożyła życzenia świąteczne i pozwoliła odejść.

Zostawiła wynajęty samochód na pobliskim parkingu i wyruszyła na piechotę. Wstąpiła do kilku sklepów i restauracji, a także obscurnego baru o nazwie Falcon – wiele z tych przybytków miało na frontowych oknach niebiesko-biało-czerwone plakaty z napisem PAUL MAGOWAN NA SENATORA – przedstawiała się pracownikom i wyjaśniała, co spotkało jej męża przed paroma tygodniami. Wyjmowała z torebki fotografię Ryana i pokazywała im, grzecznie pytając, czy ktoś przypadkiem go widział albo z nim rozmawiał.

W odpowiedzi uzyskała tylko opryskliwe burknięcia i kręcenie głowami. I nikt, ani jedna osoba nie szepnęła, że będzie na nią głosować.

Położyła krzyżyk na miejscowych i pod koniec popołudnia odwiedziła posterunek policji, gdzie detektyw Mitchell przywitał ją chłodno. Zapytała o nagrania z kamer ulicznych i nie zdziwiła się, kiedy pokręcił głową.

– Nie mamy tu kamer. Och, może w kilku sklepach, ale to wszystko. W tym stanie nie cackamy się tak jak w Kalifornii.

– Gdyby to się stało w Kalifornii, miałyby pan numery rejestracyjne sprawcy, detektywie – odparła cierpko Gwendy. – Pomyślał pan o tym?

– Wyrazy współczucia z powodu pani straty – odparł, przysuwając do siebie stos papierów. Tania sportowa marynarka rozchyliła się i Gwendy zobaczyła jego broń w podramiennej kaburze. I jeszcze coś. Znaczek kampanii Magowana wpięty w kieszeń koszuli.

Dwa dni później, kiedy przy lunchu Gwendy opowiedziała Norrisowi o swojej nieudanej wizycie, zaczęła się poważnie zastanawiać nad jego sugestią, żeby wynająć prywatnego detektywa do dokładniejszego zbadania sprawy. Nawet wręczył jej wizytówkę jednego, którego znał i mu ufał. Zamierzała zadzwonić i umówić się na spotkanie, ale zanim się obejrzała, przyszły święta i Nowy Rok i musiała się zająć starym ojcem.

Nie wspominając o kampanii wyborczej do senatu. Wkrótce po śmierci Ryana odwiedził ją Pete Riley i zapytał (z obawą w głosie), czy zamierza wycofać swoją kandydaturę.

– Zrozumiem, jeśli tak zdecydujesz. Niechętnie, ale zrozumiem.

Martwiło ją wiele kwestii – głównie zapowiedź Magowana, że wznowi wycinanie lasów na północy – ale myślała o pudełku z guzikami, kiedy odpowiadała:

– Kandyduję.

Pete udał, że ociera pot z czoła.

– Dzięki Bogu. Tylko nie mów: „Gram, żeby wygrać”. Hilary to niezbyt pomogło.

Zaśmiała się z uprzejmości, chociaż to nie było zabawne. Żadne z nich nie wspomniało o tym, że do wyborów został niecały rok, a wczesne sondaże wykazały, że Gwendy Peterson zostaje w tyle o prawie dwanaście punktów.

Nadeszły szare zimowe dni. Pierwsza zamieć z północnego wschodu spadła na Castle Rock w trzecim tygodniu stycznia, zasypała miasteczko ponadpółmetrową warstwą śniegu, przewróciła drzewa i słupy telefoniczne. Prawie przez trzy dni nie było prądu, a uczennica drugiej klasy liceum w Castle Rock straciła prawe oko w wypadku na sankach. Styczeń przeszedł w luty, luty w marzec. Słońce wstawało co rano, podobnie jak Gwendy Peterson. Była za stara i w zbyt słabej kondycji, żeby biegać, ale zaczęła chodzić codziennie na pięciokilometrowe spacerki, zwykle w mroźnej porze świtu, kiedy ulice były ciche i puste. Przestała farbować włosy i pozwoliła, żeby zwyciężyła siwizna. Zaczęła również pisać nową książkę o nawiedzonym mieście. Tysiąc słów tu, pięćset słów tam, nabazgrała nawet krótki akapit na serwetce w cukierni podczas prowadzenia kampanii. Zawsze miała podzielną uwagę.

I przez cały ten czas pudełko z guzikami czekało, ukryte w kartonowym pudle z napisem PRZYBORY DO SZYCIA. Czasami, kiedy w domu było cicho jak w kościele, Gwendy słyszała jego głos w garażu, ten cichy szept *czegoś*, budzący echo głęboko w zakamarkach jej mózgu. Wtedy zwykle kazała mu się zamknąć do cholery i włączała radio albo telewizor. Zwykle.

Czy pomyślała, żeby nacisnąć czerwony guzik i zetrzeć z powierzchni Ziemi miasto Derry (oraz wszystkich tych okropnych ludzi) zaświtał kiedyś w głowie Gwendy? Owszem, wielokrotnie. A co z błyszczącym czarnym guzikiem? Czy chciała kiedyś nacisnąć czarny guzik i skończyć z tym całym syfem? Czy w swojej rozpaczy odczuwała taką pokusę? Smutna prawda: tak.

Ale pamiętała również, co powiedział Richard Farris tamtej koszmarnej nocy na werandzie z tyłu domu – z ostatnich siedmiorga właścicieli pudełka sześcioro nie żyje, jeden zabrał ze sobą do grobu rodzinę, jeden jest w szpitalu psychiatrycznym – i przyszło jej do głowy, że może tym, czego pudełko z guzikami pragnie najbardziej, jest dobrowolny akt szaleństwa i masowego zniszczenia

popołniony przez jego najwierniejszą strażniczkę. Główna wygrana dla złych facetów.

Do tej pory epidemia, przed którą ostrzegał Farris – media nazywały to koronawirusem albo COVID-19, zależnie od kanału wiadomości na kablówce, chociaż Gwendy mimo woli myślała o niej Plaga Pudełka, ponieważ wiedziała, że jest za nią odpowiedzialne – dotarła do Stanów Zjednoczonych. Na razie umarła tylko garstka ludzi, ale wielu innych zachorowało i trafiło do szpitali. Szkoły i uczelnie w całym kraju wysyłały uczniów i studentów do domów, przechodząc na zajęcia online. Odwoływano koncerty i zawody sportowe. Połowa obywateli nosiła maseczki i przestrzegała bezpiecznej odległości od innych; druga połowa – pod dowództwem twardogłowego prezydenta Trumpa – uważała, że to jeden wielki przekręt w celu pozbawienia ich konstytucyjnych praw. Na razie nigdzie nie piętrzyły się stosy worków z ciałami, o których mówił Farris, ale Gwendy nie wątpiła, że to nastąpi. Wkrótce.

Czasami późno w nocy, kiedy czuła się szczególnie mała i samotna w świecie, skulona jak osierocone dziecko na swojej połowie wielkiego małżeńskiego łóża albo leżąca w hotelowym pokoju po spotkaniu z wyborcami, niemogąca zasnąć nawet po gorącej kąpieli i kilku kieliszkach wina, miała pewność, że to pudełko z guzikami odebrało jej Ryana. Życie za życie, myślała. Uratowało moją matkę i zabrało mi ukochanego. To przeklęte pudełko zawsze tak działało – lubiło wyrównane rachunki.

W marcu 2020 roku zadzwoniła jej prywatna komórka, numer znany tylko niewielu osobom. Może dziesięciu. Na wyświetlaczu pokazał się komunikat NUMER NIEZNANY. Ponieważ spamerzy mieli teraz obowiązek ujawniać swój numer (entuzjastycznie głosowała za tym przepisem), odebrała połączenie.

– Halo?

Oddech po drugiej stronie.

– Powiedz coś albo się rozłączę.

– To cadillac przejechał twojego męża. – Głos był męski i chociaż rozmówca nie używał gadżetu do zniekształcania głosu, wyraźnie próbował go zmienić. – Stary. Pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt lat, ale świetnie utrzymany. Purpurowy. Albo może czerwony. Dwie futrzane kostki do gry wiszące w tylnym oknie.

– Kto mówi? Skąd masz ten numer?

Klik.

Połączenie przerwane.

Gwendy zamknęła oczy i przejrzała w myślach listę ludzi, którzy mieli jej prywatny numer (w tamtych czasach jeszcze potrafiła wykonać takie zadanie umysłowe). Nic nie wymyśliła. Dopiero potem uświadomiła sobie, że podała ten numer również Wardowi Mitchellowi z policji w Derry. Wątpiła, czy to dzwonił ten facet z zimnym spojrzeniem i znaczkiem kampanii Magowana, ale numer wprowadzono do systemu komputerowego policji. Była przekonana, że zadzwonił do niej jakiś gliniarz, ale nie dowiedziała się kto.

Ani dlaczego.

BERN STAPLETON ODDAJE IPADA Jafariemu Bankolemu. Astronom spogląda na ekran i kręci głową z niedowierzaniem.

– Przysięgam, że tego próbowałem. Dwa razy.

– Pewnie tak – przyznaje Stapleton. – Te gadżety są wymyślne jak diabli, ale dalekie od ideału. – Zerka na senator Peterson, przypiętą w fotelu i gorliwie stukającą na własnym minikomputerze. – Daj znać, jeśli będziesz potrzebował jeszcze czegoś, Jaff.

– Dzięki – rzuca Bankole, już pogrążony w pozornie niekończących się szeregach zmieniających się liczb.

To trzecia podróż Stapletona na górę, dlatego teraz robi obchód na poziomie trzecim Eagle Heavy. Cała czwórka załogi na dolnym pokładzie to nowicjusze, weterani nazywają ich żółtodziobami. Stapleton wie z doświadczenia, że cztery tygodnie treningu, choćby nie wiadomo jak dobrze zorganizowanego, to po prostu za mało.

– Jak tam sprawy, pani senator?

Gwendy podnosi wzrok znad iPada i uśmiecha się.

– Właśnie skończyłam wypełniać moje obowiązki jako pokładowa pogodynka i teraz sprawdzam maile z kosmosu. Jednym słowem, zwykle popołudnie. A o co chodzi?

Pomimo opryskliwego tonu jest autentycznie ciekawa. Zauważyła, że przed paroma minutami Stapleton rozmawiał po cichu z Adeshem, głowa przy głowie, co ją zaniepokoiło. Czyżby omawiali jej wcześniejszy mały incydent? Zerkali na nią z troską, kiedy nie patrzyła? Nie sądzi, że do tego doszło, ale na samą myśl robi jej się nieswojo.



– Chciałem sprawdzić, czy żółtodzioby wykonują swoje zadania – mówi Stapleton. – Skoro o tym mowa... – Rozgląda się. – Gdzie jest Winston?

Gwendy wskazuje kciukiem poziom czwarty.

– Albo znowu w łazience, albo w swojej kabinie. Chyba już mu się znudził widok z jego cennego iluminatora.

– A ty? – pyta Stapleton. – Jeszcze się nie znudziłaś?

Cała jej twarz się rozjaśnia – i lata opadają z niej jak liście z drzew jesienią. Stapleton patrzy zadziwiony i myśli: Tak wyglądała Gwendy Peterson jako mała dziewczynka.

– Żartujesz, prawda? – Gwendy pokazuje mu swojego iPada. – Temperatura wewnętrzna naszego celu podróży, konkretnie Szprychy Jeden na stacji kosmicznej Many Flags, wynosi przyjemne dwadzieścia trzy stopnie. Byłam ciekawa, więc sprawdziłam. – Stuka w ekran, raz, dwa, trzy razy. – Za parę lat korporacja TET planuje wysłać na Marsa statek bardzo podobny do tego, którym właśnie lecimy. Czy wiesz, jaka temperatura panuje na powierzchni Marsa dokładnie w tej chwili?

Właściwie Stapleton wie, ale nie zamierza się przyznawać. Nie wtedy, kiedy senator Gwendy Peterson patrzy na niego promiennymi (i zachwyconymi) oczami dwunastolatki. Kręci więc głową.

– Na Marsie jest środek nocy i prawie sto trzydzieści stopni poniżej zera. – Gwendy opuszcza iPada na kolana. – Przy tym Maine wygląda jak plaża na Bahamach.

Stapleton śmieje się i wykonuje lekkie kopnięcie, żeby pozostać na miejscu.

– Więc co to było wcześniej za zamieszanie? Słyszałem, jak Kathy kazała wam przerwać imprezę.

Uśmiech Gwendy blednie.

– To niestety moja wina. Winston chrapał i to mnie rozśmieszyło. – Wzrusza ramionami. – Jak zaczęłam się śmiać, nie mogłam przestać.

– Czasami pierwsze wrażenie jest słuszne. – Stapleton spogląda na pusty fotel miliardera.

Gwendy kiwa głową, wspominając grzmiący głos Winstona i jego okropne zachowanie podczas czterech tygodni wspólnego treningu.

– Ciągle się napominam, że trzeba mu udzielić kredytu zaufania, ale to niełatwe.

– Może to pomoże. – Stapleton zniża głos. – Kathy powiedziała mi, że Winston sponsoruje ponad połowę rocznego budżetu szpitala Saint Jude, ale prasa nie pisze o tym ani słowa, bo on sobie nie życzy. Szokujące, nie?

– No, jeśli to prawda... – Gwendy zastanawia się, dlaczego tej informacji nie było w dossier, które dostała – to niech Bóg błogosławi Garetha Winstona, który z pewnością zasługuje na kredyt zaufania. Niechaj anielskie chóry wyśpiewują jego imię.

– Miejmy nadzieję, że nadal będziesz tak o nim myśleć po dziewiętnastu wspólnie spędzonych dniach na stacji. – Stapleton szczyrzy zęby. – Jeśli będziesz miała szczęście, może nawet razem odbędziecie spacer w kosmosie.

Gwendy piorunuje wzrokiem swojego treningowego partnera, ale nic nie mówi. W tym momencie myśli o planie Richarda Farrisa dotyczącym pudełka z guzikami i modli się, żeby jej się udało.

– Lepiej już wróć – rzuca Stapleton. – Reggie i Dale denerwują się, jeśli za długo zostawiam ich samych. – Robi wymach rękami i zaczyna powoli się unosić... ale nagle zatrzymuje się, wykorzystując do tego jeden ze ściennych uchwytów. – Prawie zapomniałem zapytać. Jesteś gotowa na czat wideo?

Mniej więcej za dwie godziny Gwendy ma zaplanowaną wideokonferencję z uczniami najlepszych szkół średnich i gimnazjów ze wszystkich pięćdziesięciu stanów, a także z wybranymi przedstawicielami mediów. Nie pali się do tego. W rzeczywistości to ją przeraża. Myśli tylko o jednym: A jeśli mózg mi się zawiesi w telewizji na żywo? Co wtedy? To jedyne pytanie, na które zna odpowiedź: to byłaby kompletna katastrofa.

– Na tyle, na ile można być gotowym – odpowiada, wyciągając szyję, żeby na niego spojrzeć. – Szkoda tylko, że to nie może poczekać, aż się rozlokujemy na

stacji kosmicznej. Tak jak Adesh i Jafari są umówieni ze swoimi studentami.

– Nic z tego. Jesteś czynnym senatorem USA i VIP-em w tej ekspedycji. Świat najbardziej chce oglądać ciebie.

Tego się obawiam, myśli Gwendy.

Gareth Winston z kwaśną miną wyłania się z dolnego poziomu i przepływa obok fotela Gwendy. Nie nawiązuje kontaktu wzrokowego z nią ani z żadnym innym członkiem załogi i nie mówi ani słowa. Dolną wargę ma wysuniętą. Przypina się do fotela, odwraca głowę i w milczeniu wygląda przez iluminator.

Ciekawe, o co mu chodzi, myśli Gwendy. A potem to do niej dociera. Winston widocznie usłyszał, jak Stapleton nazwał ją VIP-em, i teraz się dąsa. Co za dzieciak! Chce już zniżyć głos i podzielić się tym spostrzeżeniem ze Stapletonem, kiedy mikrofon przyczepiony z przodu jego kombinezonu wydaje donośny pisk i Kathy Lundgren pyta:

– Bern, przeszkadzam ci w czymś?

– Właśnie miałem wrócić na poziom drugi. Czego potrzebujesz?

– Możesz się zgłosić razem z senator Peterson na pokładzie kontrolnym?

Natychmiast.

– Przyjąłem. Ruszamy. – Rozłącza się i spogląda na Gwendy. – Ciekawe, o co chodzi.

Gwendy przełyka ślinę, nagle gardło ma suche jak papier ścierny.

– Nie tylko ty jesteś ciekawy.

Droga na pokład kontrolny zabiera im niecałą minutę, ale to wystarcza, żeby Gwendy zdążyła sobie wmówić, że stało się najgorsze: kontrola misji w jakiś sposób odkryła jej upośledzenie i odwołują dokowanie w MF-1. Nie będzie spaceru w kosmosie. Nie pozbędzie się pudełka z guzikami. To koniec. Zawiodła.

Kiedy docierają na poziom pierwszy, komandor Kathy Lundgren i dwaj członkowie załogi – Gwendy za cenę życia nie potrafi sobie przypomnieć ich nazwisk i jest zbyt rozkojarzona, żeby zastosować technikę doktora Ambrose'a – są przypięci w fotelach otoczonych półkolistym rzędem monitorów dotykowych.

Dokładnie przed nimi znajduje się długie, wąskie okno widokowe, przez które Kathy pozwoliła wyrzeć Gwendy jakieś dwadzieścia cztery godziny wcześniej. Za oknem widać jeden z wielkich oceanów świata. Kathy obraca się w fotelu twarzą do nich, minę ma nieprzeniknioną.

– Niestety, mam złe wiadomości, Gwendy.

Zaczyna się...

– W Castle Rock zdarzył się nieszczęśliwy wypadek.

– To nie mój ojciec? – pyta Gwendy, nagle bez tchu. Proszę, tylko on mi został.

Kathy otwiera szeroko oczy, zaalarmowana.

– Nie, nie, o ile wiem, twojemu ojcu nic się nie stało. Przepraszam. Nie chciałam cię przestraszyć.

Och, trochę na to za późno.

– Był pożar i...

– Pożar? W Castle Rock? – pyta Gwendy, zbita z tropu. Myśli już o Wielkim Pożarze z 1991 roku, kiedy prawie połowa miasta poszła z dymem.

– Był pożar w twoim domu. Sąsiadka szybko zauważyła dym i zadzwoniła na dziewięćset jedenaście. Straż pożarna wcześniej opanowała ogień. Zniszczenia ograniczają się głównie do garażu i tylnej werandy. Dodatkowo woda trochę zniszczyła kuchnię i salon.

– Pożar... W moim domu... – Gwendy ma wrażenie, że znowu śni. – Czy ktoś wie, jak to się zaczęło?

– Otrzymasz kilka maili... jeden od kogoś z twojego towarzystwa ubezpieczeniowego, drugi od emerytowanego szeryfa, niejakiego Norrisa Ridgewicka... przekażą ci wszystko, co wiedzą. – Kathy patrzy na nią ze szczerym współczuciem. – Bardzo mi przykro, pani senator.

Gwendy macha ręką przed twarzą.

– Cieszę się tylko, że nikomu nic się nie stało. Reszta to tylko... rzeczy. Można je zastąpić.

– W tych okolicznościach nie wiedzieliśmy, czy zawiadomić cię od razu, czy poczekać, aż zadokujemy w MF-jeden, albo nawet poczekać do powrotu na Ziemię. Ale obawialiśmy się, że ktoś z mediów może cię zaskoczyć, więc zdecydowaliśmy, że powinnaś to usłyszeć najpierw od nas.

– Jestem wdzięczna.

– Może chciałabyś, żebym przełożyła wideokonferencję na inny termin? Na pewno wszyscy zrozumieją.

Gwendy zwleka z odpowiedzią, celowo sprawiając wrażenie, że się zastanawia.

– Dam sobie radę – mówi wreszcie. – Za nic nie chciałabym rozczarować tych dzieciaków.

Chociaż dwa lata wcześniej pewien reporter z „Washington Post” nazwał ją „jednym z najgorliwszych działaczy na rzecz państwowej edukacji”, prawdziwe motywy jej decyzji o nieodkładaniu konferencji mają niewiele wspólnego z obawą, że rozczaruje najlepszych uczniów z pięćdziesięciu stanów. Owszem, bardzo chciałaby uniknąć występu w telewizji na żywo, uważa jednak, że odwoływanie w ostatniej chwili to bardzo zły pomysł. Przekazałaby zły komunikat – świadczący o słabości – temu, kto szuka pudełka z guzikami. A to ostatnia rzecz, jakiej pragnie.

To nie przypadek, myśli, wracając na poziom trzeci. Pożar zaczął się w garażu i stamtąd się rozprzestrzenił. Po tylu latach w końcu się zbliżają.

Z NADEJŚCIEM WIOSNY GWENDY RZUCIŁA się w wir kampanii wyborczej do Senatu 2020 z – jak to określił Wolf Blitzer z CNN – „gorączkowym zapałem”. Chociaż w kraju szalał koronawirus – do połowy sierpnia potwierdzono ponad siedemnaście tysięcy zgonów – całymi dniami spotykała się twarzą w twarz (i maseczką w maseczkę) z dobrymi ludźmi z Maine. Odwiedzała szkoły i szpitale, żłobki i domy opieki, fabryki i kościoły. Podczas gdy piastujący urząd Paul Magowan skupiał się głównie na urabianiu wielkich przedsiębiorców i korporacji i nadal ostro krytykował ograniczenia związane z epidemią oraz Drugą Poprawkę, Gwendy zwróciła się bezpośrednio do ludzi z ich codziennymi trudami i troskami. Odwiedziła każdy ośrodek handlu czy nauczania, który zgodził się ją wpuścić. Nawet przez jedno piekielnie skwarne sierpniowe popołudnie chodziła od drzwi do drzwi w Derry. W pewnym domu facet w koszulce żonobijce powiedział jej: „Wynoś się w cholerę, pierdolona jędo”. Trafił do wieczornych wiadomości, z wypikany brzydkim słowem... choć to pikanie niewiele pomogło.

Kilka dni później, kiedy dostała czterdziestostopniowej gorączki i paskudnego rozwolnienia, członkowie jej komitetu wyborczego w większości uznali, że wreszcie złapała wirusa i to oznacza koniec jej kandydowania. Ale jej nie doceniali, jak często się zdarzało. Po negatywnym teście i dwudniowym odpoczynku w łóżku Gwendy wróciła w trasę i wygłosiła przemówienie do mężczyzn i kobiet stacjonujących w bazie marynarki wojennej w Brunswicku. Opowiedziała kilka starych dowcipów z Maine, które wywołały wybuchy śmiechu. W swoim ulubionym, o placku z łajna łosia, zmieniła nazwisko kucharza na Magowan.

Ojciec Gwendy, który na początku lata przeniósł się do pokoju na parterze domu opieki w Castle Rock, martwił się o córkę i powtarzał jej to przy wielu

okazjach. Wiernie oglądał jej wystąpienia w porannych i wieczornych wiadomościach i rozmawiał z nią przez telefon prawie co wieczór, ale nie mógł jej przekonać, żeby zwolniła tempo. Brigitte Desjardin – która teraz opiekowała się Pippą, podstarzałą jamniczką Alana Petersona – błagała najlepszą przyjaciółkę, żeby znalazła czas na spotkanie z terapeutą, zamiast zagłuszać żal nadmiarem pracy, ale Gwendy nie chciała o tym słyszeć. Musiała pojechać tu i tam, spotkać się z ludźmi, przekonać niezdecydowanych wyborców. Nawet Pete Riley, który stał za kandydaturą Gwendy do Senatu, w końcu zaczął się martwić i próbował ją przekonać, żeby dała sobie trochę luzu. Odmówiła.

– Sam mnie w to wpakowałeś. Teraz już nie mogę się wycofać.

– Ale...

– Ale nic! Jeśli nie chcesz, żebym zablokowała twój numer... co nie byłoby dobre, skoro jesteś moim szefem kampanii i w ogóle... daj mi robić swoje.

I na tym się skończyło.

Jej rodzina, przyjaciele i koledzy z pracy nie rozumieli jednak, że tym, co ją napędzało, nie był żal po tragicznej śmierci Ryana. Owszem, wciąż czuła się samotna i zrozpaczona, może nawet cierpiała na kliniczną depresję, ale jeśli czegoś nauczyła się w życiu, to tego, że trzeba iść dalej; uhonorować zmarłych, służąc żywym, jak mawiała jej mentorka Patsy Follett. I nie było to rozdęte poczucie własnego politycznego znaczenia. Chodziło o pudełko z guzikami. Wciąż ukryte na górnej półce w garażu. Pewnego dnia, już wkrótce, będzie musiała stanąć na wysokości zadania i uratować świat. To wydawało się śmieszne, absurdalne, surrealistyczne... ale tak było.

W ostatni piątek sierpnia nowe sondaże wykazały, że Gwendy jest tylko o siedem punktów w tyle za Paulem Magowanem. Zdaniem uszczęśliwionego Pete'a Riley'a oraz reszty Demokratycznego Komitetu Maine był to powód do świętowania. Wielu przedstawicieli mediów przypisywało ten sukces fali współczucia dla niedawno owdowiałej kandydatki. Gwendy wiedziała, że

częściowo mieli rację, ale nie całkiem. Wyciągała rękę do ludzi i zadziwiająco wielu z nich odwzajemniało się tym samym.

Pod koniec września dystans zmniejszył się do pięciu punktów i Gwendy uświadomiła sobie, że ludzie nie tylko słuchają, ale też zaczynają wierzyć. Jak przewidział Pete Riley ponad rok wcześniej podczas ich pierwszego rozpoznawczego spotkania, niepokojące wyniki sondaży wkrótce przyciągnęły uwagę Paula Magowana i jego sztab zaczął grać nieczysto. Krokiem pierwszym była seria uaktualnionych spotów telewizyjnych, podkreślających powszechną obecność wulgarnego języka i śmiałych scen erotycznych w kilku powieściach Gwendy. „Raczej nie silili się na oryginalność”, skomentowała złośliwie w wywiadzie dla prasy. „Chyba już w zeszłym roku wykorzystali slogan »Perwersyjna Peterson«?”

Nie była bynajmniej tak nonszalancka dwa tygodnie później, kiedy telewizja w czasie największej oglądalności w kółko nadawała materiał przedstawiający zmarłego męża Gwendy jako wściekłego anarchistę, jako dowód pokazując fotografię Ryana stojącego obok płonącej amerykańskiej flagi na ogarniętej zamieszkami miejskiej ulicy, a także jego aresztowania podczas protestów w Chicago. Nigdzie natomiast nie wspomniano, że był w Chicago na zlecenie magazynu „Time” i że gdy robił zdjęcia zamieszek i płonącej flagi, został zatrzymany przez policję, chociaż miał legitymację prasową zawieszoną w widocznym miejscu. Na zdjęciu z kampanii Magowana legitymacja wisząca na szyi Ryana została zreżymie zamazana. W materiale nie podano również, że wszelkie zarzuty zostały niemal natychmiast wycofane.

Od tamtej pory robiło się coraz gorzej. Trzecia fala telewizyjnych i radiowych ogłoszeń wyborczych pokazywała w jak najlepszym świetle dużą i udaną rodzinę Paula Magowana – pięcioro dzieci, trzech chłopców i dwie dziewczynki, plus szesnaścioro wnucząt, wszyscy nadal mieszkający w stanie Maine – i podkreślała, że Gwendy nie ma dzieci.

„Jeśli Gwendy Peterson naprawdę wierzy w dobro tego stanu i kraju – jak sama tak często twierdzi – to dlaczego nie zadała sobie trudu, żeby obdarzyć go nowym



życiem? Była za bardzo zajęta pisaniem świństw i rozbijaniem się po świecie odrzutowcami?”

Jeszcze dekadę wcześniej takie nikczemne insynuacje przekreśliłyby wszelkie szanse Paula Magowana na utrzymanie miejsca w Senacie. Ale to był nowy wspaniały świat, zaludniony przez nową wspaniałą rasę bezwstydnie głosujących na republikanów. Łykali każdą brednię i prosili o więcej.

Ojciec Gwendy zobaczył to ogłoszenie po raz pierwszy, kiedy oglądał trzeci mecz Amerykańskiej Ligi Baseballu (gracze w maseczkach, puste trybuny, nagrane wiwaty tłumów), i tak się wściekł, że wyszedł przez okno na parterze domu opieki i próbował wezwać taksówkę. Kiedy jeden z opiekunów, odprowadzając go do pokoju, zapytał, dokąd się wybierał, pan Peterson odpowiedział:

– Do siedziby sztabu wyborczego Magowana, żeby skopać mu tłustą dupę.

Gwendy zareagowała bardziej dyplomatycznie, przynajmniej publicznie, głównie dlatego, że w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat zdążyła się pogodzić z sytuacją. Zawsze uwielbiała dzieci i chciała je mieć, zanim jeszcze spotkała Ryana i zakochała się w nim. Przez pierwsze lata małżeństwa próbowali bez skutku. To nie była wina żadnego z nich. Chodzili do różnych lekarzy i robili badania, i wynik zawsze był ten sam: Gwendy Peterson i Ryan Brown to idealnie zdrowe istoty ludzkie i według wszelkiej medycznej wiedzy zdolne płodzić zdrowe dzieci. Ale z niewiadomego powodu, mimo wszelkich starań – a bardzo się starali podczas tych pierwszych szczęśliwych lat – nie udało się.

Wkrótce po ostatniej nieudanej próbie zapłodnienia in vitro nadeszła taka chwila, że Gwendy w zaciszu sypialni załamała się i dała upust wściekłości i rozpacz. Wrzeszczała, kopała i rzucała przedmiotami. Później, kiedy przestała płakać i uprzątnęła bałagan, zadzwoniła do matki ze smutną nowiną. Pani Peterson powtórzyła jej to, co zawsze mówiła:

– Bóg działa w tajemniczy sposób, Gwendy. Nie rozumiem tego tak samo jak ty, ale musimy pokładać w nim wiarę. – A potem dodała: – Tak mi przykro, kochanie. Jeśli ktoś na tym świecie zasługuje, żeby zostać rodzicami, to ty i Ryan.

Gwendy podziękowała matce i rozłączyła się. Podeszła do okna sypialni wychodzącego na frontowy dziedziniec i ulicę w dole i patrzyła, jak kędzierzawy chłopczyk pedałuje na jaskrawożółtym rowerze obok ich domu. Patrzyła, dopóki nie zniknął za rogiem.

– Rozumiem, dlaczego tak jest – powiedziała do pustego domu. – Chyba zawsze rozumiałam, tylko nie chciałam tego przyznać. To przez pudełko z guzikami. Byłam tylko głupim dzieciakiem, ale brałam, brałam i brałam. A teraz jego kolej.

Odtąd żyła z milczącym poczuciem winy.

W październiku 2020 roku, kiedy trwało już głosowanie online, a punkty wyborcze miały się otworzyć za niecałe trzy tygodnie, Gwendy Peterson i Paul Magowan spotkali się w Bangor Civic Center na długo wyczekiwaną debatę telewizyjną. Przez dziewięćdziesiąt minut obecny senator zachowywał się arogancko, lekceważąco i niegrzecznie, w ten sam sposób, który cztery lata wcześniej zapewnił mu zwycięstwo w wyborach. Jego rywalka była skromna, uprzejma i wyrażała się poprawnie. Z wyjątkiem jednego krótkiego momentu w swoim podsumowaniu, kiedy spojrzała przeciwnikowi w oczy i powiedziała:

– A co do mojego zmarłego męża, może pan wyłazić ze skóry, żeby zszargać jego dobre imię i reputację, ale pan wie i ja wiem, tak jak każda osoba siedząca w tej sali albo oglądająca nas w telewizji, że pan, senatorze Magowan, nie jest godny czyścić butów Ryanowi Brownowi ani prać jego brudnych gaci. I to wszystko, co mam do powiedzenia na ten temat.

Większość zebranej publiczności ryknęła z aprobatą i nagrodziła schodzącą ze sceny Gwendy owacją na stojąco. Kiedy następnego ranka pojawiły się nowe wyniki sondaży, przewaga Magowana skurczyła się do marnych trzech punktów.

Ale mimo tych imponujących osiągnięć Gwendy wiedziała, że potrzebowałyby cudu, żeby nadrobić trzyprocentowy deficyt w ciągu trzech tygodni. Nie planowano następnej debaty, a skoro senator Magowan zebrał publiczne ciągi, wątpliwe, żeby zgodził się ponownie wystąpić. Powszechnie zakładano, że zamierza się przyczaić

na resztę kampanii i lizać rany aż do wyborczego wieczoru, kiedy znowu wypłynie i stanie w blasku jupiterów, żeby ogłosić swoje minimalne zwycięstwo. Gwendy miała napięty program na każdy dzień przed wyborami – czasami dwa albo trzy spotkania w ciągu dwunastu godzin – ale zdawała sobie sprawę, że nawet to nie wystarczy, żeby wypełnić trzyprocentową lukę. Po prostu brakowało jej czasu.

Wierzyła, że istnieje tylko jeden niezawodny sposób, żeby zagwarantować jej cud, i ten sposób leży na półce w garażu w domu w Castle Rock. W ciągu następnych dwóch tygodni – zwykle kiedy wierciła się bezsennie w hotelowych łóżkach, które wszystkie wyglądały i pachniały tak samo – co najmniej kilka razy przekonała samą siebie, że słusznie robi, jeśli użyje pudełka. Naciśnie czerwony guzik i Paul Magowan zniknie niczym królik w kapeluszu magika. Ale za każdym razem powstrzymywało ją sumienie i ostrzegawcze słowa Richarda Farrisa: „Nie dotykaj pudełka z guzikami. Nawet nie wyjmuj go z worka, jeśli to nie jest absolutnie konieczne. Za każdym razem, kiedy to zrobisz, zdobędzie większą władzę nad tobą”.

A potem, w czwartkowy wieczór przed dniem wyborów, Gwendy dostała swój cud.

Jak w przypadku większości jego kolegów republikanów, podstawowy elektorat Paula Magowana stanowili obrońcy życia, obrońcy religii, obrońcy granic, dumni i hałaśliwi obrońcy prawa do posiadania broni. Jako zdeklarowany chrześcijanin i ojciec pięciorga dzieci często i z pasją głosił odrazę do bezbożnych i na wskroś złych praktyk aborcyjnych. Lekarzy przeprowadzających takie zabiegi nazywał „bezdusznymi rzeźnikami” i „diabłami w zakrwawionych białych fartuchach”.

Tamtego czwartkowego wieczoru do ogólnokrajowej prasy przeciekła wiadomość, że w jutrzejszym porannym wydaniu „Portland Press-Herald” ukaże się na pierwszej stronie artykuł przedstawiający szczegółowe dowody, poparte pisemnymi dokumentami, że Paul Magowan nie tylko przez cały rok romansował z młodą kobietą ze swojego kościoła, ale także opłacił – i to z funduszy na kampanię – aborcję ich nienarodzonego dziecka.

Komitet wyborczy Magowana jeszcze tego wieczoru zwołał konferencję prasową, żeby zdementować tę historię. Ale było już za późno. Mleko się wylało – prosto na arogancką gębę Magowana.

Po paru dniach, kiedy podliczono głosy, autorka bestsellerów z listy „New York Timesa” Gwendy Peterson została senatorem elektem wielkiego stanu Maine. Zwyciężyła zaledwie czterema punktami, co znaczyło, że wielu stałych mieszkańców nadal zaznaczało na kartach wyborczych Paula Magowana.

Życie w Ameryce, myślała Gwendy, zastanawiając się nad głosami oddanymi na jej rywala. Życie w Ameryce w czasach pandemii.

GWENDY PRZECHODZI NA EKRAK KONTROLA na iPadzie, stuka w LINK WIDEO i w górnym prawym rogu pojawia się puste okienko, obraz w obrazie. Stuka w OBRAZ ODBITY i w okienku pojawia się czubek jej głowy. Poprawia kąt, stuka po raz ostatni i jej uśmiechnięta twarz wypełnia cały ekran.

– Mam – mówi z niemałą dumą.

Długie siwe włosy Gwendy są związane jak zwykle w schludny kucyk, na policzkach ma żywe rumieńce, jej błękitne oczy są czyste i czujne. Wygląda bardzo młodo jak na sześćdziesiąt cztery lata i tak się czuje.

– No, jesteś. – Kathy Lundgren wpływa w pole widzenia niczym anioł zstępujący na ziemię. – Gotowa na zbliżenie, pani Peterson?

Gwendy wyciąga rękę.

– Oczywiście, że jestem gotowa, kochanie – odpowiada wyniosłym tonem.

Kathy śmieje się i udaje, że chce pocałować panią senator w czubek głowy.

Wcześniej martwiła się o Gwendy – kiedy powiedziała jej o pożarze, senator wydawała się oszołomiona i zagubiona – teraz jednak, kiedy znalazły się twarzą w twarz, nie może od niej oderwać wzroku.

– Mój Boże, parę godzin odpoczynku działało cuda. Wyglądasz i brzmisz wspaniale.

– To i odrobina makijażu. – Tylko że Gwendy nie zabrała ze sobą prawie żadnych kosmetyków. Bo i po co? Trzeba maksymalnie ułatwiać sobie życie.

– Cokolwiek to jest, przyślijcie mi trochę, dobrze? – Adesh Patel prześlizguje się obok Kathy w drodze do swojego fotela.

Ona przyjaźnie kiwa mu głową i znowu spogląda na Gwendy.

– Niecałe pięć minut do rozpoczęcia.

Gwendy poprawia pasy i wierci się, dopóki nie znajdzie wygodnej pozycji w fotelu. Spogląda w górę na monitory nad głową, a potem w dół na swojego iPada. Oblizuje wargi i czuje lekki posmak czekolady na języku. Jej serce zaczyna natychmiast łomotać pod kombinezonem, łup-łup-łup.

Małeńka czekoladka, którą zjadła wcześniej, miała kształt strusia. Kiedy rozwiązała sznurki brezentowego worka i wyciągnęła pudełko z guzikami, zdumiała się, jak zaciężyło jej w rękach mimo nieważkości. Wydawało się znacznie cięższe, niż pamiętała, i wyraźnie cięższe niż wtedy, kiedy nosiła je we wzmocnionej stalowej kasetce. Wiedziała, że to trochę bez sensu – właściwie całkiem bez sensu – ale nie traciła czasu na rozmyślanie o tym. W przypadku pudełka z guzikami wszystko było możliwe.

Podjęła już decyzję, kiedy wstukała siedmiocyfrowy kod i otworzyła stalową kasetkę z napisem ŚCIŚLE TAJNE, więc prawie się nie wahała, kiedy nadeszła ta chwila. Przeniosła pudełko na kolana i pociągnęła za dźwigienkę po lewej stronie, tę bliżej czerwonego guzika. A potem pomyślała: Jeśli mnie śledzisz, Farris, możesz mnie pocałować w mój chudy biały tyłek.

Ze środka pudełka bezszelestnie wysunęła się wąska drewniana półeczka. Gwendy wzięła czekoladowego strusia i wrzuciła go do ust, prawie nie zwracając uwagi na misterne szczegóły figurki. Zamknęła oczy i czekała, aż czekoladka rozpuści się na języku, rozkoszując się znajomą eksplozją egzotycznego smaku. Kiedy już czekoladka zniknęła, Gwendy natychmiast miała ochotę pociągnąć za dźwigienkę po raz drugi, ale zwalczyła tę pokusę. Wiedziała, że i tak ryzykuje.

Wcześniej, kiedy opuściła sterownię, zapewniwszy zmartwionego Berna Stapletona, że nic jej nie jest, schroniła się w swojej kabinie. Wyciągnęła się na ciasnej koi i przypięła pasami, nawet nie myśląc o pudełku i jego magicznych przysmakach. Chciała tylko na chwilę zamknąć oczy. Była wyczerpana fizycznie i psychicznie... i przestraszona. Wbrew temu, co sądzili Kathy Lundgren i Bern Stapleton, to nie wiadomość o pożarze tak wytrąciła ją z równowagi, chociaż z pewnością nie pomogła. Chodziło o wszystko razem, o cały ten syf. Martwiła się wideokonferencją. Jedno potknięcie nie w porę i wiedziała, że jest skończona.

I bolało ją serce. Nie zdawała sobie sprawy, jak samotna będzie się czuła na pokładzie Eagle Heavy mimo nawiązanych przyjaźni. Choć od śmierci Ryana minęło prawie siedem lat, czuła się zagubiona i opuszczona, bo wiedziała, że nie będzie na nią czekał w domu. No i pojawiły się Blokady Mózgu, jak je nazywała. Od czasu kwarantanny, a zwłaszcza odkąd weszli na pokład Eagle Heavy, zdarzały się coraz częściej, co ją przerażało. Początkowo wierzyła, że pogorszenie jej stanu jest spowodowane stresem. Ale w głębi duszy wiedziała, że nie o to chodzi. To pudełko z guzikami próbowało ją powstrzymać.

Sięgnęła w dół, dotknęła notesu, bezpiecznie ukrytego w kieszeni kombinezonu, i pomyślała: Ile jeszcze czasu minie, zanim będę pamiętać tylko słowa zapisane w notesie? A jeśli zapomnę, jak się czyta?

Na samą tę myśl miała ochotę wyrwać sobie włosy albo wrzeszczeć, albo jedno i drugie. W głowie jej się kręciło, kiedy leżała, wpatrując się w łukowaty sufit kabiny. W końcu zasnęła i miała sen...

*Gareth Winston siedzi po turecku na podłodze przed swoim iluminatorem. W pobliżu nie widać innych członków załogi, na statku panuje upiorna cisza. Winston jest prawie nagi, ma na sobie tylko brudne, rozciągnięte białe slipy. Jego obwisłe cycki z jaskraworóżowymi sutkami są otoczone kępkami niesfornych, kędzierzawych rudobrzązowych włosów. Na białych, pulchnych udach leży pudełko z guzikami i w pierwszej chwili wydaje się umazane krwią. Ale potem Gwendy widzi, że serdelkowate palce Winstona ociekają ciemnymi kroplami roztopionej czekolady. Podobnie jak jego usta i potrójny podbródek. Czekolada jest wszędzie. Oczy mężczyzny to wąskie szparki, błyskające czerwienią niczym wydrążona dynia halloweenowa. Winston sięga w dół i nonszalancko pociąga za dźwigienkę z lewej strony pudełka. Wysuwa się drewniana tacka z małym czekoladowym osiołkiem. Winston chwytając przysmak i wpycha go łapczywie do ust, ciamkając głośno. Unosi ramię nad głowę, wysuwa palec wskazujący i – nigdy nie może się powstrzymać od ostentacyjnych gestów – zatacza palcem kółka raz i drugi, po czym opuszcza go nieznośnie powoli, aż palec zawisa tuż nad czerwonym guzikiem. Winston*

*chichocze – to nieprzyjemny piskliwy dźwięk – i naciska guzik. Raz. Drugi. Trzeci. Potem podnosi wzrok, szczyrzy brązowe od czekolady zęby i wrzeszczy: „Już! Teraz jestem numerem jeden na świecie!”.*

I wtedy Gwendy ocknęła się gwałtownie na ciasnej koi, a głęboko w jej gardle narastał krzyk zgrozy.

– Trzydzieści sekund – mówi Kathy Lundgren.

Gwendy zerka ukradkiem na Winstona, przypiętego do fotela i patrzącego w drugą stronę. Sprawdza zęby w ekranie iPada – czyste, ani śladu czekolady! – i bierze głęboki, uspokajający oddech.

– Raz kozie śmierć, ludzie.

Zawiesza palec nad ikoną WIDEO NA ŻYWO i słucha odliczania dowódcy:

– Pięć... cztery... trzy... dwa... jeden... i wchodzisz!

Gwendy przylepia do twarzy szeroki uśmiech i stuka w ikonę.

– Witam was, Ziemianie, z mojego domu daleko od domu, na pokładzie Eagle-dziwiętnaście Heavy. Jestem senator Gwendy Peterson ze wspaiałego stanu Maine i będę dzisiaj waszym przewodnikiem. Zanim odepnę pasy i pokażę wam niesamowity widok za tym iluminatorem, chcę przedstawić naszą szanowną dowódczynię lotu, panią Kathy Lundgren. Powiedz wszystkim cześć, Kathy! Trzej przystojni dżentelmeni siedzący po mojej lewej stronie to...



W STYCZNIU 2020 ROKU, MAJĄC za sobą służbę na kilku wysokich stanowiskach kierowniczych w wywiadzie, włącznie z zastępcą szefa komórki antyterrorystycznej oraz rezydentem CIA w Londynie, Monachium i Nowym Jorku, sześćdziesięcioletnia Charlotte Morgan została ósmym zastępcą dyrektora Centralnej Agencji Wywiadowczej jako dopiero druga kobieta w historii.

Była jedną z najbliższych i najbardziej zaufanych przyjaciółek Gwendy. Poznały się na zebraniu dotyczącym budżetu w lecie 2003 roku, w czasie drugiej kadencji Gwendy w Izbie Reprezentantów. Charlotte Morgan tymczasowo mieszkała w Waszyngtonie, gdzie kierowała sześciomiesięcznym programem szkolenia dla zagranicznych agentów. Kilkakrotnie wpadły na siebie przy różnych towarzyskich okazjach, w tym parę razy na meczach drużyny baseballowej Washington Nationals, i szybko się zaprzyjaźniły. Połączyła je namiętność do biegania, niezdrowego jedzenia oraz brutalnych kryminałów, zwłaszcza tych autorstwa niezrównanego Johna Sandforda.

Po zakończeniu programu szkoleniowego Charlotte wróciła za granicę, ale utrzymywały kontakt telefoniczny i mailowy i często się spotykały podczas jej trzech w roku wizyt w kraju. Kiedy w 2005 roku Charlotte po raz drugi wyszła za mąż na prywatnej plaży w Delaware, Gwendy była jedną z jej czterech druhen. Następnej zimy, gdy Charlotte urodziła zdrową dziewczynkę – w swoje czterdzieste dziewiąte urodziny, ni mniej, ni więcej! – ona i jej mąż wybrali Gwendy na matkę chrzestną dziecka. Po latach, kiedy pewnego zimnego październikowego popołudnia odeszła mama Gwendy, Charlotte wskoczyła w pierwszy samolot z Nowego Jorku i parę godzin później trzymała przyjaciółkę za

rękę. Pod wieloma względami Charlotte Morgan stała się starszą siostrą, o której Gwendy zawsze marzyła.

Rano dziewiątego grudnia 2023 roku, gdy Gwendy zaparkowała samochód obok przystani dla łodzi na jeziorze Fairfax w Reston w Wirginii i spostrzegła dawną przyjaciółkę, siedzącą samotnie na ławce nad brzegiem, modliła się, żeby ich długa przyjaźń wystarczyła... przynajmniej na początek. Charlotte podniosła wzrok znad czytanej książki, po czym rozłożyła ręce w geście: „Co się dzieje?”. Gwendy powoli podeszła do ławki, niosąc w prawej ręce brezentowy worek.

– Bez obstawy? – zapytała Charlotte, tylko częściowo żartując.

– Jeżdżę wynajętą kią. To wystarczające zabezpieczenie – odparła Gwendy. Nie wspominając o pudełku z guzikami, dodała w myśli.

– Dobijasz mnie, kochanie. – Charlotte zamknęła grubą książkę w twardej oprawie. – Na dworze jest chyba minus dziesięć. Mów, o co chodzi. Po co te tajemnice?

Gwendy usiadła obok przyjaciółki i położyła brezentowy worek na ziemi.

– Czy kiedykolwiek uważałaś, że nie jestem całkowicie zdrowa na umyśle, rozsądna i prawdomówna?

Uśmiech Charlotte zbladł. Spojrzała uważnie na przyjaciółkę.

– Masz jakieś kłopoty?

– Można tak powiedzieć – przyznała Gwendy. – Proszę, odpowiedz na moje pytanie.

– Pomijając twoje uparte przywiązanie do Red Soxów, udowodniłaś, że należysz do najrozsądniejszych i najbardziej godnych zaufania osób, jakie znam. Na pewno do pierwszej dwójki albo trójki. Wiesz o tym.

– Więc chcę, żebyś posłuchała mnie bardzo uważnie. Możesz to zrobić?

Charlotte spodziewała się, że przyjaciółka wyzna jej, że w końcu zaczęła się z kimś spotykać po czterech latach życia jak zakonnica, ale to brzmiało znacznie poważniej. Nie podobało jej się napięcie w twarzy Gwendy.

– Mogę.

– Na pewno? Bo powiem ci coś, w co będzie bardzo trudno uwierzyć. Potem pokażę ci, co jest w worku, i zademonstruję, jak to działa.

Charlotte nachyliła się i uważniej obejrzała zawiązany worek. Otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale Gwendy nie dopuściła jej do głosu.

– Jeśli zaczniesz przerywać, wrócę do samochodu, odjadę i udam, że tego spotkania nie było.

– Przerażasz mnie, Gwendy. Jesteś pewna, że nie powinniśmy zrezygnować z tej rozmowy, dopóki możemy?

– Tylko jeśli nie chcesz, żeby świat przetrwał dostatecznie długo, żeby Jenny skończyła szkołę, poszła na studia i kiedyś miała własne dzieci.

– Mówisz poważnie?

– Niestety, tak.

Zastępczyni dyrektora CIA zamilkła, nie przerywając kontaktu wzrokowego. Jej praca polegała na tym, by wiedzieć, kiedy ludzie mówią prawdę.

– Okay. Powiedz mi.

Gwendy powiedziała.

Kiedy skończyła, prawie czterdzieści minut później, podniosła brezentowy worek z trawy, wyciągnęła pudełko z guzikami i położyła sobie na kolanach. Patrzyła na nie po raz pierwszy od prawie dwudziestu pięciu lat. Słyszała w głowie szept Richarda Farrisa: *Nie dotykaj pudełka z guzikami, nawet nie wyjmuj go z worka, jeśli to nie jest absolutnie konieczne.*

Czy coś jest absolutnie konieczne, jeśli to absolutnie jedyny sposób? Oczywiście, że tak.

– Pamiętasz, co ci powiedziałam o Jonestown?

– Jasne. Wierzyłaś, że ty to spowodowałaś. A raczej to dziwne pudełko. Mogę? – Charlotte wyciągnęła rękę.

Gwendy odsunęła pudełko i przycisnęła je do piersi. Ponieważ dotknięcie go byłoby niebezpieczne dla Charlotte? Tak, ale nie tylko dlatego. Również z powodu

zazdrości. Przypomniawszy jej się Gollum z *Władcy pierścieni*: „Jest mój, skarbie, mój prezent urodzinowy”. Nie chciała tego czuć wobec pudełka, ale czuła.

To było okropne, lecz nie mogła zaprzeczyć.

– Widzę, że nie mogę – rzuciła Charlotte.

Zmierzyła Gwendy badawczym wzrokiem i ta wiedziała, że przyjaciółka jest o krok od uznania, że senator Peterson kompletnie zwariował.

– Nawet dotknięcie tego pudełka byłoby dla ciebie niebezpieczne – wyjaśniła Gwendy. – Wiem, jak to brzmi i co myślisz, bo ja też bym tak myślała. Daj mi tylko trochę więcej luzu, okay?

– Okay.

– Myślałam, że ta część Gujany, na której się koncentrowałam podczas tamtego eksperymentu, jest niezaludniona. Nie wiedziałam o Jonestown. Wtedy prawie nikt o tym nie wiedział, zanim trafiło to do mediów na całym świecie. Przecież nie było jeszcze internetu. I pamiętaj, że byłam dzieckiem. Tym razem sprawdziłam dokładnie, ale wciąż nie mam pewności, czy nikomu nie stanie się krzywda. Ani czy nikt nie zginie. – Gwendy z trudem przełknęła ślinę, gardło miała suche i obolałe. – Czerwony guzik jest znacznie mniej niebezpieczny, ale i tak jest jak naładowana broń. O czym się przekonałam, kiedy ci wszyscy ludzie wypili truciznę w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku.



– Gwendy, chyba naprawdę nie wierzysz, że to ty...

– Ciii. Nie przerywaj. Obiecałaś.

Charlotte wyprostowała się i zrobiła taki ruch, jakby zamykała usta na zamek błyskawiczny. Gwendy uśmiechnęła się, ale wciąż widziała niedowierzenie w oczach przyjaciółki. Mogła to zmienić.

– Powinnaś zjeść czekoladkę. To ci pomoże trochę otworzyć umysł. – Zgięła mały palec i pociągnęła za jedną z dźwigierek w pudełku. Wysunęło się małe czekoladowe zwierzątko.

– O mój Boże! – zawołała Charlotte, biorąc czekoladkę. – Czy to mrównik?

– Nie wiem, ale z pewnością to jakiś mrówkojad. Nie ma dwóch jednakowych czekoladek, co samo w sobie jest niezłą sztuczką. Śmiało, skosztuj. Myślę, że będzie ci smakować.

– Jestem uczulona na czekoladę, Gwendy. Od razu dostaję pokrzywki.

– Na tę nie będziesz uczulona, zapewniam.

Charlotte przysunęła czekoladkę do nosa i powąchała, i to przeważało szalę. Wrzuciła ją do ust. Oczy jej się rozszerzyły.

– O mój Boże! Jakie to dobre!

– Tak. A jak teraz wyglądam?

– Jak...? – Charlotte naprawdę spojrzała na Gwendy. – Wyraźnie. Jakbym widziała każde pasmo włosów na twojej głowie, wszystkie pory w policzkach... nigdy nie byłaś taka wyraźna. I śliczna. Zawsze byłaś śliczna, ale teraz... łał! – Zachichotała w sposób, jakiego raczej nie należało się spodziewać po ważnej dyrektorze CIA, ale Gwendy nie była zdziwiona.

Wzięła rękę Charlotte w obie dłonie.

– Co myślesz? Spróbujesz zgadnąć?

– Jak mogłabym...? – zaczęła Charlotte, a potem powiedziała: – Piramida. Wielka Piramida. Ta w Gizie.

Zadowolona Gwendy puściła rękę przyjaciółki.

– Skąd to wiedziałam? – szepnęła Charlotte.

– To ta czekoladka. Ale nie tylko czekoladka. Wyszkoliłaś swój umysł, żeby czytać w ludziach. Można powiedzieć, że telepatia to część twojej pracy. Ta czekoladka tylko daje ci fory. Moja matka zjadła kilka i poczuła się lepiej, ale nigdy nie potrafiła czytać w myślach. – Tylko wyleczyły raka, pomyślała Gwendy. – To przejdzie, ale będziesz się czuła świetnie przez resztę dnia. Może do jutra.

– Spójrz na wodę – szepnęła Charlotte. – Słońce napełnia ją gwiazdami. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałam.

Gwendy wyciągnęła rękę i odwróciła przyjaciółkę twarzą do siebie.

– Teraz to nieważne. Czy wiesz, co się dzieje w Egipcie w tym tygodniu? Pewnie do końca wiosny?

Charlotte wiedziała. Oczywiście, że wiedziała, codziennie dostawała raporty na ten temat.

– Nowa fala koronawirusa. Umiera dużo ludzi, rząd ogłosił lockdown, który potrwa co najmniej do połowy maja. I oni się nie opieprzają. Wystarczy, że człowiek pokaże się na ulicy, i jest aresztowany.

– Tak – potwierdziła Gwendy. – I ta wielka stara piramida, najstarsza z siedmiu cudów świata, jest pusta. Żadnych turystów robiących zdjęcia. Żadnych robotników. Nadaje się niemal idealnie do mojej demonstracji.

Gwendy zacisnęła powieki i pomyślała o Wielkiej Piramidzie w Gizie, inaczej piramidzie Chufu albo Cheopsa. Bardzo nie chciała jej dewastować, lecz to byłaby niewielka cena za przekonanie Charlotte.

Uprzedziła przyjaciółkę, co się stanie, a potem nacisnęła czerwony guzik, wkładając w to całą siłę. Pięć minut później siedziała z powrotem w samochodzie i pędziła na północ międzystanową dziewięćdziesiątką, żeby zdążyć na umówiony lunch w centrum Waszyngtonu.

Przed odjazdem Charlotte poprosiła o następną czekoladkę. Gwendy odmówiła, ale zaproponowała, żeby przyjaciółka pociągnęła za dźwigienkę po drugiej stronie pudełka. Nie była pewna, czy pojawi się srebrny dolar Morgana – nie zawsze

pudełko je wydawało – ale tym razem się pojawił. Charlotte westchnęła z zachwytem.

– Weź go – powiedziała Gwendy. – Mały prezent w ramach podziękowania za to, że mnie wysłuchałaś i nie wezwałaś ludzi w białych fartuchach.

Wieczorem, kiedy zadzwoniła jej komórka, Gwendy siedziała w łóżku i oglądała CNN. Pokazywano ujęcia z drona przedstawiające monstrualną kupę gruzów w miejscu, gdzie wcześniej stała Wielka Piramida. Pasek informacyjny u dołu ekranu głosił: TO NIE TRZĘSIENIE ZIEMI. NAUKOWCY ZASKOCZENI. Po krótkim poszukiwaniu znalazła telefon zaplątany w koc. Odebrała po trzecim sygnale; wiedziała, kto dzwoni, chociaż w okienku wyświetliło się NUMER NIEZNANY.

Charlotte Morgan nie zawracała sobie głowy powitaniem czy innymi uprzejmościami. Powiedziała tylko:

– Słodki Jezu.

– Tak – mruknęła Gwendy. – Dość trafne podsumowanie.

– Wyślę cię w kosmos, jeśli tego chcesz. Obiecuję. To może trochę potrwać, więc trzymaj się. Jeszcze pogadamy.

– Ale nie o tym.

– Nie. Nie o tym.

– Okay. Niech to będzie jak najszybciej. Kiedy dzisiaj go użyłam, miałam bardzo paskudne uczucie. I bardzo paskudne myśli. Niektóre dotyczące przemocy i dziwnie erotyczne.

– Rozumiem. – Charlotte zamilkła na chwilę. – Wielka Piramida. Ja pierdołę.

Potem się rozłączyła, nie żegnając się, tak samo jak wcześniej się nie przywitała.

Gwendy rzuciła komórkę na łóżko i znowu spojrzała na ekran. Teraz w pasku biegł napis: SZEŚĆ OSÓB ZABITYCH POD GRUZAMI. To byli młodzi poszukiwacze przygód ze Szwecji, którzy naruszyli lockdown, żeby na własną rękę zwiedzić piramidę, i zostali zmiażdżeni pod tonami bloków piaskowca. Dla



Gwendy to była powtórka z dawnej lekcji. Choćbyś zachowała najwyższą ostrożność, choćbyś miała najlepsze intencje, pudełko z guzikami zawsze wymusi zapłatę.

W walucie krwi.

WIDEOKONFERENCJA JEST WIELKIM SUKCESEM, prawdziwą bombą. Żadnych potknięć, żadnych Blokad Mózgu i Gwendy autentycznie dobrze się bawi. Właściwie cała załoga traktuje to jak zabawę, której kulminacją jest zaimprovizowany hałaśliwy toast – zamykane próżniowo woreczki z sokiem pomarańczowym, jabłkowym i lemoniadą, wzniesione wysoko na cześć senator Peterson, która dobrze się spisała. Nawet Gareth Winston, ściskający woreczki soku w obu mięsistych dłoniach, wydaje się cieszyć jej szczęściem. Albo może, myśli Gwendy ze złośliwą satysfakcją, wreszcie udało mu się wypróżnić.

– No dobrze, ludzie! – woła Kathy Lundgren. – Czas wracać do pracy. Mamy niecałe dwanaście godzin, zanim dołączymy do naszych chińskich przyjaciół w MF-jeden.

– Może wcale ich nie zobaczymy – burczy David Graves, a Kathy żartobliwie wymierza mu klapsa w ramię, kiedy przelatuje obok niej.

Gwendy patrzy z uśmiechem, jak pozostali wracają na swoje fotele.

– Jeszcze raz dziękuję wam wszystkim! – woła. – To była bardzo przyjemna niespodzianka!

Wciąż czuje się wspaniale, ale podniecenie stopniowo opada. Jeśli pamięć jej nie myli – a ostatnio może mylić – haj po czekoladce zwykle trwał znacznie dłużej. Dni, a nie godziny. No, ale minęło dwadzieścia pięć lat, odkąd zjadła ostatnią, więc ile tak naprawdę pamięta? W dodatku ma teraz sześćdziesiąt cztery lata. Jeszcze nie starucha, ale prawie.

W każdym razie Gwendy nie narzeka. Właściwie jest zachwycona. Nie wspominając o uldze. Pierwsza wideokonferencja z głowy. Odtąd już pójdzie z górki, skoro nabrała wprawy. A najlepsze ze wszystkiego? Pamiętała ich

nazwiska: każdego z pozostałych dziewięciu członków załogi. Pamiętała nawet ich specjalności i funkcje, jakie pełnią na pokładzie, i wiele innych szczegółów, które dawno jej umknęły.

Wyciąga iPada spod fotela i wchodzi na swoje zabezpieczone konto mailowe. Przegląda dziesiątki wiadomości w skrzynce odbiorczej i zatrzymuje się na mailu od Progresywnych Ubezpieczeń. Przyszedł tego dnia. Otwiera go.

E-mail ma dwie strony i jest podpisany (oczywiście elektronicznie) przez przedstawiciela firmy ubezpieczeniowej, niejakiego Fredericka Lynna. Gwendy przegląda treść. Firma pracuje nad oceną zniszczeń w jej domu. Tam gdzie to konieczne, wewnątrz zostało zabezpieczone grubymi plastikowymi płachtami i drewnianym rusztowaniem. Wyłączono prąd i opróżniono lodówkę. Biuro szeryfa w Castle Rock i policja stanu Maine będą pilnować domu przed złodziejami i amatorskimi łowcami pamiątek. Również jej sąsiedzi – Ed i Lorraine Hendersonowie – obiecali mieć dom na oku.

Firma ubezpieczeniowa nie spodziewa się odpowiedzi, dopóki pani Peterson nie wróci z kosmosu (pan Freddy Lynn użył dokładnie tych słów i wywołują one kolejny uśmiech na twarzy Gwendy), ale musi zadać jedno istotne pytanie: Czy pani Peterson ma jakieś domowe zwierzę, które mogło uciec na wolność podczas pożaru? Nie znaleziono żadnych miseczek na wodę i karmę, ale takie pytanie to standardowa procedura. Dalej jest mnóstwo technicznych informacji, które jej nie interesują.

Gwendy dziękuje Bogu, że Brigitte wzięła do siebie Pipkę, psa-parówkę. Stuka w przycisk ODPOWIEDZ i pisze: *Żadnych zwierząt. Dziękuję za wszystko, co robicie.* I naciska WYŚLIJ.

Odświeża ekran skrzynki odbiorczej i przewija, aż znajduje mail od Norrisa Ridgewicka. Jest krótszy od pisma z ubezpieczeń, ale niewiele.

17 kwietnia 2026

Droga Gwendy,

bardzo mi przykro z powodu pożaru. Rozmawiałem z Brianem Gardenerem z biura szeryfa w CR, który dopilnuje, żeby nikt nie zbliżył się na odległość głosu do Twojego domu. Pojechałem też porozmawiać z Twoim ojcem, żeby nie dowiedział się o pożarze z telewizji. Bardzo się zmartwił, ale zapewnilem go, że goście od ubezpieczeń naprawią wszystko i będzie jak nowy. (Chociaż nigdy tego nie robią, o czym oboje wiemy). Prosił, żeby przekazać Ci ucałowania.

Teraz prawdziwy powód tego maila. Mam nadzieję, że się nie pogniewasz, ale od kilku lat prowadzę własne małe śledztwo w sprawie Ryana i jego tajemniczej wyprawy do Derry. Wiesz, człowiek nie może cały czas wędkować! Nigdy mnie nie prosiłaś, żebym się tym zajął, ale pomyślałem, że warto spróbować. W najgorszym razie stracę trochę czasu i pieniędzy na benzynę. Chyba marny ze mnie detektyw, bo długo nie mogłem nic znaleźć, a tamtejsze siły policyjne bynajmniej mi nie pomagały. W zasadzie kazali mi spadać na drzewo. W zeszłym tygodniu postanowiłem spróbować jeszcze raz. Bez rezultatu. Dopiero kiedy miałem już wracać do Castle Rock, zatrzymałem się, żeby zatankować na jednej z tych niesieciowych stacji, gdzie facet autentycznie nalewa ci benzynę i przeciera przednią szybę. Ten facet nazywał się Gerald „Gerry” Keele, starszy gość, miła odmiana w porównaniu z tym powszechnym w Derry nastawieniem (wybacz język): „Pierdolę cię i twojego konia”. Zadałem mu kilka pytań, pokazałem zdjęcie Ryana i od razu powiedział „Tak”. Pamiętał zwłaszcza nalepki GWENDY DO SENATU, bo były aż trzy na tylnym zderzaku.

### **Gwendy uśmiecha się i ociera łzę.**

Powiedział, że Ryan pytał o drogę do parku Basseya, bo miał się tam z kimś spotkać obok wielkiego pomnika Paula Bunyana. Keele roześmiał się i powiedział: „Mogę panu dać wskazówki, ale nie znajdzie pan Wielkiego Paula, bo już dawno go nie ma”. Ryan zanotował trasę w telefonie komórkowym i odjechał. Myślałem, że to wszystko, co uzyskam, ale potem Keele powiedział coś jeszcze. Nagrywałem go telefonem, więc mogę ci dokładnie przekazać jego słowa. Powiedział: „Za stacją benzynową jest

opuszczony magazyn, na rogu Neibolt i Pond. Jak tylko ten pana znajomy zapłacił i odjechał, zza magazynu wyjechał stary chrysler. Był wielki jak okręt, w brzydkim zielonym kolorze, aż oczy bolały, kiedy się patrzyło. Mogę się mylić, ale wydawało mi się, że śledził tego faceta, o którego pan pytał”.

Założę się, że wiem, co teraz myślisz, senator Gwendy, bo ja myślę to samo: to cholerna, niepowetowana, aż-się-płakać-chce szkoda, że nie ma nagrania z monitoringu tego wypadku... jeśli to był wypadek. Bardzo chciałbym wiedzieć, czy samochód, który przejechał Twojego męża i zostawił go martwego na ulicy, to był stary zielony chrysler, wielki jak okręt.

Tylko że to się nie zgadza. Przecież ktoś zadzwonił do niej i powiedział, że jej męża potracił jakiś inny samochód. W innym kolorze. Gwendy tak myśli, ale nie może już ufać swojej pamięci. Nawet nie jest pewna, czy rzeczywiście ktoś dzwonił. Przynajmniej może czytać dalej, więc kończy mail od Norrisa.

To wszystko, co mam, i myślę, że niczego więcej się nie dowiem. To dziwne miasto i umrę szczęśliwy, jeśli moja noga nie zostanie tam do końca życia. Będę kopał dalej, jeśli sobie życzysz, ale szczerze uważam, że to nic nie da. Mam nadzieję, że nie gniewasz się, że w ogóle zacząłem. Chciałem dobrze. Na razie życzę szczęśliwej podróży. Szanuję Twoją odwagę, ale poza tym mogę tylko powiedzieć, że cieszę się, że nie jestem na Twoim miejscu.

Twój przyjaciel

Norris

Gwendy niemal słyszy jego głos – zadziwiająco głęboki jak na takiego szczupłego mężczyznę – kiedy czyta mail po raz drugi. Potem siedzi wpatrzona w ekran iPada i jej wzrok stopniowo traci ostrość. Dobry nastrój, którym cieszyła się od paru godzin, zniknął, zastąpiony przez... sama nie wie dokładnie przez co. Szok? Oszołomienie? Strach? Tak, to wszystko razem. Do oszołomienia przywykła, odkąd jej umysł zaczął szwankować. Do reszty mniej.

– Zajmijcie mi miejsce – zwraca się do nikogo w szczególności. – Idę do toalety.



Odpina pasy i płynie w dół do wspólnego pomieszczenia na poziomie czwartym. Coś ty kombinował, Ryan?

Lśniące białe drzwi toalety są zamknięte i Gwendy znowu przypominają się sterylne szuflady kostnicy, które tak często oglądała w telewizji. Na panelu nad klamką widnieje napis WOLNY. Niepewna, czy naprawdę chce siku, czy tylko zachowuje pozory, Gwendy sięga do klamki. Zanim udaje jej się otworzyć drzwi, ktoś chwyta ją od tyłu za ramię.

Gwendy piszczy i obraca się gwałtownie, młóćąc rękami. Gareth Winston unosi się z zaskoczoną miną jakieś pół metra nad podłogą.

– Chryste Panie, Winston! Nigdy więcej nie podkradaj się do mnie w ten sposób!

– Przepraszam. – Nie wydaje się specjalnie skruszony, ale dryfuje do tyłu. – Nie chciałem cię przestraszyć. Zwykle robię mnóstwo hałasu, kiedy wchodzę do pokoju. Jestem trochę niezdarny. – Wzrusza tęgimi ramionami. – Ale tutaj jestem lekki jak piórko. Trudno się do tego przyzwyczaić.

– Rzeczywiście – przyznaje Gwendy.

– W każdym razie chciałem tylko przeprosić, że wcześniej byłem niemiły. To nie moja sprawa, co jest w tej twojej skrzynce, i nie powinienem mówić tego, co powiedziałem.

Gwendy nie wierzy własnym uszom. Nie tak dawno miała wątpliwości, czy w słowniku Garetha Winstona istnieje słowo „dziękuję”. Postawiłaby ostatniego dolara, że nie ma tam słowa „przepraszam”. Jest przyjemnie zaskoczona, wiedząc, że się myliła.

– Przeprosiny przyjęte.

– Kiedy człowiek ma tyle pieniędzy co ja, czasami nabiera złych nawyków, na przykład uważa, że zawsze musi postawić na swoim. Pracuję nad tym.

– Znam paru ludzi w Waszyngtonie, którym też przydałaby się taka terapia. A nie mają nawet ułamka twojej kasy.

Winston się śmieje.



– Dziękuję, że przyjąłeś przeprosiny. Zostawię cię z... – Wskazuje drzwi toalety. – No wiesz.

Gwendy uśmiecha się do niego szczerze – podoba jej się ten nowy i ulepszony Gareth Winston – i wyciąga rękę.

– Dzięki, że jesteś taki uprzejmy.

Winston ściska jej dłoń.

Nagle wydaje jej się bardzo wyraźny, bardzo jasny i skupiony, niemal jakby rozświetlony od środka, a wszystko inne wokół niego gaśnie. Myśląc o tym później, przypomni sobie tamtą chwilę podczas drugiego okresu opieki nad pudełkiem, kiedy weszła w umysł szaleńca, którego gazety w Castle Rock nazwały Wrózką Zębuszką. I oczywiście tę, kiedy Charlotte Morgan wiedziała, że ona myśli o Wielkiej Piramidzie.

*Chociaż Gareth Winston wciąż się uśmiecha, nie uśmiecha się w środku. Nigdy nie uśmiecha się w środku. Ale jest zakochany. Mężczyzna, w którym jest zakochany, siedzi za kierownicą samochodu. Gareth siedzi na fotelu pasażera i patrzy na niego. Niegrzecznie jest się gapić, ale Gareth nie może oderwać oczu od jego twarzy. Myśli, że to twarz jasnowłosego anioła. Myśli, że oddałby wszystko, co posiada, żeby ten jasnowłosy anioł pozwolił mu tylko na jeden pocałunek.*

Tylko że w tym przeblysku – trwającym dwie, najwyżej cztery sekundy – Gwendy widzi kierowcę takiego, jaki jest naprawdę. Jego prawdziwa twarz jest stara, wynędzniała i gnijąca od środka. Oczy zakrywają mleczone katarakty. Dolna warga straciła jędrność i obwisa, odsłaniając rząd szczerbatych, poczerniałych zębów. Gwendy ma okropne przeczucie, że już niedługo tak będzie wyglądał Richard Farris.

*Samochód jest duży. I stary. Wielka maska ma kolor upiornie jaskrawej zieleni, od której bolą oczy.*

Winston rzuca się w tył i wyrywa rękę. Oczy tonące w zwałach tłuszczu ma rozszerzone.

– Jezu, kobieto! – Jego głos nie brzmi już pokornie i przepraszająco. Jest wkurzony. I przestraszony. – Co to było?

– Nie wiem – odpowiada Gwendy. Wizja już blednie. Jeśli szybko jej nie zapisze w notesie, całkiem o niej zapomni, jak zapomina się sen w dziesięć minut po przebudzeniu. – Pewnie jakaś elektryczność.

Obok przepływa doktor Dale Glen, oglądając coś na iPadzie.

– Bardzo prawdopodobne. To się tu często zdarza – mówi, nie odrywając wzroku od ekranu.

– No, było mocne, cokolwiek to było. – Winston i zdobywa się na sztuczny śmiech, jak z komiksu: „Ha! Ha!”. – Proszę wybaczyć, pani senator. Muszę odpowiedzieć na kilka maili.

Odlatuje, zostawiając ją pod drzwiami toalety. Dopiero za drugą próbą udaje jej się otworzyć drzwi. Obok przepływa Adesh i pyta, czy wszystko w porządku. Gwendy nie odpowiada – nie jest w stanie – ale kiwa głową i jej włosy unoszą się w powietrzu jak wodorosty. Wreszcie otwiera drzwi i wciąga się do środka. Niezdarnie szuka guzika, który podświetli napis ZAJĘTE na panelu na zewnątrz (we wspólnej części statku nie ma zamków; to środek bezpieczeństwa, na wypadek gdyby ktoś potrzebował interwencji medycznej), i próbuje podnieść klapę sedesu. Klapa nie ustępuje. Zapala się czerwony panel z napisem POD CIŚNIENIEM.

Racja, prawie zapomniała (ostatnio zapomina tak wiele). Naciska guzik na prawo od toalety i czerwone światełko gaśnie. Rozlega się cichy szum, kiedy sedes robi to, co należy, żeby po podniesieniu klapy całe powietrze z maleńkiej kabiny nie wyleciało najpierw do muszli, a potem w kosmos. Gwendy uświadamia sobie, że jeśli Kathy jest w sterowni, zobaczy, jak ostrzegawcze światełko najpierw się zapala, a potem gaśnie. A jeśli jej tam nie ma, pewnie jest Sam Drinkwater albo Dave Graves. Ma nadzieję, że skwitują to wzruszeniem ramion. Pewnie tak, ale to niedobrze. Zapominanie o takich podstawowych rzeczach ze szkolenia to zdecydowanie ND.

Gwendy zsuwa kombinezon, siada i przekręca odpowiednią tarczę na najniższe ustawienie. Czuje delikatne ssanie, oznaczające, że jej mocz zostanie usunięty, zamiast unosić się w kroplach pod jej cipką. Kryje twarz w dłoniach i sika. Coś się stało przed chwilą, kiedy podała rękę Garethowi Winstonowi. Coś ważnego. Coś z samochodem. Albo dwoma samochodami w różnych kolorach? Prawdopodobnie również coś w związku z Ryanem, ale chyba nie; pewnie pomyliła jej się wiadomość od Norrisa z tym, co się właśnie stało, kiedy dotknęła ręki Garetha Winstona.

Cokolwiek to było, zniknęło.

Cholera, co się ze mną dzieje? – myśli Gwendy. Cholera jasna.

Mogłaby to odzyskać, gdyby zjadła następną czekoladkę; to kuszący pomysł, ale nie powinna tego robić. Nawet jedna była niebezpieczna, a zresztą to chyba nie ma znaczenia.

Na pewno?

ZAŁOGA I PASAŻEROWIE EAGLE HEAVY widzieli stację MF na każdej z jej sześciu orbit. Ponieważ orbity trochę się różnią i tworzą wachlarzowaty kształt na ekranie komputera (Gwendy myśli, że wyglądają trochę jak kokarda), Many Flags czasami wydaje się nad, a czasami pod nimi, zawsze jednak jest na sterburcie i zawsze jest zadziwiająca.

– Wygląda jak ta stacja kosmiczna z filmu *Odyseja kosmiczna* – komentuje Reggie Black, kiedy przelatują po ostatniej niedokującej orbicie. MF znajduje się teraz w odległości niecałych czterdziestu kilometrów. – Tylko MF ma jeden pierścień zamiast dwóch.

– I więcej szprych – dodaje Jafari. Obaj unoszą się ramię przy ramieniu przed iluminatorem, a Gwendy wisi nad i między nimi. – W filmie były chyba tylko cztery szprychy.

– MF bardzo przypomina wizję Kubricka – odzywa się ze sterowni Sam Drinkwater. – Musicie pamiętać, że nie zawsze sztuka naśladuje życie. Czasami jest na odwrót.

– Nie mam pojęcia, co to znaczy – oświadcza Gareth. On również ogląda MF, ale ponieważ iluminator po prawej stronie jest zajęty, musi się zadowolić iPadem i wydaje się zirytowany z tego powodu.

– To znaczy, że ludzie, którzy projektowali tę stację, widzieli film – wyjaśnia Sam. – Może jako dzieci. Dla nich tak powinna wyglądać stacja kosmiczna.

– Śmieszne – prycha Gareth. – Skonstruowano ją w ten sposób, bo forma zawsze wynika z funkcji. Nie dlatego, że jakiś kosmiczny architekt obejrzał film, kiedy miał pięć lat.

Sam nie próbuje podważyć tego argumentu, może dlatego, że Gareth zapłacił za swoją wyprawę (w poufnych plikach, które Gwendy widziała przed lotem, zobaczyła, że Gareth – i ona – zostali określani jako „gęsi”, jak dawniej nazywano pasażerów samolotów), albo może Sama po prostu znudził ten temat. W każdym razie Gwendy uważa, że ma rację. Spoglądając na swój zegarek Apple, często myśli, że jakiś projektant, maniak techniki w dzieciństwie, zachwyił się radiem, które Dick Tracy nosił na nadgarstku.

W każdym razie stacja MF jest ogromna. Dokładne liczby wyleciały Gwendy z pamięci (razem z mnóstwem innych rzeczy), ale przypomina sobie, że niekończący się kolisty zewnętrzny korytarz biegnący po jej obwodzie ma cztery kilometry długości. Nawet po zniszczeniu Wielkiej Piramidy nadal pozostało siedem cudów świata. Tylko że ten nowy siódmy jest właściwie ponad światem. I przez następne dziewiętnaście dni będzie ich domem. To znaczy zakładając, że przez następne parę godzin wszystko pójdzie gładko; dokowanie to najtrudniejsza i najbardziej delikatna część całej misji, nawet bardziej niebezpieczna niż lądowanie na pływającej platformie w pobliżu Malty.

Kathy Lundgren odzywa się na kanale ogólnym i każe im włożyć kombinezony ciśnieniowe. Przez chwilę Gwendy jest skonsternowana. Wie, co to jest kombinezon ciśnieniowy, oczywiście, że wie, tylko gdzie go schowała?

Widzi, jak Adesh i Jafari wyciągają spod foteli pojemniki do przechowywania rzeczy, i omal nie klepie się w czoło. No jasne. Weź się w garść, Gwendy. Czy pamięć jej się pogorszyła, odkąd skończyło się działanie ostatniej czekoladki? Sądzi, że prawdopodobnie tak. Pudełko zawsze pobiera opłatę.

Wyciąga kombinezon i wsuwa się w niego. Na chwilę jej uwagę przyciąga iluminator po lewej stronie. Czy właśnie przeleciał za nim ptak? W drodze do karmnika obok stołu piknikowego na ich...

– Proszę się zapiąć, senator Gwendy – mówi Dale Glen, wskazując na jej rozpięty kombinezon.

– Tak. Myślałam tylko... – Czy powinna mu powiedzieć, że zdawało jej się, że właśnie zobaczyła ptaka przelatującego na wysokości czterystu dwudziestu kilometrów nad ziemią? Albo że na chwilę straciła poczucie czasu? – Nieważne.

Zapina kombinezon, zakłada hełm i zatrzaskuje go, wyłączając swój coraz bardziej zawodny umysł i polegając na zapamiętanych odruchach mięśni. Klik, klik, trzask i gotowe. Bułka z masłem, mówi sobie i łączy się z iPadem oraz ekranami nad głową. Z początku nie widzi nic przed sobą, a potem zza krawędzi Ziemi wyłania się to ogromne i nieprawdopodobne koło ze szprychami. Obraca się powoli i majestatycznie, odsłaniając flagi 61 państw, które uczestniczyły w jego budowie i mają prawo – przynajmniej teoretycznie – z niego korzystać. Brakuje tylko ścieżki dźwiękowej z filmu *2001: Odyseja kosmiczna*, myśli Gwendy. *Tako rzeczce...* ktoś tam. Nie pamiętam, tyle że zaczyna się na Z.

Pośrodku znajduje się biały bąbel zawierający sprzęt teleskopowy; Jafari Bankole pewnie nie może się doczekać, żeby się do niego dorwać. Nad bąblem wystaje maszt ze stali nierdzewnej, zwieńczony szarą czaszą, którą oplata błyszcząca złota siatka. To coś wysyła wiadomości do gwiazd... i ma nadzieję na odpowiedź.

Kathy Lundgren:

– Kontrola misji, mamy zezwolenie na dokowanie?

Eileen Braddock:

– Wchodź do doku, Eagle Heavy, mamy wszędzie zielone światło.

David Graves:

– Opuścić wizjery, proszę wycieczki. Zostało...

– ...siedemnaście minut – kończy za niego Kathy. – Załoga, potwierdzić wizjery.

Potwierdzają.

– Przekaż sterowanie Becky – mówi Eileen.

– Przyjęłam, przekazuję Becky – odpowiada Kathy. – Żadnych komend, tylko komputer. Co powiesz, Becky?

– Że mam autobus – odpowiada komputer o imieniu Becky.

– A co to za autobus, Becky? – pyta Dave.

– To zaklęty autobus – mówi Becky i nawet odtwarza kilka dźwięków z piosenki The Who.

– To raczej nie jest pora na głupie komputerowe sztuczki – odzywa się Gareth. Wydaje się spięty i zirytowany; jego przyjazny ton głosu ze spotkania przed toaletą jest już odległym wspomnieniem. – Następnym razem każecie jej opowiadać dowcipy, kiedy nasze życie będzie w niebezpieczeństwie.

– Niczyje życie nie jest w niebezpieczeństwie – zapewnia Kathy. – To jak spacer po parku.

No, mam nadzieję, myśli Gwendy.

Teraz znowu czuje dotknięcie grawitacji, kiedy Becky odpala silniki manewrowe krótkimi minimalnymi impulsami.

– Komandor Lundgren, czy chcecie zrobić jeszcze kilka okrążeń? – pyta Eileen Braddock z kontroli misji. – Słońce zajdzie za dwadzieścia minut w waszej lokalizacji.

– Nie, Ziemia, tu wszystko w porządku, a Becky widzi w ciemności.

Ale Kathy i Sam nie widzą, myśli Gwendy, a dokowanie sterowane przez komputer udaje się tylko wtedy, gdy w oprogramowaniu Becky nie ma żadnych usterek i nic nie wyskoczy w ostatniej chwili.

– Przyjąłem, Eagle Heavy. – Tym razem słyhać męski głos przełożonego Eileen, nie specja od raket, tylko jakiegoś mianowanego polityka.

Gwendy powinna pamiętać jego nazwisko, sama go mianowała, na litość boską, ale nie pamięta. Próbuje kilku sztuczek doktora Ambrose'a, jednak żadna nie działa.

Jej mózg nagle przeszywa oślepiająca myśl, przerażająca jak uderzenie pioruna w pobliżu: Gdzie jest pudełko z guzikami? Czy jest w jej małej kabinie, czy w schowku pod fotelem? O Boże, czy leży na najwyższej półce w garażu w domu? A jeśli zapomniała je zabrać?

Zachowała dostatecznie dużo przytomności umysłu, żeby przełączyć komunikator na prywatny kanał, i wybiera na iPadzie Robalą.

– Adesh, czy wiesz, co zrobiłam z tą stalową kasetką, którą wniosłam na pokład? Tą z...

– Tą z napisem ŚCIŚLE TAJNE?

Adesh pokazuje w dół. Gwendy spuszcza wzrok i widzi ją pod nogami, tak jak przy starcie.

– Dziękuję – rzuca. – Wybacz, że marudzę. Trochę się denerwuję tym dokowaniem.

– Doskonale rozumiem. – Adesh uśmiecha się do niej przez wizjer, ale w jego oczach nie ma uśmiechu. Widać tam namysł. Może ocenę. Nie podoba jej się to. Oni nie mogą się dowiedzieć, że coś jest ze mną nie tak, dopóki nie wypełnię misji. Potem nie ma znaczenia, czego się dowiedzą.

Na górze rozlega się łupnięcie, kiedy luk dokujący Eagle Heavy otwiera się na serwomotorach.

– IDA na miejscu i wszystkie wskaźniki zielone – mówi Becky.

Gwendy nie ma z tym kłopotu. IDA to międzynarodowy adapter dokujący; każdy kraj może wysłać rakiety do MF, używając tego samego systemu. Pamięta to, ale chwilowo nie może sobie przypomnieć, jak ma na drugie imię.

– Klamry mocujące na miejscu – informuje Becky.

Kabina przechyla się na bakburtę, potem na sterburtę i nieruchomieje. Każdemu przechyłowemu towarzyszy lekkie szarpnięcie, jakby niedoświadczony kierowca naciskał pedał gazu, zwalniał i znowu naciskał. Gwendy mogłaby się obyć bez tego porównania.

– Dziesięć metrów – ogłasza Becky.

Nagle na kabinę pada ogromny cień. Zapalają się wewnętrzne światła. Gwendy wyciąga szyję i widzi, że przelatują pod jedną z ogromnych szprych stacji MF, omijają ją zaledwie o metry, jak się wydaje. Wyraźnie widzi każdy nit i spaw.

– Jezu, za blisko! – krzyczy Gareth. – Kurwa, za blis...



Potem jego głos cichnie. Ktoś – prawdopodobnie Dave Graves – odciął go od ogólnego kanału. No i dobrze, myśli Gwendy. Nikt nie musi słuchać jego wrzasków. Niemniej spina się wewnątrz w oczekiwaniu na kolizję, która wydaje się niemal nieunikniona. Ręka w rękawicy chwyta jej dłoń. To Jaff. Odwraca się do niego i mruga. Astronom wydaje się śmiertelnie przerażony, ale odpowiada mrugnięciem.

– Pięć metrów – mówi Becky.

Parę sekund później następuje uderzenie, niezbyt mocne, ale solidne. Gwendy czuje zawrót głowy i uświadamia sobie, że jej ciało nie całkiem zdawało sobie sprawę, że Eagle Heavy się porusza, dopóki się nie zatrzymał.

– Miękki przechwyt zakończony – oznajmia Becky.

Kathy przekazuje to na Ziemię i Gwendy słyszy oklaski. Gareth obok swojego iluminatora jest wyraźnie skonsternowany. Nie słyszy, co się dzieje.

Gwendy wybiera dowódcę na swoim iPadzie i mówi:

– Kathy, podłącz z powrotem Garetha. Chyba już jest w porządku i powinien usłyszeć, że wszyscy na dole są szczęśliwi.

– Przyjęłam.

Becky każe im przygotować się na końcowe dokowanie i cumowanie. Rozlegają się kolejne łupnięcia, tym razem mocniejsze, kiedy dwanaście cum zatrzaskuje się po dwie jednocześnie.

– Sekwencja dokowania zakończona – ogłasza Becky.

– Dobra robota, Beckuś – mówi Dave.

– Zawsze chętnie pomagam – odpowiada Becky. – Czy mam przeprowadzić otwarcie włazu?

– Ja to zrobię – odzywa się Kathy. – Ustąp, Becky.

– Ustępuję.

Sam Drinkwater mówi:

– Rękaw podłączony. Możesz otwierać właz, Kath.

Kathy odwraca się na fotelu.

– Wszyscy zahermetyzowani? Czekam na potwierdzenia.

Potwierdzają. Gwendy myśli, że ten bogaty facet – nazwisko chwilowo jej umknęło – ciągle jest naburmuszony, ale chyba czuje ulgę.

– Kontrola misji, wszystkie zawory zamknięte i otwieram właz – melduje Kathy.

– Przyjęłam, Eagle Heavy. Bawcie się dobrze i nie róbcie nic, czego ja bym nie zrobiła.

– To nam daje sporo swobody. – W głosie Kathy słychać uśmiech. – Odezwiemy się, jak wejdziemy do Many Flags. Dziękujemy wszystkim na dole. Eagle, bez odbioru.

JEDNO PO DRUGIM PRZEPEŁYWAJĄ przez właz, potem rękawem o ścianach z błękitnej pianki i wreszcie na pokład Many Flags. Kathy Lundgren jest pierwsza, Gareth Winston ostatni. Gwendy jest między Reggie Blackiem, fizykiem, a Adeshem, czyli Robalem.

Czuje lekką grawitację, kiedy wlatuje do środka. Umysł ma teraz przejrzysty jak kryształ i pamięta, że powolny obrót stacji przywrócił jej ułamek ciężaru. Ona i pozostali nowicjusze rozglądają się dookoła, odbijając się powoli w górę i w dół, w górę i w dół.

W pierwszej chwili Gwendy myśli, że pomieszczenie kontrolne USA wyglądałoby jak hotelowe lobby, gdyby ściany nie były obwieszane sprzętem, monitorami i koszmarną plątaniną kabli i przewodów. I oczywiście gdyby nie było wyściełane. Potem myśli, że jest wielkie. Po dwóch dniach na pokładzie Eagle Heavy wydaje się ogromne. Sufit znajduje się co najmniej półtora metra nad jej głową, a jedna ze ścian wcale nie jest ścianą, tylko wdzięcznie wygiętym długim oknem z widokiem na czystą czerń przetykaną gwiazdami.

– Możecie zdjąć skafandry – mówi Sam. – Zostawcie je tam.

Pokazuje szafki ustawione szeregiem pod ścianą. Jest ich co najmniej dwadzieścia. Na dziesięciu są podświetlone panele z nazwiskami załogi Eagle Heavy. Gwendy płynie-skacze do swojej i otwiera ją. Jest tam haczyk na kombinezon i namagnesowana półka na hełm. Stalowa kasetka z napisem ŚCIŚLE TAJNE zmieściłaby się na półce, ale Gwendy nie chce jej tu zostawiać. Nie obok szafki Garetha. Widziała, że ją obserwuje, i raczej nie dlatego, że podziwia jej tyłek w czerwonym kombinezonie.

– Załoga do mnie – zarządza Kathy. – Zbiórka za minutę.

Gwendy zamyka szafkę i dołącza do pozostałych, trzymając stalową kasetkę za uchwyt. Przypomina jej pudełko na lunch, które nosiła w szkole podstawowej w Castle Rock dawno, dawno temu.

– Powietrze lepiej tu pachnie, nie uważasz? – zagaduje ją Bern Stapleton.

– Boże, tak. Bardziej słodko i świeżo.

Z głośników nad głowami sączy się instrumentalna muzyka. Może Seals & Crofts, może Simon & Garfunkel. Jak w supermarkecie albo centrum handlowym, przebiega przez głowę Gwendy. Zwraca uwagę na coś jeszcze. Przez szum rozmaitych urządzeń przebija się cichutkie skrzypienie, niemal jakby stary drewniany żaglowiec płynął na umiarkowanym wietrze.

To trochę upiorne, myśli Gwendy. Wróc: To bardziej niż trochę upiorne. Jak nawiedzony dom w filmie. Albo nawiedzony hotel. Może to głupie uczucie, ale pewnie usprawiedliwione. Stacja MF jest ogromna i oprócz garstki Chińczyków robiących Bóg wie co jest pusta.

Otoczają Kathy, unosząc się i opadając, w górę i w dół.

– Większość tego znacie ze szkolenia przed lotem, ale przepisy wymagają, żebym udzieliła wam krótkiego pouczenia przed wejściem na stację. Najpierw zakwaterowanie.

Wskazuje na drzwi oznakowane SZPRYCHA 1, SZPRYCHA 2 i SZPRYCHA 3.

– Szprycha Jeden to załoga: ja, Sam i Dave. Szprycha Dwa to personel naukowy: Reggie, Jafari, Bern i Adesh. Szprycha Trzy należy do naszych pasażerów, Gwendy i Garetha, plus doktor Glen. Myślę, że nowicjusze będą zachwyceni tym, co tam znajdą. Korporacja TET ma nadzieję, że w niedalekiej przyszłości te pomieszczenia i wiele podobnych zajmą pasażerowie, którzy będą płacić za lot. Gwendy i Gareth, macie prawdziwe apartamenty. Wprawdzie tylko sypialnia, salon i mała łazienka, ale całkiem luksusowe.

– Nie mów tego podatnikom – odzywa się Gwendy scenicznym szeptem.

Większość się śmieje. Gareth nie, może dlatego, że obecna administracja zaliczyła go do grupy, która płaci sześćdziesiąt procent podatków. Albo może po prostu niecierpliwą go powtórki.

– Musicie sami przynieść swoje rzeczy z Eagle, boye hotelowi strajkują.

Znowu się śmieją i znowu Gareth nie przyłącza się do ogólnej wesołości. Gwendy zastanawia się, kiedy ostatnio musiał nieść własny bagaż. Może gdy wprowadzał się do akademika. Może nigdy.

– Skrócę resztę wykładu, jeśli obiecacie nie wygadać się przed kontrolą misji, ale nalegam, żebyście ponownie przejrzeni wideoinstrukcję na swoich tabletach. Pokieruje wami w tych częściach stacji, które są dla nas dostępne... czyli prawie we wszystkich, w obecnej wyjątkowej sytuacji. Jaff, ty będziesz chciał pójść do obserwatorium i włączyć to, co trzeba, żeby zacząć wysyłać zdjęcia na Ziemię. Przypuszczam, że głównie zainteresuje cię Mars.

– Absolutnie – potwierdza Jafari.

– Gwendy, ty będziesz chciała obejrzeć obserwatorium pogody. Jest małe, ale ma tony sprzętu i własny teleskop. Bern, twoje laboratorium jest obok Adesha Robala w Szprysze Pięć.

– Podobno miało być krótko? – przerywa jej Gareth. – Chciałbym już się zakwaterować.

Kathy czuje przelotną irytację z powodu tej nieuprzejmości, ale po chwili irytacja mija. Gareth jest ważny dla turystycznych planów korporacji TET i dlatego trzeba go rozpieszczać. Do pewnego stopnia, myśli Gwendy. Jeśli trzeba go opieprzyć za niewłaściwe zachowanie, ja mogę odgrywać rolę złego policjanta. Tak jak opieprzyła faceta, którego miejsce zajęła w Senacie, i to w ogólnokrajowej stacji telewizyjnej. Tylko że chwilowo nie pamięta, jak się nazywał. Zdaje sobie sprawę, że znowu traci tę jasność umysłu, którą od dzieciństwa traktowała jak coś oczywistego. Jeszcze nigdy nie czuła się tak bezradna.

– Proponuję, żebyśmy wszyscy się zakwaterowali – mówi Kathy. – Ale najpierw jeszcze jedno.

Gareth wzdycha ciężko z miną cierpiętnika. Ale tak naprawdę co on ma do roboty? Przecież nie wykonuje żadnej pracy tu, na górze, a Gwendy z pewnością nie zamierza go prosić o pomoc w obserwatorium pogody.

– Wszyscy macie swobodny dostęp do całej stacji z wyjątkiem Szprychy Dziewięć. To jest obecnie terytorium Chińczyków. – Kathy wskazuje panel informacyjny pod dużym oknem, gdzie świeci osiem zielonych diod i jedna czerwona. – Jeżeli otworzą służbę... co czasem robią, żeby skorzystać z sali gimnastycznej albo Sali Międzynarodowej, gdzie grają w gry wideo i biorą napoje z automatów... nadal trzymajcie się na dystans. Oni nie są zbyt gościnni. Ale wszystkie szprychy prowadzą do zewnętrznej obręczy, a to jest wspólne terytorium. Lubię tam biegać. Przy tym ciężeniu robię kilometr w trochę ponad minutę.

– Proszę? – odzywa się znowu Gareth, całkiem jak bogaty pasażer pierwszej klasy po długim locie, lekceważący pilotów od chwili, kiedy samolot wylądował. Ten facet czasami jest przyjazny, nawet czarujący, ale to tylko cienka warstwa, pod którą kryje się człowiek wymagający posłuszeństwa i rozpieszczania. – Może spróbuj się streszczać, Kathy?

– Masz ważną telekonferencję? – pyta łagodnie Bern.

– Nie twój interes, ogrodniku – warczy Gareth.

– Idźcie – mówi Kathy. – Zakwaterujcie się. Moja rada: wykorzystajcie ten dzień na zwiedzanie stacji, zanim zaczniecie robić to, po co tu przylecieliście.

Większość wraca do Eagle, z Garethem na czele. Gwendy się ociąga, potem powolnymi skokami zbliża się do Kathy, która rozmawia z doktorem Glenem.

– Masz chwilkę? – pyta.

– Oczywiście. W czym mogę pomóc?

Dale Glen podpływa do okna, staje z rękami splecionymi za plecami i wpatruje się w nieskończoną czerń. Pozostali odeszli.

– Mój pokój – mówi Gwendy. Nie może się zmusić, żeby nazywać go apartamentem. – Czy ma zamek?

– W żadnym nie ma zamka, ale twoja kwatery jest wyposażona w sejf, bardzo podobny do takich, jakie mają w pokojach hotelowych. Bo to właściwie jest pokój hotelowy. – Spogląda znacząco na stalową kasetkę, którą trzyma Gwendy. – Wklepujesz czterocyfrową kombinację. Pani specjalny ładunek doskonale się tam zmieści, pani senator.

Mówi oficjalnie, bo to oficjalna sprawa, myśli Gwendy.

– Dziękuję. Trochę mi ulżyło. – Zerka w stronę Glena, który stoi w bezpiecznej odległości, ale i tak zniża głos. – Pan Winston... Gareth... okazuje... hm... zainteresowanie.

– Może to również go zainteresowało. – Kathy sięga do elastycznej kieszeni w talii swojego kombinezonu.

Ku przerażeniu Gwendy wyciąga jej czerwony notes. Zapisała w nim wszystkie rzeczy, których nie chce zapomnieć, włącznie z szyfrem otwierającym kasetkę ŚCIŚLE TAJNE.

– Powiedział, że drzwi twojej kabiny były uchylone i znalazł notes fruwający po korytarzu – wyjaśnia Kathy. – I chyba tak było, bo przecież nie miał powodu, żeby węszyć w twojej kabinie, prawda?

– Oczywiście. – Gwendy bierze notes i wpycha do kieszeni. – Dziękuję.

Kathy bierze ją za ramię.

– Myślisz, że węszył? Bo musiałabym to potraktować bardzo poważnie, nie zważając na jego kasę.

Najgorsze, że Gwendy nie wie. Sądzi, że nie zostawiła notesu na wierzchu; sądzi, że nie zostawiła otwartych drzwi kabiny, żeby mógł wyfrunąć w podmuchu powietrza z wentylatorów... ale nie ma pewności.

– Nie – odpowiada. – Chyba nie. Kathy... masz miniraketę, zgadza się? Jest na pokładzie?

– Tak. Chociaż po co jest, to najwyraźniej przekracza moje uprawnienia.

– A ja mam wyznaczony spacer w kosmosie siódmego dnia?

Kathy początkowo nie odpowiada. Minę ma niepewną.

– Taki jest plan, ale plany czasami się zmieniają. Kilka osób ze mną rozmawiało, włącznie z...

– Włącznie ze mną – wtrąca doktor Glen. Dołączył do nich niezauważenie, a teraz zadaje dokładnie to pytanie, którego Gwendy się obawiała... w każdym razie jakąś jego wersję. – Pani senator, czy chce nam pani coś powiedzieć?



PEWNEGO WIOSENNEGO DNIA W 2024 roku, jakieś cztery miesiące po spotkaniu z Charlotte Morgan, Gwendy przestała udawać, że nic jej nie jest. Stało się to za sprawą błahego tekstu na siedemset słów. Coś takiego powinna odwalić w godzinę, zwykle lanie wody, ale obaliło jej mur zaprzeczeń z równą łatwością, z jaką czerwony guzik na magicznym pudełku obalił Wielką Piramidę w Gizie.

„Washington Post” zamieszczał od czasu do czasu artykuł *Moja piątka*, w którym różni sławni ludzie pisali o pięciu wspaniałych (albo zwyczajnie przeoczonych) rzeczach w ich rodzinnych stanach. John Cusack pisał o swoim rodzinnym Illinois. Autorka kryminałów Laura Lippman napisała o kawiarni Miss Shirley w Baltimore i kąpielach przy wodospadach Kilgore. Gwendy oczywiście poproszono, żeby napisała *Moją piątkę* o Maine. Nawet cieszyła się z tego, kiedy usiadła w małym gabinecie w swoim waszyngtońskim domu. Powrót do rodzinnego stanu zawsze sprawiał jej przyjemność, nawet jeśli odbywała podróż tylko w wyobraźni.

Napisała o Grzmiącej Dziurze w Bar Harbor, Maine Discovery Museum w Bangor, latarni morskiej na przylądku Pemaquid oraz Muzeum Sztuki Farnsworth. Potem zrobiła przerwę, bo uznała, że na koniec powinna dodać coś zabawnego. Siedziała, stukając się w nos gumką od ołówka – nawyk pochodzący z dzieciństwa – aż ją olśniło: oczywiście Simones’!

Wrzuciła ołówek do słoika i wystukała:

*Mój piąty faworyt znajduje się w Lewiston, jakieś trzydzieści kilometrów od mojego rodzinnego miasta Castle Rock. Skręćcie w prawo z Lisbon Street w Chestnut, znajdźcie miejsce do parkowania (powodzenia!) i wstąpcie do*

*Simones'. To tylko mała restauracja w szeregu domów, ale zapach jest niebiański. Specjalność zakładu to korbowody...*

W tym miejscu przerwała i zagapiła się na ekran. Korbowody? W restauracji? O czym ona myślała?

Nie myślałam, odpowiedziała sobie. Jechałam na autopilocie i miałam chwilowe zaćmienie, to wszystko.

Tylko że to nie było chwilowe zaćmienie, to była Blokada Umysłu, która ostatnio często jej się zdarzała: chodziła po domu, szukając kluczyków do samochodu, które trzymała w ręce, postanawiała zjeść na lunch mrożone danie i przyłapywała się na szukaniu lodówki w salonie, kilkakrotnie budziła się z drzemki, chociaż nie pamiętała, żeby się kładła. A kiedy opuściła kilka zebrań komisji oraz jedno głosowanie (na szczęście mało ważne), coraz bardziej zaczęła polegać na swojej asystentce Annmarie Briggs; teraz to ona musiała zajmować się tym, z czym wcześniej Gwendy radziła sobie sama: pilnowaniem jej rozkładu zajęć. Żeby zapomnieć o głosowaniu! – powiedziałyby dawna Gwendy. Nigdy w życiu!

A teraz to gapiące się na nią z ekranu laptopa: *Specjalnością zakładu są korbowody.*

Skasowała zdanie i napisała: *Nigdy nie jedliście lepszego burmistrza.*

Popatrzyła na to i przyłożyła rękę do czoła. Wydawało się rozpalone. Rozpalone i obce. Przed miesiącem, kiedy spędzała weekend w Castle Rock, wsiadła do samochodu z określonym celem i znalazła się w Rumford Rock 'N Bowl, nie mając pojęcia, po co tam przyjechała. Powiedziała sobie: „Co tam, piękny dzień na przejażdżkę” i zbyła to śmiechem.

Teraz się nie śmiała.

Jaka naprawdę była specjalność restauracji Simones'? W jej myślach zawirowała przerażająca spirala słów: katgut, laleczka, воск, biret.

Biret, to jest to! Wpisała słowo, ale nie wyglądało dobrze.

Annmarie wsunęła głowę do jej gabinetu.

– Idę do Starbucksa, pani senator... przynieść coś?

– Nie, ale utknęłam w jednym miejscu. Jak się nazywają te rzeczy, które jesz?

Asystentka zmarszczyła brwi.

– Może bardziej konkretnie, szefowo.

– Podają je w takim chlebowym czymś. – Gwendy gestykulowała zamasyżycie. – Czerwone i smaczne. Jada się je z meczupem na piknikach i tak dalej. Nie pamiętam tego słowa.

Kąciki ust Annmarie uniosły się, w policzkach pojawiły się dołeczki, jakby czekała na puentę dowcipu.

– Hm... hot dogi?

– Hot dogi! – wykrzyknęła Gwendy i wzniosła pięść w powietrze. – Racja, racja, oczywiście, oczywiście!

Uśmiech rodzący się na twarzy Annmarie zgasł.

– Pani senator? Gwendy? Dobrze się pani czuje?

– Tak – zapewniła Gwendy, chociaż wcale nie czuła się dobrze. – Chciałam powiedzieć oczywiście, nie oczyliście. Przynieś mi czarną kawę bez cukru i mleka, dobrze?

– Jasne. – Zanim Annamarie wyszła, obejrzała się z podejrzliwą miną.

Kiedy Gwendy została sama, spojrzała na ekran. Słowo, które podpowiedziała jej Annmarie, zniknęło, prześliznęło się przez palce niczym zwinna mała rybka. Gwendy nie chciała już pisać tego przekłętą artykułu. I nie chciała powiedzieć „oczyliście”, tylko „oczywiście”.

– Oczywiście, oczywiście, oczywiście, oczywiście – mamrotała przez chwilę, a potem zaczęła płakać. – Dobry Boże, co jest ze mną nie tak?

Wiedziała, oczywiście, że wiedziała. Wiedziała już, kiedy to się zaczęło: po tym, jak nacisnęła czerwony guzik, żeby zademonstrować Charlotte Morgan, jak niebezpieczne jest pudełko z guzikami i jak ważne jest, żeby utrzymały to w całkowitym sekrecie, dopóki nie będzie można go wyrzucić na ostateczne śmietnisko.

Ale Charlotte nie mogła się o tym dowiedzieć.

Ani nikt inny.

## DZIEŃ 2 W MANY FLAGS.

Członkowie załogi zajęli się swoją pracą, z wyjątkiem Garetha Winstona, który nie miał nic do roboty. W Many Flags jest wiele cudownych rzeczy do obejrzenia, jednak z tego, co Gwendy wie, miliarder spędził większość dnia w swoim apartamencie. Niczym Achilles ponuro dumający w namiocie, myśli Gwendy. Może tak to określić, ponieważ sama spędziła sporo czasu na ponurym dumaniu, odkąd doktor Glen zadał pytanie. Czy raczej cisnął jej w twarz.

W przeciwieństwie do Garetha Gwendy ma mnóstwo zajęć. Odbyła krótką wycieczkę do obserwatorium pogody, sprawdziła zgromadzony tam sprzęt i gapiła się na Ziemię w dole; patrzyła, jak ciemność gładko nasuwa się na Amerykę Północną i Południową (guziki niebieski i fioletowy na pudełku z guzikami). Uczestniczyła w zebraniu komisji Health and Human Services w trybie telekonferencji. Rozmawiała o znaczeniu eksploracji kosmosu z pięcioklasistami z Boise, którzy wygrali tę wideokonferencję w jakichś zawodach (a może to była loteria). Sądzi, że wszystko poszło dobrze, ale za cholerę nie ma już pewności. Połknęła dwa tylenole na ból głowy od stresu, ale wie, że będzie potrzebowała czegoś więcej niż paracetamol, żeby przebrnąć przez to, co ją czeka teraz.

Chyba wszyscy wiedzieli albo podejrzewali. Wszyscy na pokładzie.

Co wiedzieli? Co podejrzewali? No, że senator Gwendolyn Peterson jest stuknięta. Że brakuje jej piątej klepki. Pomieszało jej się w głowie. Ma nierówno pod sufitem. A ponieważ lecą ponad czterysta kilometrów nad Ziemią z senator USA kierującą jakąś tajną misją o najwyższym priorytecie, Kathy i doktor Glen urządzili konfrontację. Nie wiedzieli, co jest w stalowej kasetce, ale wiedzieli, że Gwendy ma zaplanowany spacer w kosmosie w Dniu 7, a kiedy wyjdzie na

zewnątrz, będzie miała do dyspozycji małą raketę, długą na metr osiemdziesiąt i o średnicy metr dwadzieścia. Właściwie nie więcej niż dron, ale napędzany silniczkiem atomowym, z którym będzie leciał przed siebie przez jakieś dwieście lat. A potem będzie leciał dalej przez wieczność dzięki czystej inercji.

Ta elektrownia atomowa, chociaż wielkości lokomotywy w kolejce dla dzieci, jest potężna. Jeśli operator – Gwendy – coś spieprzy w sekwencji zapłonu podczas wyjścia na zewnątrz, silnik może wybić dziurę w stacji MF albo ją zdestabilizować i posłać w głęboki kosmos lub w ziemską atmosferę, gdzie stacja spłonie. Ale Gwendy już tego nie zobaczy, ponieważ zostanie spopielona w ciągu pierwszych dwóch sekund.

Kathy starała się być możliwie delikatna.

– Źle bym się czuła, gdybym cię tam wysłała, nawet w towarzystwie, jeśli cierpisz na jakiś niedowład umysłowy.

Doktor Glen mówił bardziej otwarcie i Gwendy szanowała go za to.

– Pani senator, czy pani podejrzewa u siebie pierwsze stadium choroby Alzheimera? Przykro mi o to pytać, ale w tych okolicznościach jestem do tego zmuszony.

Wiedziała, że może do tego dojść, i opracowała swoją legendę razem z doktorem Ambrose'em, który bardzo niechętnie zgodził się jej pomóc. Oboje rozumieli, że najlepsze kłamstwo to takie, które zawiera jak najwięcej prawdy. Gwendy powiedziała więc Kathy i Glenowi, że powierzono jej coś o największym znaczeniu dla całego świata, że od dwóch lat żyje w cholernym stresie, nie może spać i dlatego czasami zapomina różne rzeczy. Kathy chętnie przyznała, że przez dziewięćdziesiąt pięć procent czasu Gwendy radziła sobie wystarczająco dobrze albo powyżej przeciętnej.

– Ale jesteśmy w kosmosie – dodała. – Zawsze może się stać coś złego. Nie mówimy o tym w piarowych tekstach, ale wszyscy to wiedzą. Nawet Gareth to wie i dlatego jest przygotowany, żeby wykonać pewne zadania w sytuacji awaryjnej. Dziewięćdziesiąt pięć procent to za mało. Musi być sto.

– Nic mi nie jest – protestuje Gwendy. – Jestem zwarta i gotowa.

– Więc zgodzi się pani na test? – pyta doktor Glen. – Dla naszego spokoju ducha, zanim wyślemy panią w kosmos z czymś ważnym, o czym nic nie wiemy, i potężnym atomowym urządzeniem, o którym wiemy wszystko.

– No dobrze, zgoda – mówi Gwendy. Bo właściwie co innego może powiedzieć? Odkąd Richard Farris pojawił się po raz trzeci, czuje się jak szczur w coraz ciasniejszym labiryncie, takim bez wyjścia. To misja samobójcza, powiedziała mu tamtej nocy na werandzie, i pan o tym wie.

Test wyznaczono na siedemnastą, a teraz jest szesnasta czterdzieści. Czas się przygotować.

Co znaczy, że czas wyjąć z sejfów pudełko z guzikami.

PODCZAS SWOJEJ KADENCJI W IZBIE Reprezentantów Gwendy nawiązała cenne znajomości. Jako członek Senatu miała jeszcze cenniejsze i nigdy nie potrzebowała ich bardziej niż po ostatniej Blokadzie Mózgu. *Specjalność zakładu to korbowody!* Na litość boską. Pomyślała, żeby zadzwonić do Charlotte Morgan, ale z miejsca odrzuciła ten pomysł. W końcu Charlotte była szpiegiem. Mogła uznać, że zostawienie pudełka pod jej opieką to za duże ryzyko. Gwendy wiedziała, że przekazanie pudełka komukolwiek innemu byłoby jeszcze bardziej ryzykowne.

Po namyśle zadzwoniła do jednego z nowych przyjaciół: Mike'a DeWine'a z NSA. Powiedziała mu, że potrzebuje wizyty u psychiatry, który jest absolutnie godny zaufania. Zapytała, czy Mike zna taką osobę, wiedząc, że na pewno zna; NSA czujnie wypatrywało wszelkich oznak zaburzeń umysłowych u swoich pracowników. Nie wolno dopuścić do wyjawienia tajemnic państwowych.

– Coś nie bardzo z głową, pani senator? – zagadnął przyjaźnie Mike.

Roześmiała się wesoło, jakby nie tego właśnie się obawiała.

– Nie, na razie nie brakuje mi żadnej klepki. Biorę udział w inspekcji NDS... tylko dla twoich uszu, Mike... i mam kilka bardzo delikatnych pytań.

NDS to skrót od National Defense System – Narodowy System Obrony – i Mike'owi to wystarczyło. Nikt nie chce, żeby arsenałem nuklearnym kierowali niestabilni psychicznie ludzie.

– Czy jest jakiś problem, o którym powinienem wiedzieć?

– Nie w tej chwili. To tylko działanie profilaktyczne.

– Dobrze wiedzieć. Jest jeden facet... Zaczekaj chwilę, nazwisko mi umknęło...



Witamy w klubie, pomyślała Gwendy i nie mogła powstrzymać uśmiechu. Czasem bywa zabawnie, jak komuś odwała. Chyba że w grę wchodzi pudełko, które może zniszczyć świat.

– Okay, już mam. Norman Ambrose to nasz czołowy psychiatra. Przyjmuje na Michigan Avenue.

Gwendy zapisała adres oraz numer do gabinetu Ambrose'a i numer jego prywatnej komórki. Dzięki Bogu za informacje z NSA, pomyślała.

– Pewnie nie ma wolnych terminów do dwudziestego trzeciego wieku, ale ty pewnie przeskoczysz kolejkę. Jako senator Stanów Zjednoczonych i w ogóle.

Udało jej się przeskoczyć kolejkę i już następnego popołudnia siedziała w gabinecie doktora Ambrose'a. Po wysłuchaniu jego wielokrotnych zapewnień o całkowitej dyskrecji nabrała powietrza w płuca i wyznała, że obawia się, że cierpi na wczesne stadium alzheimera albo demencję. Uprzedziła go, że jeśli tak jest, nikt nie może się o tym dowiedzieć, dopóki ona nie wykona pewnego zadania o wysokim priorytecie.

– Jak wysokim? – zapytał Ambrose.

– Najwyższym, ale tylko tyle mogę powiedzieć. Może minąć rok, zanim będę mogła zrobić to, co muszę. Bardziej prawdopodobnie dwa lata. Może nawet trzy, ale mam nadzieję, że nie.

– Czy mogę założyć, że gdyby pewni ludzie dowiedzieli się o pani stanie... jeśli rzeczywiście występuje taki stan... odebraliby pani to zadanie?

Gwendy uśmiechnęła się niewesoło.

– Nie można do tego dopuścić. Gdyby ktoś spróbował, doszłoby do katastrofy.

– Pani senator...

– Gwendy, proszę. Tutaj jestem Gwendy.

– No dobrze, Gwendy. Czy w twojej rodzinie były przypadki alzheimera albo demencji?

– Właściwie nie. Moja ciotka Felicia zdziecinniała na starość, ale miała grubo ponad dziewięćdziesiątkę.

– Hm, dobrze. I niedawno straciłaś męża?

– Tak.

– Bardzo ci współczuję. Na dodatek masz nowe obowiązki związane ze stanowiskiem senatora. Może po prostu jesteś zestresowana.

– Nie ma badania krwi na alzheimera, prawda?

– Niestety, nie. Jedyne sposoby, żeby potwierdzić diagnozę... oprócz obserwowania stałej deterioracji władz umysłowych pacjenta... to autopsja po śmierci. Istnieje jednak test pisemny, który jest dobrą wskazówką.

– Powinam zrobić ten test.

– To chyba dobry pomysł. A tymczasem czy mogę zasugerować praktyczny sposób radzenia sobie z tymi Blokadami Mózgu, jak je nazywasz?

– Boże, tak! Robiłabym lewatywę trzy razy dziennie, gdyby to pomogło!

Doktor Ambrose się uśmiechnął.

– Niepotrzebna jest lewatywa, tylko proces skojarzeń i właściwie sama już do tego doszłaś. – Przewrócił kartkę trzymanego na kolanach żółtego bloku i przejrzał notatki, które zrobił, słuchając jej relacji. – Kiedy pisałaś o tej małej restauracji, Simones', stwierdziłaś, że nie potrafisz sobie przypomnieć pewnego słowa. Pamiętasz je teraz?

PARK  
FUN  
AMUSEMENT PARK  
RIDES

FERRIS

FARRIS!



– Jasne. Hot dogi.

– Ale napisałaś...?

– Korbowody. – Gwendy poczuła, że się czerwieni.

– Wiedziałaś, że to błąd, więc spróbowałaś jeszcze raz. Pamiętasz swoją drugą wersję?

Miała dobry dzień, ani śladu umysłowego zaćmienia, i od razu sobie przypomniała.

– Burmistrz. – Zaczerwieniła się jeszcze mocniej. – Napisałam: *Nigdy nie jedliście lepszego burmistrza*. Głupio, nie?

– Nie sądzę. – Ambrose nachylił się do przodu. – Co zwykle towarzyszy hot dogom na pikniku albo grillu?

Natychmiast zrozumiała.

– Hamburgery!

– Sądzę, że twój umysł próbował stworzyć łańcuch skojarzeń, który doprowadziłby cię do szukanego słowa. Korbowody to proste cylindry. Podobnie jak hot dogi. Burmistrz to jeden krok bliżej. Uważam, że gdybyś oderwała wzrok od ekranu z tekstem i odprężyła się, znalazłabyś to słowo.

– Czy mogę się nauczyć to robić?

– Tak – odparł bez wahania. – Tę umiejętność można opanować. Powiedz mi, czy masz w domu jakieś zwierzęta?

– Nie. Mój ojciec ma nieznośną jamniczkę.

– A jak się nazywa ta nieznośna jamniczka?

Gwendy otworzyła usta, ale nie wydała żadnego dźwięku.

– Kurwa, nie pamiętam – rzuciła po chwili. – Przepraszam, wymknęło mi się. To jest... wkurzające.

Ambrose uśmiechnął się.

– Nic nie szkodzi. Czy możesz dojść do tego drogą skojarzeń? Popatrz na sufit. Przetaw umysł na jałowy bieg. Tego procesu uczymy pacjentów we wczesnych stadiach alzheimera, ale również ofiary udaru. Nie naciskaj. Nie szukaj. Twój

umysł wie, czego chcesz, ale musi dojść do tego okreśną drogą, a określone drogi wymagają czasu.

Gwendy spojrzała na sufit. Pomyślała o uśmiechu ojca, takim ciepłym i życzliwym... Pomyślała o brązowym swetrze, który zawsze nosił, kiedy się ochłodziło... o tym, jak oglądała musicale w telewizji z nim i mamą, bo je uwielbiali i śpiewali razem z aktorami... Ona śpiewała razem z nimi... Jej ulubionym był *West Side Story*, ale ojciec wolał ten z Benem Vereenem. Ten...

– Jamniczka nazywa się Pippa. Tato ją nazwał po swoim ulubionym musicalu, *Pippin*.

Ambrose kiwnął głową.

– Widzisz, jak to działa?

Zaczęła płakać, co wcale nie wprawiło go w zmieszanie. Po prostu podał jej pudełko chusteczek. Przypuszczała, że łyzy w jego gabinecie to nic niezwykłego.

– Czy ta metoda zawsze będzie działać?

Lekarz wyszczerzył zęby i nagle wyglądał chłopięco.

– A jest coś takiego, co zawsze działa?

Gwendy zaśmiała się niepewnie.

– Chyba nie.

– W zależności od tego, jak wypadnie twój test... zrobimy go dzisiaj, ponieważ najwyraźniej jesteś w trudnej sytuacji... mogę przepisać pigułki, które spowolnią postępy choroby. Która, muszę to podkreślić, jeszcze nie jest zdiagnozowana. Na tym etapie bardziej prawdopodobny wydaje mi się zwykły stres.

Może jesteś świetnym psychiatrą, ale marny z ciebie kłamca, pomyślała Gwendy. Widywałeś już te wszystkie objawy. To nie jest dla ciebie nic nowego.

– Jakie pigułki?

– Najlepiej sprawdza się donepezil. Rywastygmina czasami pomaga we wczesnych stadiach. Ale trzeba zachować właściwą kolejność. Najpierw zobaczymy, jak sobie poradzisz na teście Mini-Cog. Wróć o siedemnastej, jeśli masz czas.

- Mam. – Gwendy zarezerwowała cały ten dzień dla doktora Ambrose’a.
- Tymczasem zjedz coś i napij się czegoś z kofeiną. Kawa, cola, nawet napój energetyczny.
- Dziękuję, doktorze.
- Bardzo proszę, pani senator.
- Gwendy, pamięta pan?
- Tak, Gwendy. Zakładam, że nie możesz mi niczego powiedzieć o tym ważnym zadaniu?

Spojrzała na niego wzrokiem pozbawionym wyrazu – wzrokiem senator Gwendy Peterson.

- Nie chce pan wiedzieć, doktorze. Proszę mi wierzyć.

Założyła ciemne okulary, owinęła głowę szalem i wymknęła się do najbliższego Burger Kinga (Burmistrza Kinga, pomyślała z uśmiechem). Zamówiła whoppera z serem, podwójne frytki i dużą colę; siorbała ją, aż słomka skrobnęła o dno kubka. Po pierwszym kęsie whoppera uświadomiła sobie, że umiera z głodu. Przypuszczała, że ulga pobudza apetyt. I oczywiście zwierzenie się z kłopotów. Teraz miała strategię do walki z Blokadami Mózgu i liczyła, że Ambrose ma rację i to tylko stres. Test – Mini-Cog, jak nazwał go psychiatra – mógł to potwierdzić.

Roześmiała się, kiedy lekarz zaczął zadawać pytania, ponieważ przypomniały jej egzamin, którego zaliczeniem przechwalał się Donald Trump. Bułka z masłem, pomyślała... ale zanim skończyli, już nie było jej do śmiechu. Ani Ambrose’owi.

Prawidłowo odpowiedziała na pytanie o porę roku (wiosna) i datę, ale nie potrafiła sobie od razu przypomnieć, który to miesiąc. Była pewna, że mogłaby zastosować metodę skojarzeń Ambrose’a i znaleźć odpowiedź, gdyby dał jej czas, ale nie dał. Jeszcze gorzej poszło jej z odliczaniem wstecz od stu do siedemdziesięciu. Dotarła do dziewięćdziesięciu trzech, potem palnęła „osiemdziesiąt pięć”, raczej na wycucie. Pięć minut później bezbłędnie przeliterowała od tyłu „jabłko”, „stół” i „grosz”, ale za nic nie mogła przeliterować słowa „świat”. Wiele rzeczy zrobiła prawidłowo – skopiowała rysunek, złożyła

kartkę papieru na trzy – ale popełniała też stresujące i niewytłumaczalne (przynajmniej dla niej) błędy. Na przykład kiedy Ambrose poprosił ją, żeby narysowała tarczę zegara, naszkicowała prostokąt z łukiem, jak z uśmiechem. Pokazała mu to i powiedziała:

– To chyba błąd.

Zrobiła tyle błędów!

A przed sobą miała czekanie na wyprawę w kosmos, bez konkretnej wyznaczonej daty, tyle dni do pokonania.

Ale musi spróbować!

A TERAZ PRZYSZEDŁ CZAS, ŻEBY to zrobić.

Gwendy pociąga za dźwigienkę wydającą czekoladki. Wyłania się motylek z idealnie ukształtowanymi maleńkimi skrzydełkami. Gwendy nie traci czasu na podziwianie figurki, tylko wrzuca ją do ust. Ciepło rozpływa się po jej ciele i rozjaśnia umysł. Potem, po raz pierwszy w jej długim i skomplikowanym związku z pudełkiem z guzikami, ponownie pociąga za dźwigienkę. Przez chwilę nic się nie dzieje i Gwendy obawia się odmowy, w końcu jednak wysuwa się następna czekoladka. Gwendy nawet jej nie ogląda, tylko wrzuca do ust. Świat wdziera się we wszystkie jej zmysły. Ta jaskrawość jest bolesna, ale jednocześnie cudowna. Gwendy widzi każdy słój w mahoniowej powierzchni pudełka. Słyszy każde skrzypnięcie stacji MF odbywającej nieskończoną podróż przez kosmos. Nie słyszy Chińczyków w ich szprysze, ale wyczuwa ich obecność. Jedni jedzą, inni w coś grają. Pewnie w madżonga.

Bierze głęboki oddech i czuje, jak powietrze napełnia jej płuca i natlenia krew. Pukanie do drzwi wysyła fale wibracji przez pokój. Mają kształt V, myśli Gwendy. Jak klucz ptaków odlatujących na południe na zimę.

– Gwendy? – pyta Kathy. – Jesteś gotowa?

– Chwileczkę!

Gwendy chowa pudełko z guzikami do worka, wkłada go do stalowej kasetki i wsuwa do sejfu ściennego w szafie, ukrytego za jej zapasowym kombinezonem ciśnieniowym. Naciska guzik ZAMKNIJ i słyszy, jak zamek zaskakuje. Sprawdza, czy ma notes w kieszeni kombinezonu, potem zamyka szafę, idzie-skacze do drzwi i otwiera je.

– Gotowa – mówi.



W SZPRYSZE 1 JEST MAŁA SALKA konferencyjna, obok sterowni. Przy sprawdzaniu zdolności umysłowych Gwendy asystują Kathy Lundgren, doktor Glen i Sam Drinkwater. Sam nie wie, że Gwendy wypełnia specjalną misję o wysokim priorytecie (chyba że Kathy mu powiedziała), ale wyznaczono go na jej towarzysza podczas spaceru w kosmosie w Dniu 7, więc chyba ma prawo tu być. W końcu to na niego spadnie odpowiedzialność, jeśli ona straci orientację i zacznie świrować, kiedy będą połączeni linią.

Doktor Glen odchrząkuje.

– Gwendy... pani senator... chyba pani rozumie, że musimy...

– ...podjąć wszelkie środki ostrożności – wpada mu w słowo Gwendy. Wie, że zachowuje się niecierpliwie. Bo jest zniecierpliwiona. Nie, to coś więcej. Jest zła. Nie tyle na nich, ile na sam fakt, że musi tu być i dźwigać taką straszliwą odpowiedzialność. – Rozumiem. Przejdźmy do rzeczy. Muszę napisać e-maile i zestawić informacje pogodowe.

Wymieniają spojrzenia. To nie jest ta uśmiechnięta, życzliwa kobieta, do której przywykli.

– Eee... dobrze – mówi doktor Glen. Uruchamia swój tablet, po czym wyjmuje kopertę z kieszeni na piersi swojego kombinezonu. – To nie potrwa długo, najwyżej godzinę. Zadam parę pytań i poproszę o wykonanie kilku zadań. Proszę się odprężyć i postarać się wypaść jak najlepiej. Na początek...

Otwiera kopertę. W środku jest osiem metalowych sześciątów. Kładzie je na środku stołu, na namagnesowanym prostokącie. Na sześciątach wypisano markerem słowa. Obraca je tak, żeby Gwendy mogła je odczytać.

*chodzić pada kiedy na lubię spacer nie*

– Czy możesz ułożyć je tak, żeby tworzyły zdanie?

Gwendy bez wahania przesuwa słowa na magnetycznym prostokącie. Odwraca je do trzech członków załogi – moich sędziów, myśli z urazą – po drugiej stronie stołu.

– Sprytnie, że nie ma dużych liter – mówi. – Przez to jest trochę trudniej. Pewnie specjalnie.

Patrzą, jak ułożyła słowa.

– Hm – odzywa się Sam. – Owszem, to jest zdanie, ale ja bym takiego nie ułożył.

– Jeśli do tego testu jest instrukcja, to pewnie ludzie, którzy ją napisali, nie spodziewaliby się tego. Co jest trochę głupie, jeśli mogę sobie pozwolić na tę uwagę. Spodziewaliście się wersji *Nie lubię chodzić na spacer, kiedy pada*, prawda?

Sam i doktor kiwają głowami. Kathy tylko na nią patrzy z lekkim uśmiechem. Może z podziwem, prawdopodobnie, ale Gwendy to nie obchodzi. Przeprowadzili ją tutaj jak laboratoryjnego szczura i spodziewają się, że odegra swoją rolę: naciśnie dźwignię i dostanie kawałek sera. I tak robi. Bo musi, ale czy to nie świństwo?

Jej zdanie brzmi: *Lubię chodzić na spacer, kiedy nie pada*.

– *Nie lubię chodzić na spacer, kiedy pada* to najprostsze rozwiązanie – mówi Gwendy. – Ale proste nie zawsze jest najlepsze. Są dwie możliwości i obie znaczą prawie to samo, ale nie całkiem. Z mojego zdania wynika, że lubię spacerować. – Rzuca im twardy uśmiech bez śladu wesołości. – Jakieś pytania?

Nie ma żadnych i chociaż musi jeszcze odpowiedzieć na różne pytania i wykonać polecenia, test jest praktycznie zakończony po jej małej lekcji składni. Gwendy kończy całość w dziewiętnaście minut i wstaje, przytrzymując się krawędzi stołu, żeby nie wzlecieć nad podłogę.

– Jesteście zadowoleni?

Spoglądają na nią ze skrepowaniem. Po krótkiej chwili milczenia Kathy mówi:

– Jesteś zła. Rozumiem to i przepraszam, ale znajdujemy się w środowisku, gdzie nie ma miejsca na błąd. I kiedy mówię, że bardzo nas uspokoiłaś, to chyba wyrażam również zdanie Sama i doktora.

– Mnie całkowicie uspokoiłaś – zapewnia Sam. – Bez wahania włożę kombinezon i wyjdę z tobą na zewnątrz.

– Owszem, jestem zła – przyznaje Gwendy. – Tylko że nie na was. Wasz zawód jest trudny, ale mój też. Różnica polega na tym, że mój jest niewdzięczny. Ten cholerny kraj jest tak spolaryzowany, że czterdzieści procent elektoratu w moim rodzinnym stanie uważa, że jestem głównie warta, nieważne, co zrobię.

Przygląda im się i tak, jest na nich zła, w tej chwili niemal ich nienawidzi, lecz nie powinna tego mówić. Musi jednak jakoś dać upust złości, bo inaczej pęknie. Albo wróci do swojego pokoju i zrobi coś głupiego. Coś, czego nie da się odkręcić.

– Nie macie pojęcia, jak to jest, kiedy na zebraniu w waszym mieście machają do was z końca sali transparentem DZIWKI KOMUCHÓW. Na dodatek mój mąż nie żyje, połowa mojego pieprzonego domu się spaliła i musiałam tu przyjść, żebyście sprawdzili, czy nie potrzebuję pampersów i śliniaczka.

– To trochę za mocne – zauważa łagodnie Kathy.

– Tak, pewnie tak. – Gwendy wzdycha, myśląc: Chcesz czegoś mocnego? Spróbuj żyć z tym, co trzymam w sejfie. To jest naprawdę mocne. – Mogę już iść? Mam robotę. Wy pewnie też. Przepraszam, że wam napyskowałam. Trochę mi się zebrało.

Doktor Glen wstaje i wyciąga do niej rękę nad stołem.

– Mnie nie musisz przepraszać, Gwendy. – Miło, że zwrócił się do niej po imieniu zamiast „pani senator”. – Może masz grubą skórę, ale w twoim zawodzie to konieczność. Odpocznij. Nie mogę ci dać środków nasennych, ale szklanka ciepłego mleka przed snem powinna pomóc. Albo melatonina. Którą mam na stanie.

– Dzięki. – Gwendy podaje mu rękę. Nie ma żadnych przebłysków, tylko ogólne wrażenie, że on chce dobrze. Rozgląda się i zmusza, żeby powiedzieć: –

Dziękuję wam wszystkim.

Wychodzi i wielkimi, powolnymi susami wraca do swojego apartamentu, na przemian otwierając i zaciskając pięści. Mogłabym rozwiązać ten cały problem za pomocą pudełka z guzikami, myśli. I wiecie co? To byłaby przyjemność.

W pokoju otwiera drzwi szafy, odsuwa na bok zapasowy kombinezon i nieruchomieje. Chce wyjąć pudełko z guzikami – ono chce, żebym je wyjęła, myśli – ale w jej obecnym nastroju guziki na wierzchu pudełka wyglądałyby zbyt kusząco. Musiała zjeść czekoladki, żeby zdać ten cholerny test, teraz jednak czuje ten gniew, tę furję, jak czarne drzwi, przez które nie ośmiela się przejść. Po drugiej stronie czyha coś potwornego.

*Ta przekłeta rzecz... Jakże jej nienawidzę, powiedział Farris. Jakże się jej brzydzę.* Jeśli przedtem tego nie rozumiała, w tej chwili rozumie. Ale on powiedział coś jeszcze, co teraz rozbrzmiewa w jej głowie: *Po prostu tylko tobie mogę zaufać, że zrobisz to, co trzeba.*

Gwendy rozumie, nawet w swoim obecnym stanie, że jeśli teraz wyjmie pudełko z guzikami, prawie na pewno nadużyje tego zaufania. Dał je jej, ponieważ jest silna, ale są granice jej siły.

Skoro tak się czuję, muszę się skupić na czymś innym i utrzymać to skupienie, dopóki nie ustąpi działanie czekoladek. Ale na czym?

Ma jasny umysł, więc zaraz znajduje odpowiedź. Doskakuje do biurka i uruchamia iPada. Maile, które wysyła ze swojej senatorskiej skrzynki, są szyfrowane, i to dobrze. Pisz do Norrisa Ridgewicka.

Norris. Napisałeś, że podczas wyprawy do Derry spotkałeś się z „tamtejszymi siłami policyjnymi”. Detektyw kierujący śledztwem w sprawie śmierci Ryana nazywa się Ward Mitchell. Spotkałeś go? A jeśli tak, to czy mu zaufałeś?

Wysyła mail na dół i skacze-chodzi tam i z powrotem po apartamencie (droga tam i z powrotem nie zajmuje wiele czasu), nerwowo ciągnąc za swój kucyk. Nie może usiedzieć spokojnie, nie w tym stanie. Sięga do Garetha Winstona, jak

wcześniej sięgała do Chińczyków. On siedzi przy komputerze. Pisze maila. Gwendy nie widzi go, ale wie, o czym jest. W jej myślach pojawia się słowo, widzi je wyraźnie, chociaż nie wie, co znaczy. To słowo *sombra*.

Norris może odpowie dopiero za godzinę albo więcej, myśli, a mama mawiała, że czekającemu czas się dłuży.

Postanawia się przejść (może nawet pobiegać) po zewnętrznej obwodnicy, cokolwiek, byle wyładować tę dziką i niebezpieczną energię. Wkłada szorty i koszulkę z napisem DNI CASTLE ROCK i właśnie sznuruje tenisówki, kiedy laptop brzęknięciem oznajmia, że dostała mail. Gwendy jednym susem niczym Supergirl przeskakuje przez pokój i siada przed ekranem. Wiadomość jest krótka, rzeczowa i stuprocentowo jankeska.

Cześć, Gwendy,

spotkałem Mitchella, rozmawiałem z nim, ale nie zaufałbym mu nawet za grosz. Wyłąził ze skóry, żeby jak najszybciej mnie spławić. Chcesz, żebym się wybrał do Derry i trochę mocniej go przycisnął? Zrobię to z przyjemnością.

Norris

Rozważa ten pomysł, ale tylko przelotnie. Norris nie nadaje się do tego zadania. Gwendy wierzy, że przebłysk, którego doświadczyła, dotykając ręki Garetha, pokazywał prawdę. Wierzy, że widziała go w jednym z dwóch starych samochodów tamtego dnia w Derry, kiedy zginął Ryan. Wierzy, że jej mąż mógł zostać zabity, żeby jej kampania wyborcza została zrujnowana. I wierzy, że jej dom się spalił, kiedy pewni ludzie – może jeżdżący idealnie utrzymanymi starymi samochodami – przeszukali go, nie znaleźli pudełka z guzikami i doszli do logicznego wniosku, że zabrała je w kosmos. Jeśli oni – kimkolwiek są – dotarli tak daleko, prawdopodobnie wiedzą, po co je zabrała.

Bez czekoladek rozjaśniających umysł raczej nie uwierzyłaby w ten scenariusz. Nie, myśli, w ogóle nie przyszłoby mi to do głowy. Z tym mózgowym dopalaczem nie ma jednak żadnych wątpliwości. Najmniejszych. Zastanawia się, czy Gareth

zaczął agitować za turystycznymi wycieczkami w kosmos już wtedy, gdy nie zrezygnowała ze współzawodnictwa z Magowanem. Nie, raczej dopiero wtedy, kiedy została wybrana i weszła do Senackiej Komisji Nauk Lotniczych i Kosmicznych.

– Ktoś naprawdę myślał z wyprzedzeniem – mruczy do siebie, zaciskając i rozwierając pięści. Za każdym razem zaciska je tak mocno, że krótkie paznokcie wbijają się w miękkie wnętrza dłoni. – Ktoś naprawdę planował z wyprzedzeniem. – Potem, z niewiadomego powodu, powtarza trzykrotnie: – *Sombra, sombra, sombra*. – Poszuka tego słowa w necie, ale najpierw musi zrobić coś innego, coś znacznie ważniejszego.

Siada i wysyła maila do zastępcy dyrektora CIA, Charlotte Morgan.

Charlotte, mam powody wierzyć, że mój mąż został zamordowany po to, żebym zrezygnowała z kandydowania do Senatu w 2020 roku. Sądzę również, że to ma coś wspólnego z wiadomym przedmiotem. Podejrzewam, że Gareth Winston o nim wie i może znać szyfr otwierający kasetkę, w której znajduje się ten przedmiot. Jak do tego doszło, to długa historia na inną okazję. Ciebie proszę o coś, co nazywa się „czarną robotą”, i trzeba to zrobić natychmiast. Detektyw z policji w Derry, który podobno badał sprawę śmierci Ryana, nazywa się Ward Mitchell. Uważam, że wie więcej, niż mówi. Mój przyjaciel Norris Ridgewick (były szeryf, cholernie bystry) zgadza się ze mną. Chciałabym, żebyś wysłała zespół, który zgarnie detektywa Mitchella, zamknie go i z zastosowaniem wszelkich środków nakłoni do mówienia. Uważam, że ktoś próbuje mnie powstrzymać, zanim zdążę się pozbyć wiadomego przedmiotu, i może (prawdopodobnie!) chce go przejąć. Uważam, że ten ktoś to Gareth Winston, a jeśli on zna szyfr do kasetki, to jedyną przeszkodą dla niego będzie elektroniczny sejf ścienny Mesa. To prosty sejf, taki, jakie są w hotelach, i nawet trzeciorzędny włamywacz potrafi go otworzyć. Znasz stawkę (pamiętasz piramidę?). Zdaję sobie sprawę, że mój główny podejrzany jest bajecznie bogatym człowiekiem, ale to niekoniecznie on jest szefem. Ktokolwiek nim jest, planuje na całe lata naprzód i to mnie przeraża. Nawet nie dopuszczaj możliwości, że jestem

paranoiczką. Zgarnij Warda Mitchella i naciskaj go, aż puści farbę. Zawiadom mnie jak najszybciej.

Gwendy

Po chwili dopisuje PS: Czy słowo *sombra* coś dla Ciebie znaczy?

Sama może to sprawdzić, ale teraz, kiedy już wysłała te dwa ważne maile, przyłapuje się na tym, że znowu zerka na szafę i myśli o pudełku z guzikami. Zastanawia się, czy mogłaby skoncentrować się na ataku serca u Garetha Winstona i wywołać go, naciskając czerwony guzik. Zastanawiasz się, Gwendolyn? I to wszystko? Parska niewesołym śmiechem. Nie ma się co zastanawiać, wie, że mogłaby to zrobić. Tylko że istnieje ryzyko dodatkowych zniszczeń. A gdyby doszło do zwarcia w sieci elektrycznej stacji? Albo gdyby pękły przewody wentylacyjne?

Otrząsa się z tych myśli i uświadamia sobie, że nie siedzi już przy biurku. Nie, stoi przed szafą. Otworzyła ją, odsunęła na bok zapasowy kombinezon i wyciąga rękę do klawiatury sejfu. Nacisnęła już nawet pierwszą cyfrę z prościutkiej czterocyfrowej kombinacji. Zakrywa dłonią usta. Drugą ręką wciska klawisz SKASUJ i zamyka drzwi szafy.

Postanawia, że jednak pójdzie pobiegać.

W POŁOWIE OBWODNICZY GWENDY SPOTYKA dwie Chinki w dresach, wyposażone w AirPods. Spoglądają na nią z zaskoczeniem, ale machają w odpowiedzi na jej gest. Kathy Lundgren nie przesadzała, kiedy się przechwalała, że przebiega kilometr w minutę. W każdym razie jeśli przesadzała, to niewiele. Gwendy nie uprawiała joggingu od ponad dekady, ale teraz niemal frunie. Kiedy wraca do swojego apartamentu w Szprysze 3, koszulkę ma mokrą od potu i ciężko dyszy, ale czuje się bardziej sobą. Wciąż odbiera syreni zew pudełka z guzikami promieniujący z szafy, lecz przyciąganie nie jest już tak silne jak wcześniej. To raczej tęsknota. Bolesna. Jak poczucie braku po śmierci Ryana. To okropne myśleć w tych samych kategoriach o pudełku z guzikami i zmarłym mężu, ale tak jest. Gwendy cieszy się, że znowu czuje się lepiej, wie jednak, że przyjdzie jej za to zapłacić; zaczyna już tracić krystaliczną jasność myśli. Wkrótce znowu otoczy ją mgła, może jeszcze gęstsza.

Na laptopie miga światełko sygnalizujące nadejście maila. Gwendy wprowadza hasło, które zmieni zlepek liter i symboli w słowa (zachwycona, że nie musi zaglądać do małego czerwonego notesu dla przypomnienia). Wiadomość pochodzi od Charlotte i w pełni ją satysfakcjonuje.

Ufam Ci całkowicie. Zespół już jedzie do Derry. Otrzymasz zapis wideo z przesłuchania detektywa Mitchella, miejmy nadzieję, że jutro, w Twoim Dniu 3 na MF. Rozumiem, że na górze martwili się o Twoją sprawność umysłową. Chociaż będę siedzieć jak na szpilkach, dopóki nie wypełnisz misji, to mnie rozśmieszyło. Nie wyobrażam sobie kogoś mniej skłonnego do „świrowania”, jak to mówią.



Jak do tego pasuje Korporacja Sombra? Masz jakiś pomysł? Możesz o niej trochę przeczytać w necie, to jednak głównie spekulacje. My w Firmie wiemy więcej, ale i tak cholernie mało. Trzymają karty przy orderach. Najprawdopodobniej ich łączna wartość przekracza budżet USA i Chin razem wziętych. Trudno w to uwierzyć, ale zapewniano mnie, że prawie na pewno tak jest. Jeśli tak, w porównaniu z nimi firma Winstona, WinMark LTD, to małe miki. Nie wspominając o Amazonie. Więc tak, możliwe, że Gareth Winston pracuje z nimi albo nawet dla nich, jeśli nagroda jest wystarczająco wysoka. Trudno stwierdzić. Powiem tylko: BĄDŹ OSTROŻNA.

C

Gwendy czyta to trzy razy. Musi, ponieważ znaczenie niektórych linijek wydaje się niejasne. Gniew w niej przygasa, jego resztki skupiają się na detektywie Mitchellu z tym lekceważącym uśmieszkiem i pustymi oczami. I przypinką z kampanii Magowana na koszuli, nie zapominaj o tym. Nie, nie zapomniała (przynajmniej na razie). Chce zobaczyć to wideo. Chce zobaczyć Mitchella z dala od jego głównianego miasteczka, w małym dźwiękoszczelnym pokoju, najchętniej w czarnym worku na głowie, który zostanie zerwany, kiedy przykują mu ręce i nogi do stołu. Gwendy przypuszcza, że już tego nie robią w ten sposób; CIA na pewno opracowało koktajle narkotykowe, które zmuszają takich jak Ward Mitchell do całkowitej uległości, ale...

– Ale mogę sobie pomarzyć – mówi cicho.

Zmywa pot pod prysznicem, potem schodzi do obserwatorium pogody. O czwartej po południu czasu Wschodniego Wybrzeża ma wyznaczoną wideokonferencję z National Weather Service. To dopiero za parę godzin, ale chce wyjść ze swojego apartamentu. Przebywanie w pobliżu pudełka z guzikami nie jest bezpieczne, przynajmniej na razie.

### DZIEŃ 3 NA MANY FLAGS.

Gwendy siedzi przy biurku w małym salonie swojego apartamentu, przeglądając stopy podań o fundusze. Myśli, że jedno spojrzenie na te zwały papierzysk przekonałoby do zmiany zdania każdego, kto uważa, że życie senatora Stanów Zjednoczonych jest usłane różami.

Ale tak naprawdę Gwendy czeka jedynie na piśnięcie laptopa, sygnalizujące nadejście maila od Charlotte. Laptop zasygnalizował już kilka przychodzących wiadomości, włącznie z tą od wiceprezydenta z życzeniami powodzenia, lecz od Charlotte nic nie przyszło. Pewnie jest za wcześnie, ale Gwendy nie traci nadziei.

Usiłuje ignorować natarczywy syreni zew pudełka z guzikami. Pudełko jest zamknięte w stalowej kasetce z napisem ŚCIŚLE TAJNE, stalowa kasetka z napisem ŚCISLE TAJNE jest zamknięta w sejfie, a sejf jest zamknięty w szafie, jednak ten zew dochodzi do niej głośno i wyraźnie. Gwendy nie chce nacisnąć guzików równie mocno, jak chce pociągnąć za dźwigenkę wydającą czekoladki. Właściwie ma całkiem dobry dzień, wszystkie obwody pamięci odpalają jak należy, ale tęskni za tą przedziwną i cudowną jasnością umysłu, jakiej doświadczyła poprzedniego dnia, kiedy zdawała test sprawności umysłowej. Jedno czekoladowe zwierzątko (albo dwa) i w okamgnieniu załatwiłaby tę nudną stertę papierów. To lekcja poglądowa, wyjaśniająca, dlaczego narkomani wpadają w nałóg.

Pukanie do drzwi przynosi jej ulgę. Chętnie powitałaby jakieś urozmaicenie, pod warunkiem że to nie Winston. Nie ma ochoty go dzisiaj widzieć. Wolałaby wcale go nie spotykać, dopóki nie wypełni swojego zadania, chociaż wie, że to raczej niemożliwe. Przede wszystkim jadają wspólne posiłki, bo na stacji MF nie ma room service'u.

To nie Gareth. To Reggie, fizyk. Jego nazwisko chwilowo jej umyka, ale Gwendy nie próbuje na siłę, tylko odpręża się i stosuje sztuczkę doktora Ambrose'a z łańcuchem skojarzeń. Najlepszy koncert w życiu, na jakim była? AC/DC w TD Garden w Bostonie. Najlepsza piosenka? *Back in Black*. I trzask, jest.

– Reggie Black, a niech mnie – mówi. – Co mogę dla ciebie zrobić?

Reggie jest po pięćdziesiątce, z kłaczkami siwych włosów fruującymi wokół łysiny. Szczyrzy zęby w uśmiechu.

– Adesh właśnie pokazał mi coś niesamowitego. Chcesz zobaczyć? – Spogląda ponad jej ramieniem na zavalone papierami biurko i jego uśmiech gaśnie. – Chyba jesteś zajęta.

– Przyda mi się przerwa. Wystarczy, że mnie skusisz.

– Uważaj się za skuszoną. To jest po prostu niesamowite.

Prowadzi ją do laboratorium. Adesh rozlokował się w Szprysze 5, gdzie jest dużo przestrzeni. Na podstawie oznakowań Gwendy dedukuje, że ostatnio korzystała z tej szprychy francuska ekipa. Na drzwiach laboratorium wisi tabliczka: ADESH „ROBAL” PATEL, PUKAĆ PRZED WEJŚCIEM.

Reggie puka.

– Można wejść?

– Chodź, chodź. – Adesh otwiera drzwi, uprzedzając Reggiego. Widzi Gwendy i uśmiecha się. – Ach, szanowna pani senator! Witamy w Entomologicznej Krainie Cudów!

Wchodzą do środka. Gwendy widzi szereg pleksiglasowych pojemników, w niektórych żuki, w innych pająki. Włącznie z tarantulą Olivią. Fuj, myśli. Koniec pomieszczenia oddziela sięgająca od podłogi do sufitu ściana z pleksi, tworząca jakby dużą klatkę, w której znajdują się mniejsze.

– Pokaż jej tę sztuczkę z Borisem – mówi Reggie Black, po czym zwraca się do Gwendy: – Naprawdę mózg się lasuje.

Adesh grozi mu palcem jak nauczyciel w szkole.

– To nie żadna sztuczka, Reginaldzie. To trening i adaptacja. – Patrzy na Gwendy. – Poza tym uważam muchy za znacznie bardziej interesujące. Zwykle domowe muchy... *Musca domestica*... ale ich zachowanie w niskiej grawitacji jest fascynujące i pouczające.

– Jasne, ale ten skorpion jest super – upiera się Reggie. – Boris to forsa.

Adesh wydaje się zbity z tropu.

– Najlepszy – tłumaczy Gwendy. – Reggie mówi, że Boris jest najlepszy. Albo najbardziej efektowny.

– Och, jest efektowny, jak najbardziej – zgadza się Reggie. – Robał pewnie nagrał to na wideo, ale na żywo jest lepsze. Pod warunkiem że masz dostatecznie dużo *Musca domestica*, stary.

– Much mam całe mnóstwo – zapewnia Adesh. – Karaluchy oszczędzam.

Fuj, myśli znowu Gwendy.

Adesh bierze pilota z namagnesowanego dysku i kieruje go na dużą klatkę. Drzwi jednej z tych małych – najmniejszej, nie większej niż damska kosmetyczka – rozsuwają się i kilka *Musca domestica* wylatuje na zewnątrz. Ale nie na długo. Przystają latać i po prostu wiszą w powietrzu jak na sznurkach. Od czasu do czasu leniwie poruszają maleńkimi skrzydełkami.

– Mój Boże! – woła Gwendy. – Czy one są chore?

– Nie, są, można powiedzieć, w trybie oszczędzania energii – odpowiada entomolog. – Na początku ciągle używały skrzydełek, ale szybko się nauczyły, że właściwie tego nie potrzebują. Ani nie muszą siadać dla odpoczynku. Jeśli można powiedzieć o domowych muchach, że dobrze się bawią, to na pewno dobrze się bawią w niskiej grawitacji.

– Boris, Boris, Boris! – skanduje Reggie.

Adesh wzdycha, ale Gwendy podejrzewa, że tylko na pokaz. On też dobrze się bawi. Gwendy myśli, że nieważne, czy facet jest drwalem, czy naukowcem, każdy lubi się popisywać. Oczywiście kobiety też.

Entomolog naciska następny guzik na pilocie i skorpion Boris wypełza, szcękając szczypcami, z zabójczym żądłem wzniesionym nad grzbietem.

– *Pandinus imperator* – ogłasza Adesh. – Skorpion cesarski. Jego jad rzadko bywa śmiertelny dla ludzi, ale dla jego ofiar...

– Zaczynaj! – krzyczy Reggie. – Hopla, Boris! Dawaj!

Wciąż szcękając szczypcami, Boris płynie w górę i zawisa w powietrzu jak muchy po drugiej stronie klatki.

Adesh woła podniesionym głosem:

– Boris! *Maar!*

Skorpion wykonuje jeden silny zamach ogonem, który rzuca go przez pomieszczenie z szybkością kuli karabinowej. Dwie muchy uciekają, ale Boris chwytą trzecią w kleszcze, miażdży ją i wpycha do swojej dziwacznej paszczy. Gwendy czuje jednocześnie fascynację i odrazę. Rozpęd niesie skorpiona w stronę ściany, ale zanim Boris o nią uderzy, wykonuje przewrót do przodu i posługuje się opancerzonym ogonem, żeby odepchnąć się w przeciwnym kierunku. Zatrzymuje się niemal dokładnie w tym samym miejscu, z którego wyruszył, i znowu wisi w powietrzu, opadając nieznacznie pod wpływem szczątkowego ciężenia.

– Zdumiewające – mówi Gwendy. – Jak go zapędzasz z powrotem do klatki?

– Sam go wkładam – odpowiada Adesh. – Robię to w rękawicy. Nie chcę, żeby mnie użądlił, nawet jeśli to nie jest gorsze od użądlenia pszczoły. Boris daje się tresować, jak widzisz, ale bynajmniej nie jest oswojony. Co to, to nie.

– A *maar*? Co to znaczy?

Entomolog podchodzi do drzwi wielkiej klatki, odwraca się i obdarza Gwendy łagodnym uśmiechem, błyskając jednym złotym zębem.

– Zabij – odpowiada.

KIEDY GWENDY WRACA DO SWOJEJ kwatery, na laptopie miga światełko. Przyszło pięć nowych maili, ale jej zależy tylko na tym od Charlotte Morgan. Odsuwa papiery na bok i otwiera wiadomość.

Gwen, nie przypuszczałam, że może się zrobić jeszcze dziwniej, ale rany, myliłam się! Miałaś rację, że detektyw Mitchell wie więcej, niż mówi. Obejrzyj załączone wideo, a potem przekaż mi dalsze instrukcje. Jest dość długie – jak już zmusiliśmy faceta do mówienia, gęba mu się nie zamykała – ale większość z tego, czego szukasz, zaczyna się około siódmej minuty.

Załączyłam też znacznie krótsze wideo, które pochodzi z iPhone'a naocznego świadka wypadku Ryana (który, jak podejrzewałaś, wcale nie był wypadkiem).

Serce Gwendy zamiera na widok imienia Ryana i znowu narasta w niej gwałtowne pragnienie, żeby pociągnąć za dźwigenkę z boku pudełka z guzikami. Dosłownie czuje smak czekoladki rozplływającej się na języku...

Zły pomysł, mówi sobie i tłumi tę myśl, zanim nią zawładnie. Bardzo zły pomysł. Tylko cztery dni do spaceru w kosmosie. Poradzisz sobie, więc trzymaj się, mała. Wraca do wiadomości od Charlotte.

Trudno na to patrzeć, Gwen, a jeszcze trudniej w to uwierzyć i nie miałabym Ci za złe, gdybyś nacisnęła klawisz DELETE bez otwierania załącznika. Nawet chciałam Ci to zasugerować, ale wiem, że decyzja nie należy do mnie. Ward Mitchell skonfiskował telefon świadka i znaleźliśmy go w zamkniętym sejfie na broń w jego piwnicy, dokładnie tam, gdzie nam powiedział.

Ostatnia rzecz, zanim zostawię Cię z tymi nagraniami, i powtórzę to jeszcze raz: bądź ostrożna, droga przyjaciółko. Wiem, że na pewno czujesz się bardzo samotna tam, na górze, ale zapewniam Cię, że nie jesteś sama. Pozdrawiam serdecznie. Powodzenia.

C

Załączniki wideo pod mailem są zatytułowane MITCHELL i DERRY. Gwendy wie, że powinna najpierw obejrzeć nagranie z przesłuchania Warda Mitchella – w końcu od jego zawartości może zależeć los świata – ale nie potrafi się powstrzymać. Oddychając powoli i regularnie, jak przez lata uczyła się na zajęciach jogi, przesuwa kursor na DERRY i klika. W prawym górnym rogu ekranu otwiera się okno. Gwendy klika na ikonę POWIĘKSZ i ekran wypełnia zadziwiająco wyraźny szerokokątny widok skrzyżowania Witcham i Carter Street.

Po prawej stronie nagrania widać kilka zaniedbanych domów: okiennice zwisają krzywo albo w ogóle ich brakuje, farba obłazi długimi, skręconymi pasmami, trawniki są zarośnięte nawet w połowie grudnia. O balustradę ganku jest oparty stary rower bez tylnej opony.

Po drugiej stronie ulicy, na ukos od domu z rowerem, jest nieczynna stacja benzynowa Phillips 66; pompy dawno zostały usunięte. W szczelinach spękanego chodnika bujnie plenią się chwasty. Na wyblakłej ceglanej fasadzie ktoś wysprejował napis DERRY JEST DO DUPY. Tuż za zabitym deskami biurem widać bramę parku Basseya.

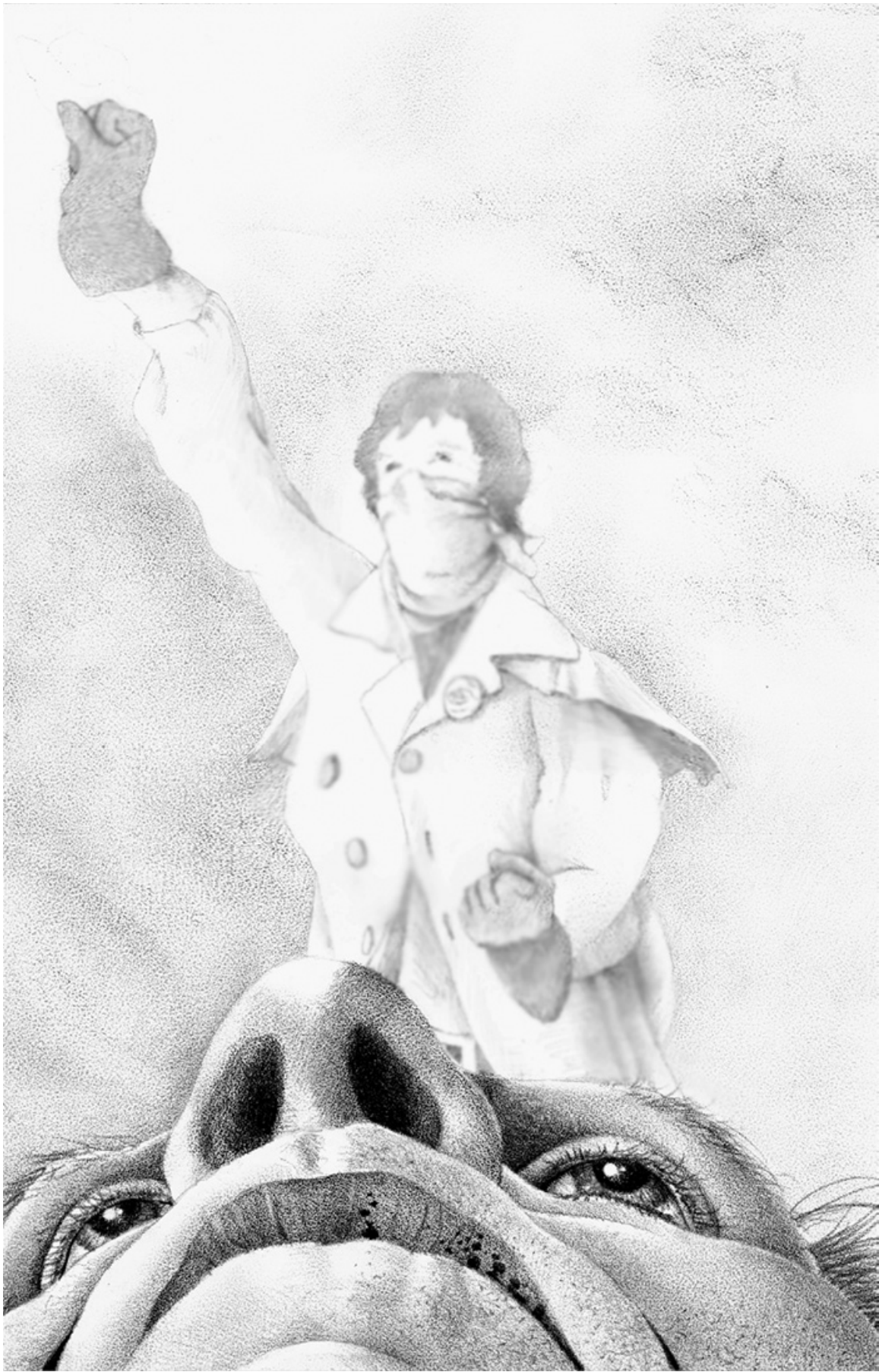
Ktokolwiek to filmował, włączył dźwięk i Gwendy słyszy donośny, wznoszący się i opadający świst zimowego wiatru smagającego dachy domów. Po chodniku toczy się jakiś papier – Gwendy jest prawie pewna, że to opakowanie po hamburgerze z McDonalda – i znika w perspektywie opustoszałej ulicy. Jest w pół do pierwszej po południu w dzień po Święcie Dziękczynienia, ale w okolicy nie widać żywego ducha ani żadnych pojazdów.

A potem się pojawia.

Stary volkswagen garbus, jadący na północ Witcham Street, powoli toczy się przez skrzyżowanie. Kierowca, starszy mężczyzna z niesfornymi kępkami zmierzwionych siwych włosów, w okrągłych okularach lenonkach, rozgląda się, jakby zablądził. I może rzeczywiście zablądził, skoro tak się wlecze. Czarny pick-up z łańcuchami śnieżnymi na oponach dosłownie siedzi mu na zderzaku, na drągu sterczącym z tyłu długiej paki łopocze duża amerykańska flaga. Gwendy słyszy głucho dudnienie basu z samochodowego stereo w pick-upie, chociaż przyciemnione okna są szczelnie zamknięte.

Ma akurat dość czasu, żeby zobaczyć to wszystko i zadać sobie pytanie: „Dlaczego, na litość boską, ktoś to filmuje?”, kiedy na ekranie pojawia się Ryan. Nagle Gwendy nie może oddychać, jakby z pokoju wyssano całe powietrze. Przygryza dolną wargę i nachyla się do laptopa.





Ryan wychodzi z dolnego prawego rogu ekranu i idzie po chodniku tym długim, zdecydowanym krokiem, który Gwendy tak dobrze pamięta. Ma na sobie swoją ulubioną zimową kurtkę – dawny prezent pod choinkę od jej rodziców – i biało-czerwoną czapkę narciarską ze znaczkiem New England Patriots. Co jakiś czas rzuca spojrzenie na mijane domy, ale najwyraźniej skupia uwagę na telefonie komórkowym, który trzyma w ręce. Wpatruje się w ekran, jakby odczytywał stamtąd wskazówki.

Dociera do rogu Witcham i Carter i zatrzymuje się; czubki jego butów od LL Beana wystają znad krawężnika. Rozgląda się w obie strony niczym mały chłopiec, który obiecał mamie, że zawsze będzie ostrożnie przechodził przez ulicę, a potem znowu patrzy na telefon.

I rusza.

Cadillac – w jaskrawym odcieniu purpury, obscenicznie długi i szeroki, z dwiema futrzanymi kostkami do gry z taniego sklepu dyndającymi na lusterku wstecznym – uderza w niego, zanim Ryan dociera do środka jezdni. Gwendy słyszy mięsiste „łup!” zderzenia, a potem jej mąż leci w powietrzu. Odbija się od chodnika i dosłownie podskakuje, nie raz, ale dwa razy, sunie poślizgiem przez skrzyżowanie i zatrzymuje się gwałtownie twarzą w dół po drugiej stronie. Nierówna linia ciemnych plam znaczy jego szlak na jezdni.

Cadillac jedzie dalej, nawet nie błysnąwszy światłami hamowania. Dopiero następnego dnia pod prysznicem Gwendy uświadamia sobie, że w ogóle nie słyszała odgłosu silnika cadillaca. Słyszała przypominający maszynę do szycia warkot volkswagena garbusa, gniewny ryk potężnego V-8 czarnego pick-upa, basowe łomotanie heavy metalu z jego głośników, ale kiedy pojawił się purpurowy cadillac... nic. Jakby nie miał silnika.

To, co pozostało ze zmasakrowanego ciała Ryana, leży w połowie na poboczu Carter Street, połamane nogi rozrzucone pod groteskowymi kątami na wąskim pasie ziemi i trawy, oddzielającym jezdnię od chodnika. Siła zderzenia zerwała mu z głowy czapkę i jeden but razem z wełnianą skarpetką. Buta i skarpetki nigdzie nie widać, ale Gwendy widzi blad różową skórę lewej stopy Ryana, leżącej za ledwie

parę centymetrów od wbitej w zamrażniętą ziemię tablicy z napisem NA SPRZEDAŻ BEZ POŚREDNIKA. Tył głowy Ryana – zapadnięty i wykrzywiony niczym przejrzała dynia zostawiona na polu – nie przypomina już żadnej ludzkiej części ciała.

Gwendy odskakuje od ekranu i w jej gardle więźnie głośny szloch. Przez chwilę, ogarnięta paniką, myśli, że udławi się na śmierć swoim żalem. Siada prosto i skupia się na oddechu. Duszący uścisk stopniowo się rozluźnia. Z oczami pełnymi łez Gwendy odwraca się do laptopa. I zachłystuje się powietrzem.

Na jezdni obok martwego ciała Ryana zatrzymał się samochód, nie tak szeroki jak cadillac; jest smuklejszy, ma niższe zawieszenie i lakier w tak jaskrawym odcieniu kreskówkowej zieleni, że aż oczy bolą od patrzenia. Nie wygląda jak prawdziwy, myśli Gwendy z niezdrową fascynacją. Wygląda jak powiększona dziecięca zabawka.

Natychmiast rozpoznaje go jako ten sam pojazd, w którym widziała Garetha Winstona obok młodego blondyna, kiedy dotknęła ręki miliardera przed toaletą na pokładzie Eagle Heavy. On tam był, myśli, zaciskając pięści tak mocno, że czubki palców jej bieleją. Może nie w Derry i może nie tamtego dnia, kiedy zabili mi męża, ale ten sukinsyn był w tym samochodzie. I ubijał interes? Oczywiście, bo właśnie to robią tacy jak Gareth: ubijają interesy.

– Jest jednym z nich – mówi głośno Gwendy do pustego pokoju.

Na filmie drzwi samochodu (stary zielony chrysler, wielki jak okręt, przypomina sobie nagle opis z maila jej starego przyjaciela Norrisa) otwierają się i na Carter Street wysiada czterech mężczyzn.

– Co, do... – Gwendy nie kończy zdania.

Mężczyźni są nienaturalnie wysocy i chudzi. I identycznie ubrani: noszą długie żółte prochowce i chusty zasłaniające dolną część twarzy, niczym bandyci z Dzikiego Zachodu. Spokojnie przechodzą przed maskę samochodu i stają ramie przy ramieniu, otaczając ciało. Jeden spogląda w dół, przykłada do piersi rękę w ciemnej rękawiczce, schyla się i wybucha piskliwym, szczekliwym śmiechem,

który Gwendy jakimś cudem słyszy mimo zawodzenia wiatru. To wstrętne zwierzęcy odgłos i Gwendy szybko ścisza dźwięk w laptopie. Inni wkrótce się przyłączają, pokazują sobie zdeformowane ciała, wyją i parskają. Jeden nagle okręca się dookoła i zaczyna przeskakiwać z nogi na nogę, wykonując jakiś szaleńczy taniec, klepiąc się po udach z dziką radością.

Gwendy nagle zatrzymuje wideo i cofa. Nie musi cofać daleko, najwyżej dziesięć, może dwanaście sekund. Nie jest pewna, czy wzrok jej nie zawiódł, czy naprawdę to zobaczyła.

Naciska PLAY i znowu patrzy, jak mężczyzna puszcza się w dziwaczny taniec... i wtedy to się dzieje. Mężczyzna zaczyna pojawiać się i znikać – nie znikać z pola widzenia, ale przestaje istnieć. W jednej sekundzie jest wyraźny i materialny, w następnej rozmyty i tylko częściowo widoczny.

A potem wszyscy czterej się rozmywają.

Podczas gdy każdy inny szczegół na nagraniu nadal jest krystalicznie wyraźny – kiedy Gwendy nachyla się bliżej do ekranu, niemal może odczytać numer telefonu wydrukowany na dole tablicy NA SPRZEDAŻ BEZ POŚREDNIKA – czterej mężczyźni w żółtych prochowcach nagle zaczynają migotać. Teraz trochę przypominają miraż na rozgrzanej szosie w upalny letni dzień. Oni tak nie wyglądają, myśli Gwendy ze spokojną pewnością. Oni wcale tak nie wyglądają. Całkiem jakby nosili kostiumy i maski, żeby upodobnić się do ludzi, ale to przebranie jest tylko tymczasowe i właśnie widzę, jak znikają z rzeczywistości. Nawet ten cholerny samochód jest zamaskowany. Traci wyraźne kontury. Już nie wydaje się materialny.

I widocznie nie tylko ona to zauważyła. Ten, kto nagrywa wszystko iPhone'em, po raz pierwszy robi zbliżenie. Domy, stacja benzynowa i park Basseya uciekają do tyłu. Kiedy ogromna, błyszcząca, zielona maska chryslera wypełnia ekran, Gwendy nagle żałuje, że nie ma na głowie hełmu i nie może opuścić wizjera. Od patrzenia na tych czterech mężczyzn i ich dziwaczny zielony samochód bolą ją nie tylko oczy, ale też mózg. Kamera powoli odjeżdża od chryslera i ponownie odnajduje mężczyzn na poboczu drogi. Nawet z bliska na przemian rozmywają się

i materializują, jakby oglądani przez brudną szybę zalewaną deszczem. Jeden z mężczyzn stoi dokładnie przed ciałem Ryana, oszczędzając jej widoku makabrycznych szczegółów. Gwendy czuje, że jeśli on zrobi krok w prawo albo w lewo, ona zacznie wrzeszczeć albo ciśnie laptopem przez pokój, albo jedno i drugie. Nagle rozlega się przeszywający pisk zakłóceń i ekran ciemnieje. I pozostaje ciemny. Gwendy już myśli, że to koniec nagrania, lecz ekran znowu budzi się do życia.

W przerwie nagrywający (albo nagrywająca) zrezygnował ze zbliżenia i powrócił do pierwotnego panoramicznego ujęcia. Po prawej stronie ekranu znowu pojawia się szereg domów, po lewej nieczynna stacja benzynowa i park Basseya. Czterej zamaskowani mężczyźni po drugiej stronie skrzyżowania stopniowo odzyskują ostrość, chociaż widać ich z daleka. Zakłócenia znikły.

Gwendy spogląda na znacznik czasu w górnym rogu ekranu i ze zdumieniem odkrywa, że ogląda nagranie dopiero od trzech minut i czterdziestu siedmiu sekund. Wydawało się, że znacznie dłużej.

Mężczyźni w żółtych prochowcach i chustach ucichli. Szurając nogami, przysuwają się do siebie, stykają się głowami – naradzają się, myśli Gwendy – a potem przerywają zaimprovizowany krąg. Trzech mężczyzn natychmiast wraca do samochodu. Nawet z przyciszonym dźwiękiem trzaśnięcie drzwi pojazdu rozlega się bardzo głośno w małym pokoiku. Czwarty mężczyzna czeka na poboczu, aż chrysler odjedzie – bez szmeru silnika – a potem przecina Carter Street w niedozwolonym miejscu i znika w zimnym przedwieczornym mroku parku Basseya.

Ciało Ryana nadal leży bez ruchu na poboczu drogi.

Nikt inny się nie zjawia, ponieważ w Derry nikt nigdy się nie pojawia, kiedy dzieje się coś takiego.

Parę sekund później nagranie się kończy.

GNIEW GWENDY POWRÓCIŁ. TWARZ ma rozpaloną jak piec, szczęki bołą ją od zgrzytania zębami. Ociera łzy chusteczką, hałaśliwie wydmuchuje w nią nos i wkłada ją do kosza na śmieci. Wprawdzie jej zaszokowany umysł nie jest w stanie w pełni zrozumieć tego, co właśnie widziała, ale rozumie dosyć, żeby nazwać to po imieniu: morderstwo z zimną krwią. Ktoś – obcy blondyn z jej wizji, mężczyźni w żółtych prochowcach czy nawet Gareth Winston – zwabił jej męża do Derry i przejechał go na środku ulicy jak bezpańskiego psa. Czy oni wszyscy pracowali dla Sombry? Gwendy jest niemal pewna, że pracowali. Pracują.

Nawet z drugiego końca pokoju i z wnętrza szafy słyszy nieustanne buczenie pudełka z guzikami, które ją wzywa. To, że słyszysz, nie znaczy, że musisz słuchać, napomina się. I tak już wie, co pudełko mówi. Odkąd wylądowali na Many Flags, nadaje w kółko to samo, jak cholerna zepsuta płyta. *Tylko jeszcze jedną czekoladkę, mała Gwendy, to wszystko. Tylko jeszcze jedno przepyszne zwierzątko na jeden kęs i będziesz myślała jaśniej, i będziesz spała lepiej, i już nigdy o niczym nie zapomnisz. Albo jeszcze lepiej: dlaczego nie naciśniesz czerwonego guzika i nie sprawisz, że wszystkie twoje kłopoty znikną? Poczynając od twojego przyjaciela miliardera. Wiesz, że tego chcesz...*

– Masz cholerną rację, że chcę – warczy Gwendy, wrywając następną chusteczkę z pudełka. – I gdyby rzeczywiście był wtedy w Derry, nie wiem, czy mogłabym się powstrzymać.

Spycha ten głos na samo dno swojego pokiereszowanego mózgu – coraz trudniej jej to przychodzi, w miarę jak podróż zbliża się do końca – i klika na plik MITCHELL. Rozlega się seria głośnych pisków, a potem nagranie się zaczyna.

Pokój przesłuchań jest mały i zwyczajny. Trzy puste szare ściany. Górną część czwartej zajmuje przyciemniona szyba, lustro weneckie. Nie wiadomo, kto zza niego patrzy, ale Gwendy domyśla się, że jednym z obserwatorów jest Charlotte Morgan. Może jedynym.

W pokoju tłoczą się czterej mężczyźni. Jeden z nich, w ciemnym garniturze i z podramienną kaburą, opiera się o drzwi. Jego twarz jest rozmyta i przez krótką chwilę Gwendy myśli, że jest jednym z nich – ale szybko uświadamia sobie, że rysy mężczyzny zostały celowo zniekształcone, żeby chronić jego tożsamość. Twarz drugiego agenta też jest nieostra; agent siedzi za wąskim biurkiem i wpatruje się w ekran laptopa. Na prawo od niego siedzi agent dowodzący, którego niezamazana twarz natychmiast przypomina Gwendy młodszego brata jej ojca, wujka Harveya. W okularach w szylkretowej oprawce i z krzaczastym wąsem facet wygląda całkiem jak czyjś ulubiony wujek albo nauczyciel fizyki z miejscowego liceum, taki, którego wybierają na nauczyciela roku w kronice szkolnej. Obaj agenci za biurkiem ubrani są w spodnie od garniturów i koszule, bez marynarek i krawatów.

Ostatni mężczyzna w pokoju to gość honorowy. Ward Mitchell ma na sobie luźny pomarańczowy kombinezon z podwiniętymi rękawami. Siedzi na metalowym krześle przyśrubowanym do podłogi. Gwendy widzi, że usiłuje trzymać głowę prosto i mieć oczy otwarte. Pod jednym okiem nabrzmiewa ciemny siniak, wargi są opuchnięte. Lekceważący uśmiezek zniknął bez śladu. Mitchell ręce ma wyciągnięte przed sobą na biurku. Cienka rurka łączy zgięcie jego prawego ramienia z przenośnym stojakiem do kroplówki. Na najwyższym zaczepie stojaka wisi torebka z przezroczystym płynem, ściśle tajna zawartość skapuje powoli do krwiobiegu detektywa. Jego lewy biceps jest owinięty rękawem ciśnieniomierza, spod kołnierza kombinezonu wychodzi plątanina przewodów, prowadząca do laptopa agenta numer dwa.

– Zaczniemy od twojego nazwiska. – Głos agenta dowodzącego jest stanowczy, lecz przyjemny. Nawet mówi jak nauczyciel fizyki.

Mitchell mruga i rozgląda się po pokoju, jakby właśnie ocknął się z głębokiego snu. Odchrząkuje.

– Ward Thomas Mitchell.

– Wiek?

– Czterdzieści cztery lata.

Wyglądasz starzej, myśli Gwendy nie bez satysfakcji.

– Adres?

– Tupelo Road dziewiętnaście dwadzieścia, Derry, Maine.

– Pochodzisz z Derry?

– Tam się urodziłem i dorastałem.

No, to wiele wyjaśnia, myśli Gwendy.

– Gdzie pracujesz?

– W policji miasta Derry. Od dwudziestu lat. Od dwunastu lat w randze detektywa.

– Żonaty?

– Rozwiedziony.

– Dzieci?

– Jedno. Chłopiec.

– Ile lat...

Gwendy wie, co robią, rozmiękczają go łatwymi pytaniami, ale nie o to jej chodzi. Naciska klawisz ze strzałką na laptopie i przewija wideo do przodu. Na chwilę zapomina, co robi – mała Blokada Mózgu, która mija po paru sekundach – i przewija za daleko. Szybko naciska REWIND i patrzy, jak czas się cofa. Wreszcie zatrzymuje nagranie na 5.33 i naciska PLAY. Ręce jej się trzęsą.

– ...dotyczące dziwnych wydarzeń w Derry. Możesz nam podać przykład?

Mitchell uśmiecha się konfidencko. Oczy mu latają w oczodołach. Gwendy myśli, że od czasów studenckich nie widziała tak naćpanego człowieka.

– Słyszałem głosy.



– To znaczy w twojej głowie, detektywie?

– Neeee... z rur kanalizacyjnych w moim domu.

– Naprawdę? – Agent dowodzący zerka na zaciemnione okno i kilkakrotnie unosi brwi. – Z rur kanalizacyjnych, hę?

– Raz... właśnie skończyłem brać prysznic i zakręciłem wodę... ktoś mnie zawołał z rury. A potem zaczęli się śmiać.

– Oni?

– Jakby dzieci. Cała banda dzieciaków się śmiała.

– A ten głos... co do ciebie powiedział?

– Moje imię.

Agent dowodzący drapie się w podbródek i daje koledze znak brwiami.

– Następnym razem ładowałem zmywarę i usłyszałem ten sam głos z kuchennego zlewu. Powiedział: „Trzymamy dla ciebie miejsce, Prosiaku”. Nikt mnie tak nie nazywał, odkąd byłem smarkaczem w podstawówce.

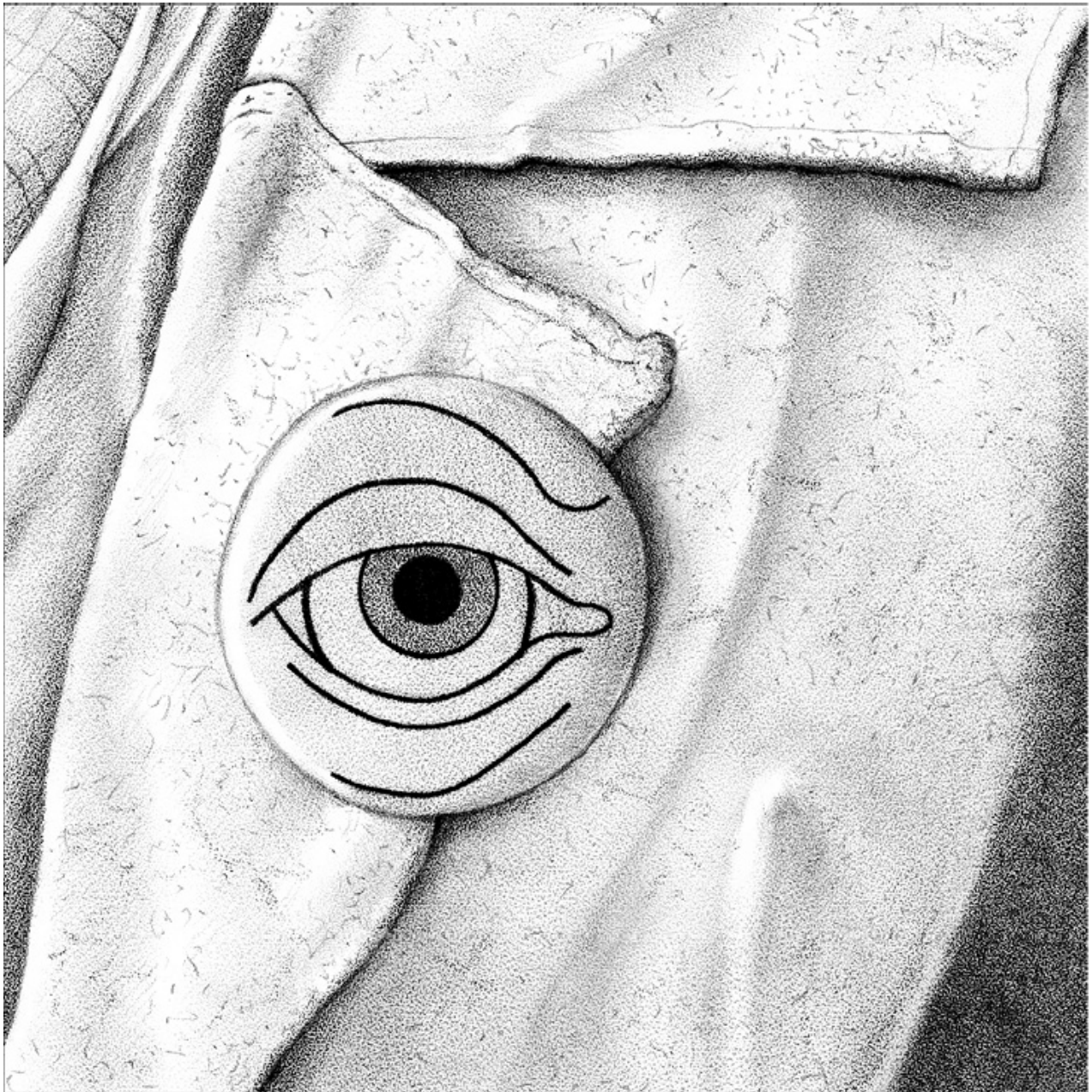
– Coś jeszcze?

Ward Thomas Mitchell alias Prosiak śmieje się. Ale jego oczy się nie śmieją.

– Był ten klaun.

– Chcesz zobaczyć klauna, Mitchell, to spójrz w lustro – mówi jeden z pozostałych agentów z wyraźnym niesmakiem.

Mitchell nie zwraca na niego uwagi.



– Jak zacząłem pracować w policji, miałem koszmarne sny. Takie okropne, że bałem się zasnąć w nocy. Ktoś przebrany za klauna ścigał mnie po kanałach.

Gwendy nagle przypomina sobie opowieść dawnej przyjaciółki o klaunie z wielkimi srebrnymi oczami, który ścigał ją w Derry. Pamięta również, jak ojciec ostrzegał ją przed Derry. Takie to nietypowe dla niego. Jest niemal pewna, że coś mu się stało podczas jego krótkiego pobytu w Derry – coś strasznego – ale nigdy się do tego nie przyznał, a teraz pewnie nawet już nie pamięta. Albo może pamięta, ale za bardzo się boi, nawet po tylu latach, żeby o tym mówić.

– W tym samym roku, moim pierwszym roku w policji, tuż przed świętami odebrałem wezwanie na dziewięćset jedenaście. Kobieta zgłosiła hałasy i krzyki dobiegające z domu obok. Kiedy tam podjechałem, na ganku siedział facet, cały zakrwawiony. Płakał i trzymał w ręce nóż rzeźnicki. Właśnie zabił żonę i dwie córeczki bliźniaczki i posadził zwłoki przy stole w jadalni. Przed każdą postawił miskę sałatki i położył im serwetki na kolanach. We włączonym piekarniku znaleźliśmy lazanie spalone na węgiel. Facet poddał się bez walki, a kiedy go skuliśmy i wsadziliśmy na tył radiowozu, powiedział wyraźnie... nie tylko ja go wtedy słyszałem... „Klaun kazał mi to zrobić”. I od tamtej chwili nie odezwał się ani słowem. Nigdy więcej. Z tego, co wiem, wciąż jest w zakładzie.

Agent dowodzący ogląda się na zaciemnioną szybę, kiwa głową i przekłada notatki.

– Idziemy dalej, detektywie. W piątek dwudziestego dziewiątego listopada dwa tysiące dziewiętnastego roku pan Ryan Brown z Castle Rock został zabity przez samochód na terenie twojej jurysdykcji. Sprawca zbiegł. Ty byłeś na miejscu wypadku i prowadziłeś tę sprawę, tak?

– Nie zjawiłem się pierwszy na miejscu wypadku, ale tak, prowadziłem sprawę.

– A rezultaty twojego śledztwa?

– Nie zdołaliśmy odnaleźć żadnych podejrzanych i nie oskarżyliśmy nikogo. – Mitchell znowu uśmiecha się idiotycznie.

– Czy rzeczywiście szukaliście podejrzanych?

– Nie.

– Czy w ogóle prowadzono jakieś oficjalne śledztwo w sprawie śmierci Ryana Browna?

– Nie. – Tym razem idiotycznemu uśmiechowi towarzyszy chichot.

– Dlaczego nie, detektywie?

– Z powodu pieniędzy.

– Mówisz, że dostałeś łapówkę, żeby nie badać śmierci Ryana Browna?

– Aha.

– Od kogo?

– Nie wiem. Nie przedstawił nam się.

– Nam? Czy inni funkcjonariusze policji w Derry też wzięli łapówki?

– No.

– Kto?

– Ronald Freeman i Kevin Malerman. – Mitchell wznosi pięść. – Moi kumple!

– Co możesz nam powiedzieć o człowieku, który cię przekupił?

– Wysoki. Chudy. Biały. Nosił długi płaszcz w musztardowym kolorze. Staroświeckie białe półbuty, takie eleganckie. Dziwnie mówił.

– To znaczy z akcentem?

– Nie, jakby język nie mieścił mu się w ustach. Albo jakby miał w gardle pełno świerszczy.

Wszyscy przesłuchujący poruszają się na te słowa.

– Coś jeszcze?

– Aha – rzuca zgodnie Mitchell. – Nie był człowiekiem.

– Słucham?

– Jego twarz... ciągle się zmieniała. Zsuwała.

Gwendy nagle zasycha w ustach.

– Twarz mu się zsuwała? Nie rozumiem, Mitchell.

– Jakby nosił maskę, ale nie taką gumową albo tanią plastikową, jakie dzieciaki noszą na Halloween. Ciągle się zsuwała i widziałem, co było pod spodem.

– A co było pod spodem?

– Potwór.

– Możesz opisać dokładniej, co widziałeś pod maską?

– Ciemne szczeciniaste włosy, łuskowatą skórę, czerwone wargi, czarne oczy.

I jakby pysk. Jak u wilka albo łasicy. Może u szczura.

– Ile razy się spotkałeś z tym wilkołakiem?

– Dwa razy. Po raz pierwszy podszedł do mnie na miejscu wypadku. A potem pojawił się w moim domu, kiedy przyniósł mi pieniądze.

– Ile ci zapłacił?

– Sto tysięcy dolarów.

Jeden z agentów coś mówi. Nie do mikrofonu, ale Gwendy wydaje się, że słyszy: „O kurwa”.

– Wyjaśnił, dlaczego nie chciał śledztwa w sprawie śmierci Ryana Browna?

– Nie.

– Czy mówił, że dla kogoś pracuje?

– Nie.

– Za każdym razem był sam?

– Tak – odpowiada Mitchell, a po chwili dodaje: – Wiecie, myślałem, że może mnie zabić.

– Groził ci?

– Nie. Tylko czasami tak na mnie patrzył.

– Jakim samochodem przyjechał?

– Nie widziałem żadnego samochodu. Przychodził na piechotę. Miał znaczek w klapie. Najpierw myślałem, że to jakaś odznaka. Ale nie. To było wielkie szkarłatne oko i obserwowało mnie przez cały czas, kiedy rozmawialiśmy.

Agent przy drzwiach odzywa się:

– Czepek z folii na to pomoże.

Rozlegają się śmiechy, ale agent dowodzący nie przyłącza się do nich i śmiech szybko zamiera.

– Czy kiedykolwiek spotkałeś Ryana Browna przed jego śmiercią?

– Nie.

– Odgrywałeś jakąś rolę w zwabieniu go do Derry?

– Nie.

– A Gwendy Peterson? Wiesz, kim ona jest?

– Pewnie. Ta suka ciągle wpycha mi się do telewizora przed wyborami. Te wszystkie cholerne reklamy! W tym sezonie nie mogłem obejrzeć ani jednego meczu Red Soxów, żeby nie wysłuchać jej lewackiego gędzenia.

Gwendy wyciąga środkowy palec do ekranu laptopa.

– Znasz niejakiego Garetha Winstona?

– Nie, ale słyszałem to nazwisko.

– Gdzie?

Mitchell znowu uśmiecha się głupio.

– Nie pamiętam.

– Ostatnie pytanie na razie, a potem zrobimy krótką przerwę. Czy słyszałeś kiedyś o Korporacji Sombra?

– Nie.

– Na pewno?

– Na pewno.

I to wszystko.

GWENDY WYSYŁA KRÓTKĄ WIADOMOŚĆ do Charlotte Morgan, dziękuje jej i chwali za dobrą robotę. Na razie jej przyjaciółka nie może nic więcej dla niej zrobić, ale to się może szybko zmienić.

Gniew Gwendy się wypalił i zastąpiła go straszliwa ociężałość, jakby jej głowa ważyła milion kilogramów. Jeszcze wczoraj nie mogła usiedzieć spokojnie – czy naprawdę poszła pobiegać, czy tylko jej się przyśniło? – ale teraz nie może podnieść się z kanapy. Ma ochotę wyciągnąć się i zdrzemnąć, ale za każdym razem, kiedy zamyka oczy, widzi martwe ciało Ryana i krwawe ślady na jezdni, a w mrocznej ciszy umysłu słyszy piskliwy, szczekliwy śmiech.

W końcu, dopingując się w myślach (w wieku sześćdziesięciu czterech lat nadal wygłasza przemowy dopingujące łagodnym głosem matki), zamyka laptop i zmusza się, żeby wstać. Wkłada garść zmiętych chusteczek do odkażanego ultrafioletem kosza na śmieci i zamyka pokrywę. W łazience obmywa twarz zimną wodą. Jeszcze cztery dni, przypomina sobie, patrząc na swoje odbicie w łazienkowym lustrze. Nie jest zadowolona z tego, co widzi. Oczy ma spuchnięte od płaczu, w spojrzeniu czai się ślad hysterii. ND, myśli. Lepiej zrób coś z tym, zanim się pokażesz na kolacji. Tylko tego jej brakowało, żeby Kathy i pozostali znowu zaczęli się o nią martwić.

Tamci ludzie nie byli ludźmi, myśli. Byli... skąd? Pewnie z tego samego miejsca, z którego pochodzi pudełko z guzikami. Czy pan Farris ukradł je, żeby ocalić świat? Gwendy nie wie – pewnie nigdy się nie dowie – ale sądzi, że to bardzo prawdopodobne.

Coś jednak wie: usiądzie przy stole z człowiekiem, który przyłożył rękę do śmierci jej męża. Jak bardzo przyłożył, nie jest pewna, ale to właściwie nie ma

znaczenia. Czyżby? Przez krótką chwilę usiłuje sobie przypomnieć imię tego człowieka – chyba Gary albo Gregory – ale potem pamięć wraca w przebłysku pewności, tak rzadkim teraz u niej w tych mrocznych czasach. Facet nazywa się Gareth Winston. Jest miliarderem, nigdy jednak nie będzie miał dość pieniędzy czy władzy. Zawsze będzie chciał więcej. I zna szyfr do stalowej kasetki oznakowanej ŚCIŚLE TAJNE. Tego też jest pewna.



SIEDZĄ WE CZWÓRKĘ PRZY stole, kiedy Gareth Winston wchodzi-wskakuje do kafeterii. Gwendy siedzi obok Adesha Patela i uśmiecha się. Wygląda znacznie lepiej i młodziej niż odbicie, które widziała parę minut wcześniej w łazienkowym lustrze. Właśnie skończyła opowiadać Kathy Lundgren i Bernowi Stapletonowi o imponującym popisie skorpiona Borisa w laboratorium Robala. Na zakończenie zrywa się na nogi, wykrzykuje: „Maar!” i rzuca się przez stół na byłego treningowego partnera. Bern Stapleton o mało nie krzyczy i wylewa połowę soku jabłkowego z kartonika, który unosi się przed nim w powietrzu. Wciąż jeszcze próbuje zgarnąć do serwetki uciekające krople, kiedy Gwendy dostrzega Winstona.

Jej uśmiech gaśnie. Proszę, idź dalej. Proszę, usiądź gdzie indziej.

Ale oczywiście on nie idzie dalej. Wciska pokazny zad w krzesło i siada ze stęknieniem. Natychmiast sięga po tacę z jedzeniem, odczepia ją od magnetycznego uchwytu w stole i podsuwa pod nos. Zagląda przez cienką siateczkę, kiwa głową z aprobatą, paznokciem kciuka otwiera ukośny zamek błyskawiczny na środku siatki i zaczyna łapczywie pochłaniać makaron. Przed nim unosi się kilka kropel czerwonego sosu. Dla Gwendy wyglądają jak krople krwi.

– Niezłe – rzuca Gareth, wreszcie spoglądając na pozostałych. – To nie Sorrento’s w Bronxie, ale ujdzie w tłoku.

– Cieszę się, że panu smakuje – mówi Kathy. – Może korporacja TET zatrudni szefa kuchni z Sorrento’s, żeby przygotowywał posiłki na marsjańskie promy.

– No, niezły pomysł. – Winston celuje palcem w dowódcę, głośno ciamkając. Ogląda się na Adesha. – Mają nawet wegetariańskie menu dla takich jak ty.

Entomolog nachyla się do Gwendy i szepcze:

– Takich jak ja, co ty powiesz!

– W Maine jest urocza włoska restauracja Giovanni – mówi Gwendy. – Słyszał pan o niej, panie Winston?

Pytanie wydaje się całkiem niewinne, ale coś w głosie Gwendy sprawia, że wszyscy przy stole odwracają się i patrzą na nią. Tylko Winston nic nie zauważa. Kręci głową.

– Raczej nie. Gdzie to jest dokładnie?

– W małym miasteczku o nazwie Windham, jakieś czterdzieści pięć minut na północ od Castle Rock. Robią nadziewane krewetki à la Guiseppi, za które warto umrzeć. Piszą o niej we wszystkich magazynach kulinarnych.

– Hm... – Miliarder bierze łyk lemoniady i beka w dłoń. – Muszę kiedyś tam zajrzeć.

– Często bywał pan w Maine podczas swoich podróży?

Tym razem tylko Kathy Lundgren przewraca oczami, patrząc na Gwendy.

– Niespecjalnie. Byłem tam kilka razy. Raz na polowaniu na łosie w Allagash. Ale to była klapa.

– Moja żona i ja pojechaliśmy latem po ślubie na kemping w parku narodowym Acadia – odzywa się Bern Stapleton. – Piękne miejsce. Jestem prawie pewny, że tam w namiocie zrobiliśmy nasze pierwsze dziecko.

– Oszczędź nam szczegółów – prosi Kathy.

– Adesh, powinieneś odbyć pogadankę uświadamiającą z komandor Lundgren – mówi Bern. – Chyba już czas.

Kathy wymierza mu szturchańca w ramię. Bern ze śmiechem wstaje od stołu i zabiera swoją tacę.

– Idę do roboty. Bądźcie grzeczne, dzieciaki.

– Idę z tobą – mówi Adesh, wstaje i sprząta po swoim posiłku. – Muszę się przygotować do telekonferencji.

– Powodzenia! – woła za nimi Kathy.

– Dziwię się, że tak słabo zna pan mój rodzinny stan – kontynuuje Gwendy, wciąż wpatrując się w miliardera. – Z taką kasą powinien pan być wszędzie ze dwa

razy.

– No cóż, wybacz, że powiem oczywistą rzecz – odpowiada Gareth. – Ale dla kogoś z taką kasą jak ja Maine nie jest specjalnie atrakcyjne. Paryż, Tortola, Turks i Caicos to co innego...

– Był pan kiedyś w Castle Rock? – przerywa mu Gwendy. – Albo w Derry?

– Nie i nie – warczy miliarder i wypuszcza z ręki widelec. Szybko łapie go w powietrzu, zanim widelec spadnie na stół. – Nigdy nie byłem w Castle Rock i nigdy nie byłem w Derry. A teraz czy mogę spokojnie dokończyć kolację?

– Oczywiście. – Gwendy przykleja do twarzy uśmiech Patsy Follett. – Tylko jeszcze jedno: chciałabym podziękować za zwrócenie mi notesu. Mam szczęście, że pan go znalazł.

– No tak, powinnaś bardziej uważać.

Gwendy wstaje od stołu i odchodzi, zatrzymuje się jednak i odwraca.

– Może pan też – rzuca.

Policzki mu czerwienieją. Mam cię, myśli Gwendy.

Kilka minut później, kiedy zeskrobują resztki z talerzy do próżniowego pojemnika po drugiej stronie kafeterii, Kathy pyta:

– Co to było, do cholery?

– O co ci chodzi?

– Daj spokój. Prowokowałaś go.

– Byłam tylko ciekawa.

– Czego?

– Jak zareaguje na prowokację. Widziałaś, jak się zaczerwienił?

Kathy unosi brwi.

– Nie zauważyłam.

Gwendy odprowadza ją wzrokiem, myśląc: Test testem, ale ona wciąż nie ufa mi do końca.

W drodze powrotnej do kwatery zbacza na krótko do obserwatorium pogody, żeby sprawdzić ostatnie odczyty. Wie, że część personelu tam, na dole – może

większość – spodziewa się, że będzie odwaląa byle jak swoje pogodowe obowiązki. I właśnie dlatego chce prześcignąć ich oczekiwania i udowodnić, że się mylą; zawsze tak miała.

Zostawiła laptop w pokoju, więc gryzmoli kilka notatek w moleskinowej księdze i odkłada ją na miejsce do górnej szuflady biurka. Potem zapisuje przypominajkę o jutrzejszej wideokonferencji z pracownikami akademickimi Uniwersytetu Maine i przylepia ją na samym środku jednego z ekranów. W ten sposób na pewno nie zapomni. Ma nadzieję.

Po powrocie do swojego apartamentu kieruje się prosto do sofy. Nagle jest wyczerpana, chce się tylko położyć i odpocząć. To dziwne, myśli. Tego popołudnia oglądała nagranie z zabójstwa męża – nie wspominając o czterech dziwnych stworach w żółtych prochowcach i ich brzydkim, zielonym, długim na kilometr samochodzie (jeśli to w ogóle był samochód, myśli) – ale odkąd dokopała Winstonowi, czuje się trochę bardziej pewnie. Czuje się wręcz pokrzepiona. Po raz pierwszy od paru dni nawet nie myśli o pudełku z guzikami i jego magicznych sztuczkach oraz przysmakach. Powieki jej opadają. Wsuwa poduszkę pod głowę i układa się wygodnie. Zanim odpłynie w sen, zauważa na stoliku otwarty laptop i myśli: Zaraz, chwileczkę, przecież go zamknęłam przed wyjściem? I schowałam?

Widocznie nie zamknęła i nie schowała. Zrobiła się taka zapominalska. Potem jej powieki opadają do końca i zasypia niewinnym snem bez snów.

#### DZIEŃ 4 NA MANY FLAGS.

Gwendy związuje włosy w kucyk. Potem wkłada niebieskie szorty i koszulkę z emblematem Eagle Heavy. Liczy, że energiczny skoko-marsz po obwodnicy rozjaśni jej w głowie i pobudzi apetyt na śniadanie. Właściwie nigdy już nie czuje głodu i to ją martwi. Weźmy na przykład poprzedni wieczór. Wspólna kolacja sprawiła jej przyjemność – zwłaszcza prowokowanie Garetha Winstona, to był punkt kulminacyjny – ale prawie nie tknęła jedzenia z tacy. Tego ranka zamierza jeść, choć nie czuje głodu. Jeszcze trzy dni do spaceru w kosmosie z minirakieta, więc będzie potrzebowała jak najwięcej kalorii.

Nawet nie myśli o bieganiu. Tamten drobny akt lekkomyślnego szaleństwa – pomijając już czekoladki – łatwo mógł zwrócić się przeciwko niej i zakończyć katastrofą. Bez trudu wyobraża sobie tę scenę: Pani senator z Maine leży jak długa na plecach, nieprzytomna, jej szwankujące sześćdziesięcioczworoletnie serce się zacina. Dale Glen, otoczony przez pozostałych członków załogi, sumiennie podaje adrenalinę i wykonuje resuscytację. Niestety, zacinające się serce staje. Po kilkuminutowych próbach pobudzenia go do pracy doktor Glen z ponurą miną zaprzestaje wysiłków. Kathy Lundgren wraca pospiesznie do Szprychy Jeden, żeby ze łzami zawiadomić Eileen Braddock w centrali misji. Zanim jeszcze ciało senator z Maine zdąży ostygnąć w izbie chorych (Gwendy zakłada, że tam by ją zabrali), Gareth Winston wślizguje się do jej apartamentu i kradnie pudełko z guzikami. Koniec pieśni.

Oczywiście to kompletna bzdura, jej serce świetnie zniosło kilka prób wysiłkowych na bieżni. No ale paranoidalne fantazje niekiedy towarzyszą alzheimerowi. To tylko jeden z nielicznych zabawnych faktów dotyczących tej

choroby, które znalazła w internecie (a teraz tego żałuje). Jest nawet na to nazwa: zespół zachodzącego słońca. A tutaj słońce zachodzi z grubsza co dziewięćdziesiąt minut, co daje jej mnóstwo okazji do paranoicznych myśli.

Nie mam zespołu zachodzącego słońca!

Może nie, ale lepiej nie biegać. Bezpieczeństwo przede wszystkim.

Szybki spacer dobrze mi robi, myśli Gwendy, siadając na brzegu kanapy. Schyla się i wkłada sportowe buty, najpierw prawy, potem lewy. Następnie sięga w dół, bierze sznurowadła... i nieruchomieje. Nie ma pojęcia, co z nimi zrobić.

– Och, przestań – napomina się. – Oczywiście, że wiesz.

Jak to szła ta piosenka o wiązaniu sznurowadeł, której się uczyła w przedszkolu? Coś o myszkach, nie? Myszki wystawiają uszka, które są pętelkami na sznurowadłach? Nie przypomina sobie, pamięta tylko, jak się kończy: *Przyszedł kot i złapał myszki za uszy*. Coraz bardziej się boi. Próbuje – co najmniej dziesięć razy – ale nawet nie zbliża się do sukcesu.

Wreszcie, po krótkim ataku płaczu i całkowicie niesatysfakcjonującym wybuchu złości, kiedy skopała z nóg oba buty i posłała je na drugi koniec pokoju, otwiera instrukcję z YouTube'a na laptopie. Dziewczynka na wideo, Cassidy, ma pięć lat i mieszka w Atlancie w Georgii. Pani senator ogląda dziewięćdziesięciosekundowe nagranie trzy razy od początku do końca, mamrocząc słowa piosenki, którą teraz doskonale pamięta. *Były sobie dwie myszki, Miki i Piki. Miały długie ogonki. Zamieniły się miejscami. Jedna myszka weszła do norki. Druga ją zamknęła. Jedna wystawiła uszko. Druga ją okrążyła i wystawiła swoje. Przyszedł kot, złapał myszki za uszy i wyciągnął z norki.*

W końcu udaje jej się zasznurować reeboki. Chociaż wciąż trochę luźno.

Zanim wychodzi z apartamentu, pół godziny później, niż planowała, znowu marzy o pudełku z guzikami. I śpiewa o dwóch myszkach.

JEST W POŁOWIE ZEWNĘTRZNEGO KORYTARZA, kiedy dogania ją Adesh Patel.

– Dzień dobry, pani senator. Masz ochotę na towarzystwo?

– Czemu nie – odpowiada Gwendy.

Ale nie ma ochoty. Ostatnie, czego potrzebuje w ten okropny poranek, to towarzystwo. Jest przestraszona, rozkojarzona i pełna wątpliwości. A jeśli znowu dostanę Barykady Mózgu? Nawet nie potrafię tego poprawnie nazwać! A jeśli znowu dostanę Blokady Mózgu, a on poleci z jęczorem i naskarży Kathy? Co wtedy?

Jakby czytając w jej myślach, Adesh delikatnie dotyka jej ramienia i pyta:

– Możemy się zatrzymać na chwilę? Wczoraj przy kolacji chciałem ci powiedzieć coś ważnego, ale nie byliśmy sami ani przez chwilę, a ja nie chciałem tego mówić przy innych.

Gwendy przystaje i odwraca się do niego.

– Czy coś się stało, Adesh?

Entomolog spuszcza wzrok i wzrusza ramionami.

– Tak... nie... to znaczy właściwie nie wiem.

– No więc wywal kawę na ławę i razem coś wymyślimy.

– Spróbuję. – Bierze głęboki, drżący oddech. – Kiedy doktor Glen i komandor Lundgren po raz pierwszy przyszli do mnie i pytali o ciebie, nie wiedziałem, o co im konkretnie chodzi. Myślałem, że to dlatego, że jesteś... no...

– Że jestem stara? W porządku, to prawda. I to nie jest brzydkie słowo.

Adesh kręci głową.

– Nie, pani senator. Może jesteś starsza od reszty z nas, ale nie jesteś stara. Moja babcia Aanya jest stara, naprawdę stara.

– Aluzję zrozumiałam. – Gwendy uśmiecha się mimo woli. – Mów dalej, o czcigodny Robalu.

Adesh też się uśmiecha.

– Dopiero później, kiedy się dowiedziałem, że zrobili ci test kognitywny, wróciłem do nich i powiedziałem, co myślę.

– Oni mnie do niczego nie zmuszali, Adesh. Sama się zgodziłam.

Mężczyzna kiwa, a potem kręci głową.

– Niemniej byłem bardzo zły, kiedy się dowiedziałem, co zrobili. I powiedziałem im to.

Gwendy jest autentycznie wzruszona.

– Dobry z ciebie przyjaciel. Dziękuję.

– A później, kiedy się dowiedziałem, że zdałaś test śpiewająco, poszedłem prosto do nich i powiedziałem: „A nie mówiłem?”. Taka inteligentna kobieta jak ty nie mogłaby oblać takiego prostego testu.

Gdybyś tylko wiedział, myśli Gwendy ze smutkiem.

– W każdym razie musiałem zrzucić kamień z serca. Na wypadek gdyby ktoś ci doniósł, że „Robal wyrwał się jak filip z konopi”. Czy to poprawny zwrot? Jak filip z konopi?

– Tak.

– Chciałem tylko, żebyś wiedziała, że musiałem wyrazić swoje zdanie.

Gwendy przeskakuje kilka centymetrów, żeby uścisnąć mu przyjaźnie ramię, i wtedy to widzi. Jakieś trzydzieści metrów za nim, tam, gdzie wewnętrzna ściana zakręca za załomem korytarza, ktoś stoi w cieniu wielkiego sufitowego oczyszczacza powietrza i obserwuje ich. Zanim zdąży zawołać albo lepiej się przyjrzeć, postać znika. Winston?

– ...powiedz tylko słowo.

Gwendy odwraca się z powrotem do Adesha.



– Przepraszam, nie dosłyszałam. Co mówiłeś?

– Mówiłem, że jeśli mogę coś dla ciebie zrobić, cokolwiek, powiedz tylko słowo.

Myśli Gwendy – teraz bardzo jasne – przeskakują do jej laptopa. Pewnie zapomniała go schować, tak jak zapomniała notesu na Eagle Heavy. Ale jeśli jednak go schowała... a potem nie tylko stał na stoliku, ale był też otwarty...

– Właściwie jest coś takiego – mówi, ponieważ ze wszystkich ludzi, z którymi podróżuje przez kosmos, najbardziej ufa temu człowiekowi.

– Powiedz mi – prosi Adesh.

TELEKONFERENCJA Z UDZIAŁEM PRACOWNIKÓW AKADEMICKICH Uniwersytetu Maine przebiega sprawnie. Gwendy ma jedno drobne potknięcie – kiedy rozmawia z kierownikiem studium wychowania fizycznego, przekręca nazwę drużyny baseballowej Black Bears na Blueberries – ale szybko się orientuje i obraca to w żart. „Od razu widać, że brakuje mi ulubionych przysmaków: lodów waniliowych ze świeżymi borówkami z Maine!”

Wszyscy się śmieją, a ona natychmiast zmienia temat.

Przez resztę popołudnia tworzy wpis na bloga dla National Geographic Society (włącznie z kilkoma zdjęciami Dave’a Gravesa) i odbywa wideokonferencję z wiceprezydentem na temat kontroli klimatu. Zawsze uważała, że facet jest pełen dobrych chęci, ale nie grzeszy rozumem – co ostatnio, niestety, odnosi się również do niej. W przerwach pomiędzy tymi zadaniami odpowiada na maile i ćwiczy zawiązywanie sznurowadeł (mamrocząc piosenkę o dwóch myszkach). Niekiedy zamyka oczy i próbuje sięgnąć do Garetha Winstona, ale bez rezultatu. Nie docierają do niej nawet najsubtelniejsze wibracje, potwierdzające jego obecność na stacji kosmicznej. Następne czekoladowe zwierzątko mogłoby pomóc, ale to byłby bardzo zły pomysł.

W pewnej chwili Gwendy wygląda przez wielkie okno i nie ma pojęcia, jak się tam znalazła. Ani kiedy.

ND, myśli.

Przy kolacji Winston siada jak najdalej od niej. Ciekawe dlaczego, myśli Gwendy ze złośliwym uśmieszkiem. Na deser Sam Drinkwater robi im niespodziankę w postaci blachy domowego brownie, jeszcze ciepłego po wyjęciu z piekarnika. Gwendy zjada dwie porcje, włącznie z narożną, jej ulubioną od

dziecka. Oczywiście to ciasto nie przypomina specjalnych czekoladek z pudełka z guzikami – po pierwsze, smakuje zupełnie inaczej, a po drugie, nie zawiera ani szczypty magii – ale i tak jest pyszne. Słodkie i jakże potrzebne przypomnienie o domu i prostszych czasach.

Po kolacji Gwendy zagląda do obserwatorium pogody. Na dzisiaj skończyła pracę, ale nie jest wystarczająco zmęczona, żeby pójść spać. Od czasu denerwującego incydentu ze sznurowadłami głos pudełka z guzikami staje się coraz silniejszy, coraz bardziej natarczywy i coraz trudniej mu się oprzeć. Gwendy ma nadzieję, że dziesięć czy piętnaście minut spoglądania przez ogromny teleskop ukoji jej znękany umysł. Lecz nie tylko dlatego lubi tutaj przychodzić.

Pod wieloma względami obserwatorium pogody na Many Flags – z własnym olbrzymim oknem niczym wypukła szklana ozdoba i cicho mruczącymi monitorami – kojarzy się Gwendy z kościołem katolickim Naszej Pani Spokojnych Wód w Castle Rock. Panuje tutaj atmosfera kojąca dla ciała i duszy, skłaniająca do wzniosłej zadumy jak w katedrze. A widok jest – dosłownie – niebiański.

To wszystko jest cudem, myśli Gwendy, wpatrując się w mroczny przestwór... wszystkiego. Ile innych światów istnieje w tym nieskończonym oceanie gwiazd, planet i galaktyk? Ile innych form życia może na mnie patrzeć dokładnie w tej chwili?

Wspomina pewną ciepłą lipcową noc, kiedy miała jedenaście lat – tego lata, kiedy pudełko z guzikami wkroczyło w jej życie. Miesiąc wcześniej, tuż przed zakończeniem roku szkolnego, nauczyciel Gwendy w piątej klasie, pan Loggins, który często prowadził codzienne lekcje z zaschniętym wielkim, zielonkawym glutem widocznym w jednym lub obu nozdrzach, zabrał klasę na wycieczkę do planetarium. Większość dzieciaków, schwytanych już w wakacyjną sieć obietnic, spędziła te dziewięćdziesiąt minut w ciemnościach na rzucaniu żelkami w kolegów, plotkowaniu, kto jest, a kto nie jest zaproszony na imprezę nad basenem u Kathy Sharrett na zakończenie roku, oraz wydawaniu pierdzących odgłosów poprzez wpychanie rąk pod pachy.

Nie Gwendy. Ona była zafascynowana. Tego południa, kiedy wróciła do domu, błagała rodziców, żeby kupili jej teleskop. Po żartach negocjacjach, obejmujących jej weekendowe obowiązki domowe, zgodzili się partycypować w kosztach (75% rodzice, 25% Gwendy). W pierwsze sobotnie popołudnie letnich wakacji pojechała z ojcem do sklepu Sears przy drodze 119 w Lewiston i kupili Galaxy 313 StarFinder za trzydzieści procent pierwotnej ceny. Gwendy była uszczęśliwiona.

W tamtą lipcową noc, o której myśli, teleskop został ustawiony w rogu podwórza, zaledwie parę kroków od stołu piknikowego i grilla. Ojciec, który wcześniej wyszedł na dwór, chrapał w ogrodowym fotelu, a obok niego na świeżo skoszonej trawie leżało kilka pustych puszek po piwie Black Label. Po chwili zjawiała się matka i otuliła go włochatym czerwonym kocem z kanapy w salonie. Potem dołączyła do córki przy teleskopie.

– Spójrz, mamó – zaproponowała Gwendy, odsuwając się na bok.

Pani Peterson spojrzała w okular. To, co zobaczyła – skrzyżowany pierścień migotliwych gwiazd, jasnych i błyszczących jak cenne diamenty – zaparło jej dech w piersi.

– To gwiazdozbiór Skorpiona – wyjaśniła Gwendy. – Składa się z czterech oddzielnych gromad gwiazd.

– Jest piękny.

– W niektóre noce, przy dobrej pogodzie, widać wielką czerwoną gwiazdę w samym środku. Nazywa się Antares.

Wokół nich w ciemności tańczyły świetliki. Gdzieś dalej przy ulicy zaczął szczekać pies.

– To jak zagłądanie przez okno do nieba – powiedziała pani Peterson.

– Czy ty... – Nagle do głosu Gwendy zakradła się niepewność. – Czy ty naprawdę myślisz, że...

Matka odsunęła się od teleskopu i spojrzała na córkę, która już nie wpatrywała się w nocne niebo.

- Czy naprawdę co myślę, skarbie?
- Czy naprawdę myślisz, że istnieje niebo?

Pani Peterson poczuła nagle tak gwałtowny przyływ miłości do córki, że aż zabolą ją serce.

- Myślisz teraz o babci Helen? – spytała.

Jej matka zmarła wiosną tego roku na skutek komplikacji we wczesnym stadium cukrzycy. Miała zaledwie sześćdziesiąt jeden lat. Cała rodzina ciężko to zniosła, zwłaszcza Gwendy. To było jej pierwsze bliskie spotkanie ze śmiercią.

Nie odpowiedziała.

- Chcesz wiedzieć, w co wierzę?

Gwendy powoli uniosła wzrok.

- Tak – odparła.

Pani Peterson obejrzała się na męża. Przekręcił się na bok, plecami do nich, i już nie chrapał. Koc spadł na trawę. Ponownie spojrzała na córkę stojącą w ciemnościach i była zaszokowana tym, jak mała i krucha wydawała się ta jedenastolatka.

– Po pierwsze, przypomnij sobie dokładnie, co przed chwilą powiedziałam. Zapytałam, czy chcesz wiedzieć, w co wierzę, tak? Nie zapytałam, czy chcesz wiedzieć, co myślę. To dwie różne rzeczy. Czy to ma sens?

- Chyba tak.

– Myślenie najczęściej związane jest z logiczną albo intelektualną dedukcją. I to dobrze. Jak te rzeczy, których cię uczą w szkole. Logiczne myślenie prowadzi do nauki, a nauka prowadzi do wiedzy. Dlatego tyle wiesz o tylu interesujących rzeczach, jak ten gwiazdozbiór Skorpiony.

- Skorpionia.

– No właśnie. – Pani Peterson zmierzwiła córce włosy. – Ale wiara... to coś zupełnie innego. Coś znacznie bardziej... osobistego.

– To znaczy, że jak Olive Kepnes wierzy w obcych i potwora z Loch Ness, to jest jej osobisty wybór?

– To jedna strona medalu. Ale myślałam o Bogu. Biblia mówi nam, że On jest prawdziwy, są o Nim setki opowieści, ale nigdy nie widzimy Go na własne oczy, prawda? I nikt, kogo znamy... nikt z żyjących obecnie ludzi też nigdy Go nie widział. Zgadza się?

– Zgadza się.

– Mimo to wielu z nas wciąż wierzy, że On istnieje. I to przekonanie, płynące głęboko z serca i duszy, niekiedy nawet wydające się zaprzeczać logice, to jest właśnie wiara.

– Uczyliśmy się o tym dawno temu w szkółce niedzielnej.

– No właśnie. Ja wierzę, że istnieje Bóg sprawujący pieczę nad wszystkim, co stworzył, i wierzę, że istnieje cudowne miejsce czekające na tych wszystkich, którzy próbują żyć pobożnie. Nie wiem, jak wygląda raj ani gdzie się znajduje, ani czy to w ogóle jest fizyczne miejsce. Właściwie trochę wątpię w ten scenariusz z aniołami w białych szatach, fruującymi na obłokach i grającymi na harfach.

Gwendy zachichotała i pani Peterson znowu poczuła ten ból w sercu. To nie był przykry ból.

– Ale tak, wierzę, że raj istnieje i babcia Helen teraz tam jest.

– Ale dlaczego wierzysz w te rzeczy?

– Rozejrzyj się dookoła, Gwendy. Powiedz mi, co widzisz.

Gwendy spojrzała na lewo i na prawo, a potem podniosła wzrok na niebo.

– Widzę drzewa i domy, i gwiazdy, i księżyc.

– A co słyszysz?

Przechyliła głowę na bok.

– Słyszę gwizd pociągu... szczekanie owczarka Robinsonów... samochód z zepsutym tłumikiem.

– Co jeszcze? Teraz posłuchaj uważnie.

Gwendy znowu przechyliła głowę, tym razem w drugą stronę, a jej matka podniosła rękę do ust, żeby zakryć uśmiech.

– Słyszę szum wiatru w gałęziach drzew. I hukanie sowy!

Pani Peterson się roześmiała.

– Teraz powiedz mi szybko, jakie jest twoje ulubione wspomnienie o babci Helen.

– Jej świąteczne ciasteczka – odparła od razu Gwendy. – I jej bajki! Uwielbiałam jej bajki na dobranoc, kiedy byłam mała!

– Ja też – przyznała pani Peterson. – Teraz popatrz znowu przez teleskop. Gwendy posłuchała.

– Wszystkie te rzeczy... i dużo więcej, mój Boże, znacznie więcej, kochanie – powiedziała matka. – Pomyśl o swoim dziadku Charliem i swojej najlepszej przyjaciółce Olive, pomyśl o tych twoich zdumiewających gromadach gwiazd i zanim dzisiaj pójdziesz spać, obejrzyj się dokładnie w lustrze... Właśnie dlatego wierzę. Myślisz, że te wszystkie cuda mogłyby istnieć bez Boga? Ja nie. I myślisz...

Zanim dokończyła zdanie, nocne niebo przecięła spadająca gwiazda. Patrzyły na nią z zapartym tchem, dopóki w końcu rozjarzyła się i zgasła. Pani Peterson objęła córkę i przyciągnęła do siebie. Kiedy ponownie się odezwała, mówiła prawie szeptem i Gwendy zorientowała się, że matka płacze albo zaraz się rozpłacze.

– I czy myślisz, że Bóg stworzyłby te wszystkie cuda i nie stworzyłby raj, żeby dopełnić swego dzieła? – Pokręciła głową. – Ja nie.

– Ja chyba też nie – mówi teraz Gwendy, stojąc przed sięgającym od podłogi do sufitu oknem w obserwatorium pogody. I może po raz pierwszy w dorosłym życiu naprawdę w to wierzy. Ma idealny widok z lotu ptaka na Ziemię poniżej, ale nie poświęca jej nawet jednego spojrzenia. Zamiast tego wpatruje się w odległe tajemnice nieskończonego kosmosu i szepcze: – Dla mnie ty byłaś największym cudem ze wszystkich, mamó.

## DZIEŃ 5 NA MANY FLAGS.

Gwendy prawie dotarła do kafeterii; czuje już zapach rozmrożonej jajecznicy i kiełbasek w przyjemnie przefiltrowanym powietrzu Szprychy Cztery, kiedy sobie uświadamia, że zostawiła czerwony notes w apartamencie. Wcześniej położyła go na stoliku obok laptopa, kiedy pisała krótki mail, żeby na pewno go nie zapomnieć. Ale, jak to się ostatnio często zdarza, oczywiście zapomniała. ND, karcni się w myślach i obraca w pół skoku jak ninja z tych śmiesznych filmów o sztukach walki, za którymi tak przepadał Ryan.

Mimo tego drobnego potknięcia dzisiaj jest dobry dzień. Może nawet wspaniały dzień. Po raz pierwszy, odkąd opuścili ziemską atmosferę... Kogo ja nabieram? – myśli Gwendy. Po raz pierwszy od pięciu czy sześciu lat przespała spokojnie całą noc. Śniło jej się, że biwakują z Olive Kepnes na tylnym podwórzu jej domu w Castle Rock. Opiekały pianki, kartkowały nowy numer czasopisma „Teen Beat” (Shaun Cassidy, o Boże, ale ciacho!) i chichotały, plotkując o przystojnych chłopcach, dopóki nie wzeszło słońce.

Kiedy się obudziła, piętnaście minut przed godziną, na którą nastawiła budzik, czuła się jak całkiem nowa kobieta: kipiąca energią i determinacją, i co najważniejsze, z jasnym umysłem. Nie zapominaj o nadziei, powiedziała do swojego odbicia w zaparowanym lustrze po długim odprężającym prysznicu. Jeszcze dwa dni i całe to szaleństwo się skończy.

Nuci motyw muzyczny z serialu *Rodzina Soprano* i dosłownie frunie głównym korytarzem Szprychy Jeden, kiedy wpada na doktora Glena zmierzającego w przeciwnym kierunku. Dale podnosi wzrok, widzi ją i uśmiecha się szeroko.

– Ktoś tu dzisiaj wstał prawą nogą.



– Absolutnie, doktorze. Jestem wolną kobietą. Żadnych telekonferencji, żadnych rozmów, żadnych obowiązków pogodynki. Dzisiaj nie mam zupełnie nic w programie. Po śniadaniu mogę z powrotem wskoczyć do łóżka i wylegiwać się przez cały dzień. Więc pytam, kto ma lepiej ode mnie?

Lekarz unosi brwi, prześlizgując się obok niej na czubkach palców.

– Chyba nikt, przynajmniej tu, na górze.

– Do zobaczenia za chwilę na śniadaniu – mówi Gwendy i macha wesoło. – Muszę tylko zabrać coś z pokoju.

– Mam na ciebie poczekać?

– Nie trzeba, idź. Zaraz cię dogonię.

Gwendy wciąż się uśmiecha, kiedy otwiera drzwi swojego apartamentu. Robi kilka kroków do środka... i zamiera.

Gareth Winston klęczy na jednym kolanie przed szafą w salonie. Drzwi szafy są otwarte, zapasowy kombinezon ciśnieniowy odsunięty na bok. Gwendy widzi jakiś gadżet – lśniący czarny metal, nie większy od iPhone'a – podłączony do klawiatury sejfu. Kilka ciemnych kabli biegnie od podstawy gadżetu do czegoś przypominającego mały kalkulator z cyfrowym wyświetlaczem. Winston trzyma ten niby-kalkulator w rękach. Kiedy Gwendy wpada do pokoju, miliarder upuszcza przedmiot i gramoli się na nogi, a gadżet opada na podłogę.

– Co ty tu robisz? – Gwendy już zna odpowiedź. Może ma uszkodzony mózg, ale nie jest głupia. – Masz pojęcie, w jakie kłopoty się wpakowałeś? Majstrowanie przy tajnych materiałach to przestępstwo federalne.

– Nie sądzę, żebym miał jakieś kłopoty, pani senator. – Winston nerwowo strzela oczami na boki, ale głos mu nie drży.

– Zobaczymy, co o tym powie komandor Lundgren. – Gwendy odwraca się do wyjścia.

Szybki jak grzechotnik (i dwa razy bardziej jadowity, zdążyła pomyśleć), Winston skacze przez pokój niczym skorpion Boris i chwyta ją za ramię. Gdyby nie widziała tego na własne oczy, nigdy by nie uwierzyła, że ten człowiek potrafi się

tak szybko poruszać. Oczywiście to przez małą grawitację, przebiega jej przez głowę. Winston wbija palce w jej ciało, ciągnie ją na środek salonu i popycha na kanapę.

– Nawet gdybyś jakoś mi się wyrwała, będzie za późno, zanim kogoś sprowadzisz.

– Jak to za późno?

– Widzisz to czarne pudełeczko? – Wskazuje gadżet podłączony do klawiatury sejfu. – Ten cud techniki nazywa się LockMaster trzy tysiące. Jest powszechnie dostępny za niewiele więcej niż koszt porządnego laptopa. Zwykle potrzebuje najwyżej dziesięciu minut, żeby zresetować czterocyfrową kombinację i wprowadzić nowy szyfr. Sejfy na Many Flags są trochę bardziej skomplikowane, pewnie dlatego, że TET spodziewa się, że kiedyś tu, na górze, będą mieszkać wpływowi ludzie, ale w końcu LockMaster sobie poradzi. Może to zajmie dwadzieścia minut albo nawet pół godziny, ale dostanie się do środka, o tak.

– Wrócę tu dużo szybciej niż za pół godziny... i sprowadzę pomoc.

Winston z namysłem drapie się w podbródek.

– Zakładając, że pozwolę ci wyjść. Pewnie z twojej strony to usprawiedliwione założenie... jako senator jesteś przyzwyczajona chodzić, dokąd chcesz i kiedy chcesz... ale tym razem założenie jest błędne. Nie chcę posuwać się do rękoczynów, moja droga, dlaczego jednak miałbym cię wypuścić na wolność, zanim zdobędę pudełko z guzikami? A jak już je dostanę do rąk... O rany! Kto wie, co się może zdarzyć?

Kiedy Gwendy słyszy słowa „pudełko z guzikami” padające z ust Garetha Winstona, przez jedną straszną chwilę wydaje jej się, że zemdleje. To byłoby bardzo źle, myśli. To byłby koniec wszystkiego.

– Co wiesz o pudełku z guzikami?

– Za mało. Liczyłem, że uzupełnisz moją wiedzę.

– Nigdy.

Winston się uśmiecha.

– Powiedziane, jak przystało na prawdziwą filmową bohaterkę, ale myślę, że się zgodzisz.

– Przejdźmy do rzeczy, okay? Siedzimy i czekamy, aż twój gadżecik zrobi swoją robotę, zdobywasz pudełko i co wtedy?

– Wtedy masz nieszczęśliwy wypadek. Jeśli pudełko tego nie załatwi, sam coś przygotowałem.

Gwendy uśmiecha się, lecz jest to uśmiech pozbawiony wesołości.

– Wszyscy się dowiedzą. Mój Boże, przecież musisz to rozumieć. Pójdiesz do więzienia... federalnego więzienia, nie jakiegoś stanowego pierdla... na resztę życia.

– Nie sądzę – odpowiada Winston, kręcąc głową tak gwałtownie, że mięsiste policzki trzęsą mu się jak galareta. – Kilka osób na pokładzie podejrzewa, że jesteś... Jak by to ująć? Niepełnosprawna umysłowo.

– Test kognitywny...

– Sam Drinkwater i Dave Graves podejrzewają, że jakoś oszukiwałaś... że nikt by nie uzyskał tak dobrych wyników jak ty.

– Tracę rozum, ale wciąż jestem dostatecznie bystra, żeby oszukiwać?

Miliarder prycha.

– Chyba właśnie opisałaś większość twoich kolegów w Kongresie i w Senacie, nie wspominając o samym prezydencie. Ale nie mówmy o polityce. Wróćmy raczej do ciebie. Śmiertelny wypadek oczywiście spowoduje żałobę... będziesz bohaterką narodową, może twoja twarz znajdzie się na znaczku pocztowym, nie wspominając o milionie koszulek... ale nikt się specjalnie nie zdziwi. Przynajmniej nie bardzo. Zaburzenia umysłowe tak wyraźne, że musiałaś poddać się testowi? Nie zdziwiłbym się nawet, gdyby niektóre szychy w korporacji TET wyleciały przez to z posad. Media powiedzą, że należało wcześniej wykryć twoją chorobę, że ktoś pokpił sprawę. Niewątpliwie oskarżą również doktora Glena.

– Wysłałam maile – oznajmia Gwendy, wskazując laptop na stoliku. – Moi przyjaciele na wysokich stanowiskach w Stanach wiedzą o tobie wszystko. Na

przykład że ukradłeś szyfr do kasetki.

Jaszczurczy uśmiech znika z twarzy Winstona. Możliwe, że nie wziął tego pod uwagę.

– Podejrzenie to jedno, ale mocny dowód to całkiem co innego. A to będzie praktycznie niemożliwe bez świadków.

Wyciąga z kieszeni mały przedmiot i pokazuje jej. Wygląda jak szminka w tym samym dziwnym, jaskrawym odcieniu zieleni co chrysler na wideo z Derry. Kreskówkowa zieleń. Oczy bolą od patrzenia, więc Gwendy odwraca wzrok.

– Dał mi to dobry przyjaciel – mówi Winston. – Nie mam pojęcia, z czego jest zrobione, ale powiem ci jedno: jest praktycznie niewykrywalne przez nowoczesne systemy bezpieczeństwa. I jest zabójcze. Musisz tylko wycelować, a potem przekreślić to małe metalowe kółko na końcu. Jedno psiknięcie i twoje wnętrzności zmieniają się w galaretę. W tym pojemniku jest dość płynu, żeby w razie potrzeby wystarczyło na całą załogę.

– I jak wrócisz? Sam zaprowadzisz statek do domu? – spytała i zanim zdążyła się powstrzymać, dodała: – Twój mały jasnowłosy przyjaciel nauczył cię tego, prawda?

Zanim Gwendy ma czas zareagować, Winston przyciska ją do oparcia kanapy i napiera na jej gardło mięsistym przedramieniem. W jego oczach szaleje burza i przez jedną przerażającą chwilę Gwendy ma pewność, że ten człowiek zaraz ją zabije.

– Skąd wiesz o Bobbym?

– Wi... widziałam to we śnie – udaje jej się wykrztusić. – Siedziałeś obok niego w samochodzie. W zielonym samochodzie.

Po raz pierwszy Winston traci pewność siebie. I wyraźnie się boi.

– Więc wiesz dość, żeby nie pogrywać z tymi ludźmi. – Zdejmuje przedramię z jej gardła. – Myślę, że Bobby to nie jest jego prawdziwe imię, i wydaje mi się, że on nie jest człowiekiem. On i jego przyjaciele traktują sprawy poważnie, i ja też. – Milczy przez chwilę. – Ale jest piękny. Jak anioł. Tylko że czasami widać, że jest

w nim coś jeszcze, jego prawdziwa osobowość, która nie jest już taka piękna. – Zniża głos. – Jego prawdziwa osobowość ma siersć.

Z oczu Gwendy nagle płyną łzy. W myślach karci się za okazywanie słabości. Podnosi drżącą rękę do szyi i rozciera obolałe mięśnie. Ma wrażenie, że w środku coś pękło.

– Jeśli zabijesz mnie i resztę załogi, zostaniesz tu uwięziony. Umrzesz tutaj, Winston.

Na jego tłustą twarz powraca paskudny uśmieszek.

– Powiedzmy, że podrzucają mnie moi chińscy przyjaciele.

– Nigdy ci nie pozwolą... – Gwendy milknie, kiedy uświadamia sobie znaczenie jego słów. – Oni... ty... ty sukinsynu, dałeś im łapówkę.

– Nie nazwałbym tego łapówką. – Winston chichocze w pięść. – Łapówki są dla frajerów, moja droga. To była inwestycja w ich przyszłość.

– Dlaczego to robisz? Dla pieniędzy? – Niech on mówi dalej, niech mówi dalej.

– Nie bądź głupia. Mam więcej pieniędzy, niż mógłbym wydać przez tysiąc lat.

– Więc dlaczego? – pyta Gwendy niemal błagalnie. – Dlaczego tak bardzo tego chcesz?

– To długa historia. – Winston ogląda się na szafę, gdzie LockMaster trzy tysiące pracowicie wykonuje swoje zadanie. – Ale skoro mamy trochę czasu, czemu nie? – Opiera stopy na stoliku do kawy i zakłada ręce za głowę, jakby był w domu albo w swojej łoży dla VIP-ów na stadionie MetLife i oglądał mecz Giantsów z Eaglesami w niedzielne popołudnie. – W październiku dwa tysiące dwudziestego czwartego roku byłem w St. Louis na pogrzebie ojca...

*DOM POGRZEBOWY NAZYWA SIĘ Broadview i Synowie. Po podpisaniu rachunku Gareth Winston wynosi się stamtąd jak najszybciej. Nienawidzi domów pogrzebowych. Prawie równie mocno, jak nienawidził ojca.*

*To historia stara jak świat: żadne osiągnięcia kochającego syna nie wystarczyły, żeby usatysfakcjonować zbyt wymagającego ojca z ostrym jak brzytwa językiem, więc w końcu syn po prostu przestał się starać.*

*Lawrence Winston III, znany również jako kochany tatuś, zbił niewielką fortunę, sprzedając nieruchomości komercyjne oraz inkasując czeki za wynajem niemal pięciuset dwu- i trzypokojowych mieszkań w kilku miejskich wieżowcach. Pod koniec lat osiemdziesiątych felietonista z „The St. Louis Post-Dispatch” nazwał Winstona seniora „królem slumsów na pół etatu i królem drani na pełny etat”. Kiedy Gareth w wieku trzydziestu trzech lat zarobił swój pierwszy miliard, wysłał do ojca FedExem ręcznie napisany liścik na papierze firmowym:*

*Wciąż mam piętnaście kilogramów nadwagi. Wciąż nie umiem podkręcić piłki ani trafić do dołka. Wciąż nie mam dyplomu uczelni z Ligi Bluszczowej. I wciąż nie ożeniłem się z piękną katolicką dziewczicą zza rzeki. Ale jestem obrzydliwie bogaty, a ty nie. Życzę wszystkiego najgorszego.*

*Gareth*

*Przykrą prawdą jest, że gdyby nie matka – którą Winston wciąż uwielbia i stawia sobie za punkt honoru, żeby dzwonić do niej w każdy niedzielny wieczór, z każdego miejsca na świecie, odkąd wyjechał na studia – nie przyjechałby do domu nawet na pogrzeb, a co dopiero mówić o pokryciu rachunku. Matka błagała*

*go jednak przez telefon i jest jedyną osobą na świecie, której Winston nie potrafi odmówić. Banalne, ale prawdziwe.*

*Po nieuniknionym przyjęciu czeka na niego samochód, żeby odwieźć go do hotelu, w którym wynajął apartament, lecz Winston postanawia się przejść. Potrzebuje świeżego powietrza, a poza tym nie jadł śniadania i umiera z głodu. Maszerując szybkim krokiem, przecina McKinley Avenue, wchodzi w South Euclid, a potem skręca w lewo na Parkview. Tam zatrzymuje się, żeby kupić trzy hot dogi i butelkę dietetycznej pepsi od ulicznego sprzedawcy, po czym sadowi opasłe cielsko na pustej ławce z widokiem na północno-wschodni narożnik parku Forest. Widzi stamtąd blade owal ślizgawki – zostało jeszcze sześć tygodni do weekendu jej otwarcia – a także siódmy fairway pola golfowego Highlands, na którym zagra po swoim trupie. Golf jest tylko dla płotek.*

*Wyciera kapkę musztardy z koszuli, kiedy do krawężnika obok podjeżdża odblaskowo zielony chrysler. Wydaje się długi na dwa kilometry. Winston rzuca okiem na samochód, ale nie potrafi określić, w którym roku zjechał z linii montażowej. Wie tylko, że wóz wydaje się bardzo stary i w idealnym stanie i że jeszcze nigdy takiego nie widział. Ciekawe, czy jest na sprzedaż, myśli leniwie.*

*Szyba po stronie kierowcy się opuszcza. Mężczyzna z krótkimi blond włosami i niesamowitymi szmaragdowymi oczami, z dolną połową twarzy zasłoniętą czerwoną chustką, wychyla głowę z samochodu i mówi:*

*– Wskakuj. Przejedziemy się.*

*Winston się uśmiecha. Zawsze lubił bezczelnych drani, bo sam taki jest przez całe życie.*

*– Bardzo pan miły, ale nic z tego. – Chce już zapytać nieznajomego, dlaczego nosi maseczkę, których prawie nikt już nie używa, odkąd pojawiły się szczepionki, ale tamten nie daje mu dojść do głosu.*

*– Nie mam czasu, panie Winston. Proszę wsiadać.*

*Winston mruży oczy.*

– Skąd wiesz, jak się nazywam? – Odpowiedź wydaje się oczywista: zobaczył zdjęcie w gazecie albo na którymś kanale biznesowym, gdzie Gareth Winston jest stałym gościem. – Kim jesteś?

– Przyjacielem. I wiem o panu dużo rzeczy, panie Winston.

Z powodu czerwonej chusty Winston nie widzi ust nieznanego, ale jest pewien, że facet się uśmiecha.

– Nie wiem, co ty sobie, do cholery, wyobrażasz, że z kim rozmawiasz, ale...

– Kiedy miałeś dwanaście lat, włamałeś się do domu sąsiadów, którzy wyjechali na wakacje. Frank i Betsy Rhinemanowie. Mili ludzie. Szkoda, że ich syn zmarł tak młodo.

– Skąd wiesz...?

– Zdjąłeś kąpielówki, które miałeś na sobie, i założyłeś majteczki pani Rhineman... bladożółte z czarnym koronkowym wykończeniem, bez falbanek... zjadłeś lodową kanapkę, którą znalazłeś w zamrażarce, i pograłeś w bilard w pokoju gier. Potem, zanim znowu przebrałeś się w kąpielówki i pobiegłeś do domu na kolację, wszedłeś na górę i masturbowałeś się na narzutę w gościnnej sypialni Rhinemanów.

– Kłamiesz! – ryczy Winston, płosząc młodą matkę, która mija go, pchając wózek dziecięcy. Kobieta szybko przechodzi na drugą stronę ulicy, byle dalej od niego. – Przestań natychmiast! – Twarz miliardera poczerwieniała jak burak, oczy wychodzą z orbit.

– Wciąż masz te żółte majtki, do dzisiaj. Są schowane w skrytce depozytowej w twoim banku w Newark. Razem z kilkoma innymi równie nieapetycznymi trofeami.

– Gównu prawda! Łziesz jak pies!

– Chcesz usłyszeć więcej?

Winston milczy przez chwilę; jego szeroka pierś unosi się i opada w ciężkim oddechu. Potem pyta cichym głosem:

– Czego chcesz?



– Złożyć ci ofertę. Tak hojną ofertę, jakiej nigdy jeszcze nie otrzymałeś. Wsiadaj pan do samochodu, panie Winston. Pogadamy.

– To za dobre, żeby było prawdziwe, więc pewnie to ściema. – Ale Winston już wstaje z parkowej ławki, zostawiając śmieci po lunchu, i podchodzi do samochodu.

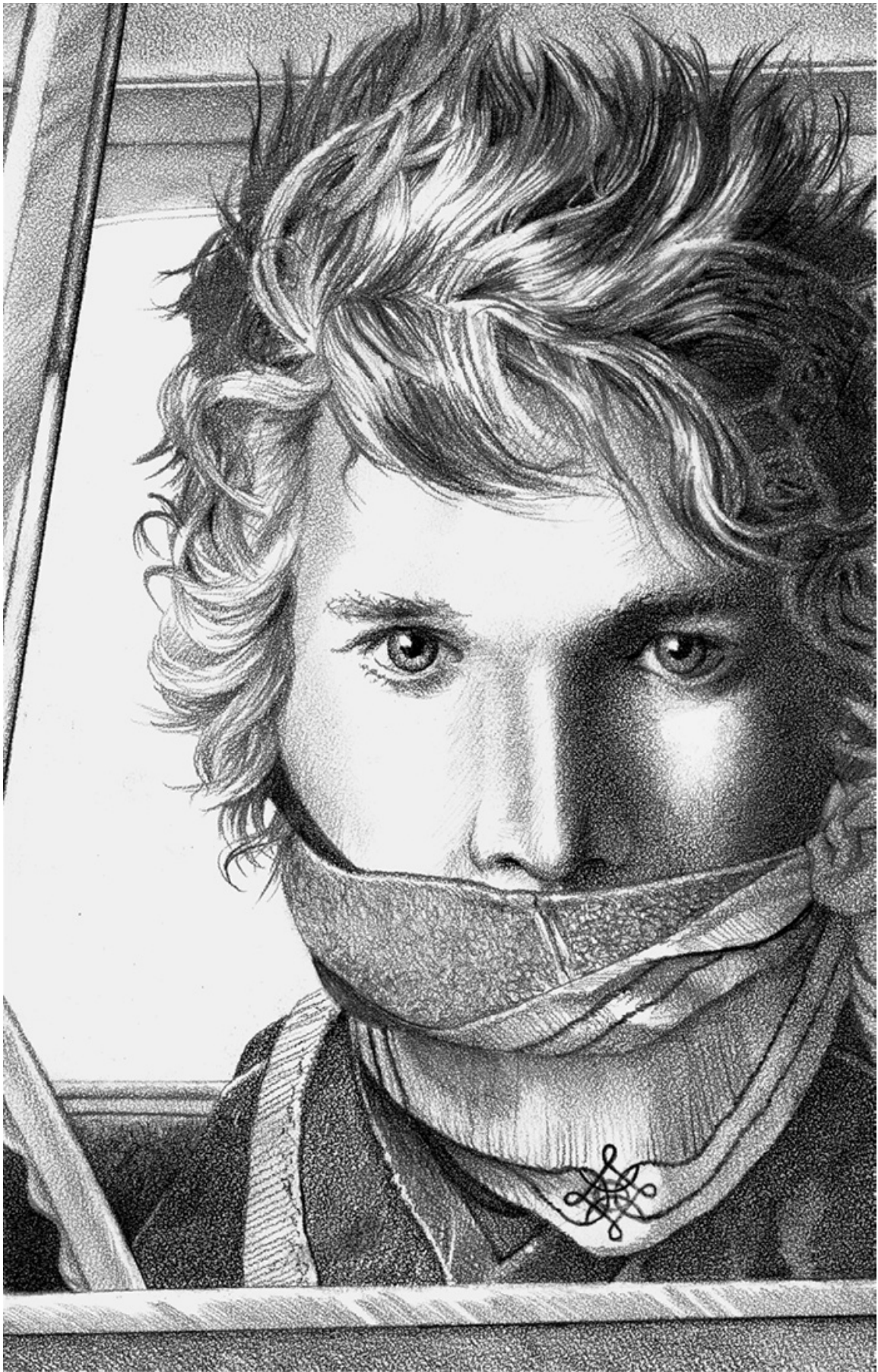
– Możliwe – przyznaje nieznajomy i zdejmuje chustkę z twarzy.

Winston spogląda na niego, raz, potem drugi i trzeci. I nagle nie ma już żadnych wątpliwości, czy powinien wsiąść do tego samochodu. Nie jest gejem – nigdy nie uważał męskiego ciała za atrakcyjne, zwłaszcza własnego – ale jasnowłosa mężczyzna jest tak oszałamiająco piękny, że Winston chce ująć w dłonie jego twarz i pocałować go. Chce poczuć smak tych ust i ciepło tego oddechu. On wygląda jak anioł, myśli, otwierając drzwi po stronie pasażera. Wsuwa się na fotel i gdy tylko zamyka drzwi, z podstawy jego czaszki wznosi się donośne brzęczenie, jakby tysiące much pełzały po gnijącym ściernie. Odwraca się do mężczyzny, kiedy samochód odjeżdża od krawężnika.

– Dokąd jedziemy?

– Tylko kawałek dalej i za róg. Dla odrobiny prywatności.

Na dźwięk słowa „prywatność” zimny dreszcz przebiega po kręgosłupie Winstona. Natychmiast czuje ucisk w kroczu. Mężczyzna jedzie na wschód, mija dwie przecznice i skręca na parking opuszczonego magazynu. Objeżdża parking dookoła i zatrzymuje się przed pustą rampą załadunkową. Winston widzi odłamki potłuczonego szkła, zardzewiałe igły i zużyte kondomy leżące na asfalcie obok samochodu. Ale nie zwraca na to uwagi. Podobnie jak nie zwraca uwagi na uporczywe brzęczenie pod czaszką. Teraz liczy się tylko jasnowłosa anioł siedzący obok niego.



*Mężczyzna wyłącza silnik i odwraca się do niego.*

*– Pozwól, że się przedstawię jak należy. – Wyciąga prawą rękę. – Mam na imię Bobby.*

*Winston ujmuje rękę, której skóra jest gładka i przyjemna w dotyku jak ciepłe masło. Ucisk w jego kroczu przeradza się w rytmiczne pulsowanie.*

*– Nie będę mówił długo o tym, co mam ci do zaoferowania – obiecuje nieznajomy. – Ale chcę, żebyś mnie wysłuchał bardzo uważnie.*

*Winston, tonący w oszołomieniu, powoli kiwa głową.*

*– Moi współpracownicy i ja zdajemy sobie sprawę z pańskiego wielkiego bogactwa, panie Winston. Ale, jak pan wie, istnieją inne kryteria, według których ocenia się czyjeś dziedzictwo. – Nachyla się tak blisko, że Winston czuje, jak obmywa go oddech mężczyzny. Szeroko otwarte oczy Winstona jeszcze bardziej się rozszerzają. – Władza. Kontrola. Terytorium. Istnieją inne światy oprócz tego. Wiele światów. Możesz rządzić jednym z nich. Nie jedną firmą, nie jednym kontynentem, ale całym światem. I możesz nim rządzić przez wieczność.*

*Brzęczenie w głowie Winstona ucichło. Teraz słyszy coś innego: odległy szum fal rozbijających się o skalisty brzeg. Podoba mu się pomysł rządzenia światem. Komu by się nie spodobał? Oczywiście to bzdura, ale byłoby bardzo miło. Wręcz wspaniale. Widzi siebie w zamku nad morzem... słuchającego szumu fal... tysięcy ludzi bijących mu pokłony. Cholera, dziesięć tysięcy, jak śpiewają Beach Boys! Czy to nie byłoby przyjemne?*

*– Potrzebujemy od ciebie tylko pewnego przedmiotu. Ma go kobieta, Gwendolyn Peterson...*

*– Ta senator?*

*– Tak, ona. Możemy sami spróbować go odebrać... właściwie nawet próbowaliśmy... ale Wieża jest silna.*

*– Jaka Wieża? – pyta Winston nie swoim głosem.*

*– Jedyna, która się liczy. – Jasnowłosa mężczyzna kładzie rękę na kolanie Winstona. Ten drży z przyjemności. Może jednak jest gejem... przynajmniej*

w obecności tego mężczyzny. – Gwendolyn Peterson ma to, czego potrzebujemy, żeby zniszczyć Wieżę. Musisz to znaleźć i nam przynieść. Jesteś bardzo bogaty i masz koneksje polityczne, wyjątkowo nadajesz się do tego zadania.

– Oszalałeś. – Ryk oceanu potężnieje w głowie Winstona.

– Zamknij oczy – rozkazuje Bobby.

Winston jest bezradny, nie może się sprzeciwić. Jakby został zahipnotyzowany. Czuje na twarzy pocałunek chłodnej bryzy i zapach soli w powietrzu. A potem czuje jej smak na języku – ocean! Huk fal rozbijających się o brzeg narasta, teraz nie tylko w jego głowie, ale też wszędzie dookoła. Gdzieś w górze skrzeczy ptak – jakiś gatunek mewy – i odpowiada mu chór ptasich wrzasków.

– Teraz otwórz oczy.

Gareth Winston otwiera oczy i nie siedzi już w zielonym chryslerze przed opuszczonym magazynem w St. Louis. Zamiast tego siedzi obok blondyna na łące, na trawie smaganej wiatrem. Wstaje i spogląda w dół, na szmaragdową kipieli morskiej wody. Setki metrów niżej białogrzywe fale rozbijają się o nieskończony ciąg poszarpanych skał i piasku. Niebo nad nim przecinają pasma żółci i purpury, a ptaki – setki ptaków! – szybują na wietrze. Nad wodnym horyzontem wstaje słońce o barwie nasyconego szkarłatu.

To jest prawdziwe, myśli Winston. Mój Boże, to jest prawdziwe.

– Co ty mi zrobiłeś?

– Proszę się odwrócić, panie Winstone.

Odwraca się. Powoli. Jak we śnie, chociaż to nie jest sen.

Jasnowłosa mężczyzna wskazuje na zachód, na odległe miasto rozciągające się daleko jak okiem sięgnąć. Poranne słońce odbija się w oknach niezliczonych wysokich budynków. Poprzez lśniącą metropolię wije się skomplikowana sieć dróg i mostów. Z tej odległości Winston nie potrafi określić rodzaju pojazdów, które się po nich poruszają, ale jest ich wiele. Na niebie ponad miastem nie widać ani śladu smogu czy zanieczyszczeń.

– Jakie jest duże? – pyta Winston z podziwem.

– Większe niż Nowy Jork, Chicago i Los Angeles razem wzięte. I wciąż się rozrasta. Otoczone przez prawie dwadzieścia tysięcy hektarów dziewiczych lasów.

Winston gwizdże z aprobatą.

– Jest jeszcze ponad dwadzieścia takich miast jak to, rozproszonych po świecie, który ci ofiarowuję.

Winston pokazuje palcem na długą, ciemną bliznę gołej ziemi kilka kilometrów przed nimi. Małe czarne figurki biegają tam i z powrotem w chwiejnych szeregach niczym pracowite mrówki.

– Co tam jest?

– Tam jest twoja kopalnia diamentów – odpowiada mężczyzna i radosny uśmiech rozjaśnia jego twarz.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

Po raz pierwszy, odkąd Gareth Winston wstał z parkowej ławki, dochodzi do głosu jego dawna osobowość. W jego oczach błyska chciwość... i głód.

– A tam – kontynuuje jego nowy przyjaciel, wskazując na potężny zamek, który rozsiadł się na grzbiecie wzgórza ponad oceanem – jest twój dom. Jeden z wielu, powinienem dodać. Tylko w tej rezydencji zatrudniasz... nazwijmy to tak, bo nikomu nie płacisz pensji... ponad dwustu mężczyzn i kobiet z sąsiedniej wioski. W zamian za lojalną służbę pozwalasz im uprawiać i hodować własną żywność wolną od podatków.

– Oczywiście – mamrocze Gareth. Mimo oszołomienia jego biznesowy mózg pracuje na całego. – I może zapewnię im opiekę medyczną. Ludzie, którzy myślą, że lojalności nie można kupić, to idioci. Powinny być jakieś świadczenia emerytalne... przynajmniej dla tych w moim bezpośrednim otoczeniu...

Bobby się śmieje. Zęby, które na chwilę odsłania, nie wyglądają jak zęby anioła – żółte i zakrzywione, przypominają zęby szczura.

– Widzisz? Już zaczynasz planować. Z twoim wyjątkowym umysłem powinieneś być znakomitym władcą. A z upływem lat, dziesięcioleci... wieków!... staniesz się

*nie człowiekiem, ale bogiem dla tych, którymi będziesz rządził.*

*– I są tam kobiety? – Z każdą mijającą chwilą Winston coraz bardziej przypomina swoje dawne „ja”. – Chociaż i tak nigdy nie miałem do nich szczęścia.*

*– Szczęście nie ma tu nic do rzeczy. Nie, kiedy jesteś królem. Nie, kiedy jesteś młody, silny i przystojny.*

*Winston się śmieje.*

*– Nie jestem już taki młody ani silny. I nigdy nie byłem przystojny, niestety.*

*– Z całym szacunkiem, nie zgadzam się, panie Winston. – Jasnowłosa mężczyzna wskazuje za jego plecy. – Proszę spojrzeć.*

*Kiedy Winston się odwraca i widzi wysokie, ozdobne lustro w błyszczącej złotej ramie, stojące w wysokiej trawie na wypolerowanych, ręcznie rzeźbionych dębowych nogach – szczęka mu opada. Na widok swojego odbicia w lustrze zachłystuje się powietrzem.*

*Wydaje się równie młody i szczupły jak w dniu, kiedy wyjechał z domu na studia.*

*– Tutaj, w twoim świecie, zawsze będziesz tak wyglądał. A jeśli chodzi o to, czy jesteś przystojny, chociaż nigdy się za takiego nie uważałeś z powodu nieustannej krytyki twojego ojca, to w swoim czasie byłeś... i tutaj pozostaniesz na zawsze, jak sam widzisz... młodym, bardzo atrakcyjnym fizycznie mężczyzną. Ojciec ukradł ci najcenniejszy dar, jaki może mieć młody człowiek: pewność siebie. – Blondyn uśmiecha się szeroko. Tym razem jego zęby są bardzo proste i białe. – Ale twojego ojca już z nami nie ma, prawda?*

*– Nie, nie ma. – Winston się rozgląda. – To jest prawdziwe?*

*– Tak.*

*– Mogę tu przyjść jeszcze raz?*

*– Z wizytą tak. Ale nie żeby tu zamieszkać i rządzić... dopóki nie przyniesiesz nam tego, czego chcemy. Pudełka z guzikami.*

*Winston przypomina sobie któreś z zajęć na studiach i pewien cytat. Wtedy go nie rozumiał, ale teraz rozumie.*

*– Jeśli to prawda i jeśli to możliwe, zrobię to. Obiecuję.*

*Mężczyzna – Bobby – odwraca go od lustra, żeby zapewnić sobie jego niepodzielną uwagę.*

*– Gwendolyn Peterson dostała zadanie, żeby raz na zawsze pozbyć się tego dość niezwykłego pudełka, a w jej świecie... oraz we wszystkich innych... jest na to tylko jeden sposób.*

*– Jaki? – pyta Winston.*

*Jasnowłosa mężczyzna przystaje.*

*– Co by pan powiedział na wycieczkę w kosmos, panie Winston?*

– NIE WMAWIAJ MI, że uwierzyłeś w tę naciąganą historyjkę o rządzeniu własnym światem – mówi Gwendy. – Jesteś jednym z najlepszych biznesmenów w historii. Nie wierzę, że wzięłeś chwilę... sama nie wiem... hipnozy za rzeczywistość.

Winston rzuca jej dziwny, znaczący uśmiech.

– A ty w to wierzysz?

Gwendy tak naprawdę wierzy. Jest w stanie uwierzyć w inne światy, ponieważ nie może uwierzyć, że pudełko z guzikami pochodzi z jej świata. Zanim zdążyła otworzyć usta, żeby wypowiedzieć niezbyt przekonujące kłamstwo, rozlega się *biip*.

– Ach! – rzuca Gareth. – Sejf ma już nowy szyfr i można go otworzyć. Więc dlaczego nie...

Zanim dokończył, oba ich telefony wydają wyraźne podwójne brzęknięcie, które oznacza esemesa przychodzącego raczej ze stacji, a nie z Ziemi. Oboje wyjmują telefony, Gwendy ze środkowej kieszeni kombinezonu, Winston z tylnej kieszeni spodni. Gwendy myśli nie bez cierpkiego rozbawienia: Jesteśmy jak psy Pawłowa, kiedy w grę wchodzi te rzeczy. Ważą się losy Ziemi, ale kiedy brzęczy dzwonek, ślinimy się. Albo w tym przypadku czytamy esemesy.

Identyczne wiadomości są od Sama Drinkwatera: **Przyjdiesz na śniadanie?**

– Odpisz mu – rozkazuje Winston. – Napisz, że prowadzimy ważną rozmowę... nie, negocjacje... dotyczące przyszłości programu kosmicznego i żeby zjedli bez nas.

Gwendy ma ochotę powiedzieć Panu Miliarderowi Garethowi Winstonowi, żeby się wypchał... ale milczy.



To się musi skończyć, tu i teraz.

Ta myśl może pochodzić od pana Farrisa. Ale to bez znaczenia. Tak czy owak, to prawda.

Gwendy przysuwa się bliżej do Winstona (fuj!), żeby mógł przeczytać tekst, który zamierza wysłać. Napisała dokładnie to, co kazał, z jednym dodatkiem: **Ważne, żeby nam nie przeszkadzano do 11.00.**

– Doskonale. Teraz otworzę sejf. Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć, na co Bobby się tak napalał. Ty, moja droga, będziesz tu spokojnie siedziała jak grzeczna mała Gwendy. – Pokazuje jej zieloną szminkę. – Chyba że chcesz się przekonać, jakie to uczucie umierać, kiedy twoje wnętrze się rozpuszczają.

Zaczyna się podnosić, ale ona chwyta go za ramię i ciągnie z powrotem. Przy niskiej grawitacji to łatwe.

– Jakoś tego nie ogarniam – odzywa się. – Jeden hipnotyczny trans i już to kupujesz? Nie wierzę. Przecież nie jesteś aż taki głupi. Właściwie wcale nie jesteś głupi.

Winston pewnie zdaje sobie sprawę, że ona tylko próbuje zyskać na czasie, ale i tak puszy się pod wpływem komplementu. Gwendy wpatruje się w niego szeroko otwartymi oczami i robi swoją najlepszą minę „powiedz-mi-więcej”. Zwykle to działa w komisjach senackich (przynajmniej na mężczyzn) i działa również teraz.

– Wracałem do Genesis wiele razy – mówi Winston. – Tak nazywam mój świat. Ładnie, co?

– Bardzo – przyznaje Gwendy i ze wszystkich sił szeroko otwiera oczy.

– Jest całkiem rzeczywisty. Bobby... twierdzi, że nie potrafiłbym wymówić jego prawdziwego imienia... podał mi pewne wskazówki, jak tam przejść. Mógłbym tam przejść teraz, gdybym chciał. Moje wizyty z konieczności są krótkie, ale jak już mu dam... i jego szefom... to twoje pudełko, przeniosę się tam na stałe. – Obdarza ją szerokim, idiotycznym uśmiechem, który każe jej powątpiewać w jego pocztytalność. To będzie wspaniałe.

– To halucynacja – upiera się Gwendy. – Na pewno. Ten cały Bobby wcisnął ci superkit. – Kręci głową. – Wciąż nie mogę uwierzyć, że dałeś się nabrać.

Winston uśmiecha się pobłaźliwie i sięga pod koszulę. Wyciąga wisiorek na srebrnym łańcuszku. To wielki diament w złotej oprawie.

– Z mojej kopalni – oznajmia. – Mam inne w domu na Bahamach, niektóre nawet większe. Ten ma czterdzieści karatów. Dałem jeden podobnej wielkości do wyceny, żeby sprawdzić po pierwsze, czy jest prawdziwy, a po drugie, ile jest wart. Szwajcarski jubiler prawie dostał zawału, kiedy go zobaczył. Zaproponował mi sto dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów, co znaczy, że pewnie jest wart dwukrotnie albo trzykrotnie więcej. – Chowa wisiorek za koszulę. – Genesis jest wystarczająco realny, a kiedy tam przebywam, jestem młody i męski. Kobiety... – Oblizuje mięsiste wargi.

– Rozumiem, że już nie kradniesz majtek – mówi Gwendy.

Piorunuje ją wzrokiem, a potem autentycznie się śmieje.

– Chyba na to zasłużyłem. Nie wiem, dlaczego ci powiedziałem. Nie, już nie kradnę majtek.

Odwraca od niej wzrok, a ona ma nadzieję, że dopóki Winston nie patrzy, zdąży coś złapać i walnąć go w głowę. Tylko że tutaj wszystko jest przymocowane, a w prawie zerowej grawitacji sam pomysł, żeby kogoś znokautować jednym ciosem, jest śmieszny.

Winston znowu na nią patrzy ze smutnym uśmiechem i wygląda niemal sympatycznie... a raczej wyglądałby, gdyby nie groził jej śmiercią i nie zamierzał ukraść pudełka z guzikami, którego miała strzec i ostatecznie się go pozbyć.

– Kiedy Bobby zabrał mnie tam pierwszy raz, przypomniałem sobie coś, co powiedział nauczyciel na lekcji historii starożytnej w liceum. Nie chciałem się uczyć tego cholernego przedmiotu, zwykle wagarowałem i zapłaciłem jednemu kujonowi, żeby napisał za mnie pracę zaliczeniową, ale to jedno utknęło mi w głowie. Napisał to jakiś stary Grek... chyba był Grekiem... Plutarch. A może był Rzymianinem?

– Grekiem – wtrąca Gwendy. – Chociaż stał się Rzymianinem.

Winston wydaje się zirytowany tym wtrętem.

– Wszystko jedno. No więc ten Plutarch napisał coś o jakimś zdobywcy, Aleksandrze. Nie pamiętam dokładnie, ale...

Gwendy znowu mu przerywa. Lubi mu przerywać, bo niby dlaczego nie? On nie tylko przerwał jej misję, ale też grozi, że na zawsze przerwie jej życie.

– Kiedy Aleksander ujrzał rozmiary swojego królestwa, zapłakał, ponieważ nie miał więcej światów do podbicia.

Zamiast się wkurzyć, Winston uśmiecha się tak szeroko, że dolna połowa jego twarzy niemal znika, i Gwendy znowu myśli, że ten człowiek oszalał. Kiedy usłyszał, że dostanie na własność cały świat, którym może rządzić wiecznie, całkiem mu odbiło. Może każdemu by odbiło.

– No właśnie! Dokładnie! A ja byłem jak Aleksander, pani senator! Nie miałem więcej światów do podbicia! Dotarłem do granicy! I na co miałem jeszcze czekać? Aż się zestarzeję? Patrząc bezradnie, jak robię się coraz grubszy, coraz bardziej pomarszczony, jak moje ciało niszczy? I umysł! – Jego uśmiech przeradza się w paskudny grymas. – Wiesz coś o tym, prawda?

Gwendy nie chwyta przynęty.

– Załóżmy na potrzeby tej dyskusji, że tamten świat rzeczywiście istnieje – mówi. – Nawet jeśli tak, ty go nie dostaniesz, Gareth. Nie, jeśli dasz im pudełko z guzikami.

Uśmiech Winstona gaśnie. Zastępuje go podejrzliwość.

– Co to znaczy?

– To, co mówię. Dasz im pudełko i świat się skończy. Jeśli ta Wieża jest tak potężna, jak twierdzisz, wszystkie światy się skończą. Włącznie z twoim, diamenty i tak dalej.

Winston śmieje się pogardliwie.

– Dlaczego ci ludzie... szefowie Bobby'ego... mieliby to zrobić? – pyta. – Przecież zginęliby razem z całą resztą.

– Myślę... że szefowie Bobby’ego, ci, którzy nim manipulują, jak on manipuluje tobą, to władcy chaosu – odpowiada Gwendy, a potem głosem, którego nie rozpoznaje, krzyczy: – Niech Wieża upadnie! Rządź, Discordio!

Winston wzdryga się, jakby ten głos był ręką, która go uderzyła.

– Zwariowałaś?

To był głos Farrisa, myśli Gwendy. Nie wiem, jak ani dlaczego... bo przecież on już na pewno nie żyje... ale to był jego głos. Przypomina sobie, jak go ostatni raz widziała, na werandzie swojego domu w Castle Rock. *Pomogę, jeśli zdołam*, powiedział tamtego wieczoru.

– Pomyśl, co robisz, Winston. Na litość boską, pomyśl.

– Pomyślałem. I wiem, kiedy ktoś próbuje zamącić mi w głowie. Popatrzmy na to słynne pudełko z guzikami. Siedź na miejscu, pani senator. Drugiego ostrzeżenia nie będzie.

Oczywiście, że nie, myśli Gwendy. Tylko dlatego jeszcze żyję, że on chce najpierw dostać do rąk pudełko. Kiedy już będzie je miał, wyceluje we mnie tę tubkę i...

– Ach – odzywa się Winston. Zagląda do sejfu, stojąc między Gwendy a drzwiami. – Zresetowana kombinacja to 1111. Chyba nawet ktoś upośledzony umysłowo potrafi to zapamiętać.

Odłącza LockMastera i wstukuje szyfr – bip-bip-bip-bip. Gwendy ma nadzieję, że gadżet nie zadziała, że sejf pozostanie zamknięty, ale kiedy Winston pociąga za uchwyt, drzwiczki się otwierają. Wysuwa się stalowa kasetka z napisem ŚCIŚLE TAJNE.

– Nie muszę jeszcze raz zaglądać do twojego notesika, żeby znaleźć szyfr do tego – mówi Winston. – Wystarczyło mi jedno spojrzenie. W przeciwieństwie do ciebie mam znakomitą pamięć. Ludzie dziwią się, że wszystko pamiętam.

– Uważaj, żebyś nie pękł z tej dumy – ostrzega zimno Gwendy.

Winston się śmieje. Teraz, kiedy ma kasetkę, którą przysięgała chronić za cenę życia, wyraźnie poweselał. Może myśli o swojej kopalni diamentów. Albo

o trójkątku z dwiema pięknymi młodymi kobietami. Albo o paradzie na jego cześć w jednym z jego wspaniałych nowych miast, z tysiącami ludzi wykrzykującymi jego imię. Gwendy mogłaby mu powiedzieć o czarnym guziku – Guziku Raka, który podobno niszczy wszystko – ale czy on posłucha? Nie. On jest Aleksandrem z nowym światem do podbicia.

– Jeden-pięć-jeden-dwa-dwa-pięć-trzy... i voilà! – Otwiera stalową kasetkę. Zagląda do środka i jego wyczekujący uśmiech znika. – Co to... do kurwy... jest?

Wyjmuje białe piórko. Kiedy wypuszcza je z palców, piórko unosi się przed jego twarzą. Winston je odgania. Odwraca kasetkę, żeby Gwendy mogła zajrzeć do środka. Bez piórka jest całkowicie pusta.

– Niespodzianka, panie Winston – mówi Gwendy i śmieje się, widząc jego otwarte usta i zaszokowaną minę. Ale potem szok zastępuje furia, jakiej Gwendy jeszcze nie widziała. Nagle dostrzega Garetha Winstona, który mieszka w środku, i już nie jest jej do śmiechu.

Patrzę na wilka w ludzkiej skórze, myśli.

Potem Winston się uśmiecha i to jest jeszcze gorsze.

Upuszcza kasetkę z napisem ŚCIŚLE TAJNE. Kasetka powoli opada na podłogę pod talizmanem, który Gwendy przez wiele lat nazywała swoim magicznym piórkiem. Winston podpływa do niej. Ona cofa się odruchowo i podnosi ręce, żeby osłonić szyję.

– Och, nie zamierzam cię udusić – mówi Winston, wciąż z uśmiechem. – Mogę cię zabić... – podnosi zieloną tubkę – ale nie gołymi rękami. I to będzie baaardzo nieprzyjemne.

Gwendy myśli: czarny guzik to Guzik Raka, a ta zielona rzecz to Tubka Śmierci. Trafiałam do pieprzonego komiksu.

Winston pokazuje jej pierścień na końcu tubki.

– Jeśli go przekręcę do końca, celując w ciebie, nastąpi natychmiastowy rozpad twoich wnętrzności. Wiem, bo to wypróbowałem.

– Na jednym z twoich poddanych – zgaduje Gwendy. Jej głos wydaje się odległy. – W Genesis.

– Rzeczywiście jesteś bystra, przynajmniej kiedy jesteś w formie. Za sprytna, żeby ci to wyszło na dobre. Rzecz w tym, moja droga, że jeśli przekręcę ten pierścień powoli... troszeczkę... umrzesz w straszliwych męczarniach. Dosłownie poczujesz, jak twoje serce odrywa się od więzadeł i spada do żołądka, wciąż bijąc. Czyż to nie będzie niezwykle doświadczenie?

Tak, jestem w komiksie, myśli Gwendy. Szkoda, że nie mogę po prostu go zamknąć i wyrzucić do pojemnika na odpady UV. Szkoda, że to się dzieje naprawdę.

– Widzisz – kontynuuje Winston, jakby przemawiał do dziecka – zaszedłem za daleko, żeby się teraz wycofać, pani senator. Spaliłem za sobą mosty. Co nie szkodzi, ponieważ w przeciwieństwie do ciebie mam wyjście awaryjne. Takie, którym mogę się dostać do innego świata. Świata, który już zdążyłem pokochać.

Warczy na nią, obnażając zęby, a Gwendy czuje gorący smród jego oddechu.

– Powiem ci, co się stanie, jeśli tego nie oddasz, przemądrzała dziwko. Umrzesz... żalosną śmiercią, wrzeszcząc przez rozpadające się struny głosowe... a potem umrze reszta twoich kumpli z Eagle Heavy. Jak się skończy zabijanie, wezwę moich chińskich sprzymierzeńców i przeszukamy to miejsce, aż znajdę, czego chcę. Wtedy opuszczę tę stację w kosmicznej taksówce, przysłanej przez korporację, o której może słyszałaś...

– Sombra.

– Tak! Brawo! Przekażę pudełko tym, którym tak na nim zależy, i przeniosę się z tej rzeczywistości do innej, znacznie przyjemniejszej. Zrozumiałaś?

– Przemądrzała dziwka chyba zrozumiała – odpowiada Gwendy.

– Wcale nie musi do tego dojść. Możesz żyć. Reszta załogi też może żyć, co mnie ucieszy. Może mi nie uwierzysz, ale ich polubiłem. Zabiorę pudełko z guzikami i odleczę.

Gdybym miała wybierać, czy uwierzyć w to, czy we Wróżkę Zębuszkę, wybrałabym Zębuszkę, myśli Gwendy, ale kiwa głową, jakby uwierzyła. Winston celuje w nią z tubki i bawi się pierścieniem na jej końcu, co ją bardzo denerwuje. Tylko że „denerwuje” to zbyt łagodne określenie. Gwendy umiera ze strachu.

– No więc dochodzimy do głównego pytania w konkursie. – Winston wciąż się uśmiecha, ale Gwendy widzi kropelki potu na jego czole. On też się boi. Zawsze to jakaś pociecha. – Gdzie to jest?

Gwendy otwiera usta, zamyka je, potem otwiera ponownie.

– Nie uwierzysz, Gareth, i wiem, że nie będziesz zadowolony, ale to prawda. Nie pamiętam.

PATRZY NA NIĄ OCZAMI jak szparki.

– Masz rację – rzuca. – Nie wierzę. Zdałaś na piątkę test kognitywny. Doktor Glen był pod wrażeniem.

– Wtedy zjadłam czekoladki.

– Moja droga, jeżeli nie zaczniesz mówić z sensem, to gorzko pożałujesz.

Warto zanotować, że to wyjątkowo obrzydliwe, kiedy złodziej majątek zwraca się do ciebie „moja droga”, myśli Gwendy.

– Pudełko z guzikami wydaje czekoladki. To dopalacze mózgu. – Robią o wiele więcej i nie tylko dobre rzeczy, ale to nie pora na obszernie wyjaśnienia. – Zjadłam dwie przed testem. Jak widzisz, teraz nie mogę tego zrobić, bo pudełka nie ma...

– Nie wierzę ci. To bzdury.

– Mówi człowiek, który wierzy, że będzie rządził całą planetą, włącznie z pięknymi niewolnicami z kiczowatej powieści i podręczną kopalnią dia...

Policzkuje ją. Przy niskiej grawitacji cios jest słaby, jak pod wodą, ale jest zaszokowana. Ostatni raz ktoś ją uderzył, kiedy była dzieckiem. Ten, kto to zrobił, gorzko żałował do końca życia... czyli niezbyt długo. Oczy jej się gwałtownie rozszerzają i Winston widzi w nich coś, co sprawia, że odskakuje-odpływa do tyłu, celując w nią z tubki.

Nie jestem zwolenniczką kary śmierci, ale jeśli będę miała szansę, zabiję cię, myśli Gwendy. Jeśli byłeś zamieszany w morderstwo Ryana, spróbuję cię zabić dwa razy. Masz szczęście, że to się stało, zanim wszedłeś w ten interes... przynajmniej jeśli mogę ci wierzyć. Ale wierzy. Według tego, co mówił, poznał Bobby'ego cztery lata później. Zresztą jaki miałby powód, żeby kłamać? Oboje już wyłożyli karty na stół.



– Nie radzę żartować sobie ze mnie, pani senator. Absolutnie to odradzam.

– Nie żartuję. Nie pamiętam, gdzie schowałam pudełko.

– W takim razie nie jesteś mi potrzebna, prawda? Muszę sam je znaleźć z pomocą moich chińskich przyjaciół. Ale najpierw unieszkodliwię załogę. – Podnosi tubkę i Gwendy widzi w jego oczach, że mówi poważnie.

– Daj mi minutę, żeby pomyśleć. Proszę.

– Daję ci trzydzieści sekund. – Winston podnosi zegarek do twarzy. – Od tej chwili.

Gwendy wie, że myśli, że ona udaje; ale ona nie udaje. Musi zastosować sztuczkę doktora Ambrose'a, znaleźć łańcuch skojarzeń, który zaprowadzi ją do pudełka z guzikami. Tylko że czas ucieka, a ona nie może znaleźć pierwszego ogniwa. Ma zamęt w myślach.

*Niedobrze, mówi Richard Farris. Wpakowałaś się w bagno po uszy.*

Nagle Gwendy doznaje olśnienia i podnosi rękę, kiedy Winston celuje z tubki.

– Czeka! Czeka! Wiem, gdzie to jest!

Bagno. Wilgotne powietrze, wylęgarnia komarów. A komary to...

– Insekty! Owady! Robale!

– Co ty bredzisz, kobieto?

– Robal! Jedyna osoba z załogi, której ufam na sto procent. Jedyna osoba, która całkowicie we mnie wierzy. Adesh. Dałam mu pudełko z guzikami. Poprosiłam, żeby je schował w swoim laboratorium.

– Naprawdę?

– Tak.

– Wiesz, gdzie w laboratorium?

Gwendy nie ma pojęcia.

– Tak. Pokażę ci.

– Powinienem cię zabić i sam je znaleźć. – Winston znowu podnosi zieloną tubkę... a potem ją opuszcza. I uśmiecha się. – Ale sprawiłaś mi dużo kłopotów,

moja droga. Tyle kłopotów. I chcę, żebyś widziała, jak zabieram twoje cenne pudełko. Może nawet pozwolę ci żyć. Kto wie?

Ty wiesz, myśli Gwendy. I ja wiem.

– Chodźmy, dopóki oni jeszcze są na śniadaniu. – Macha tubką. – Pani przodem, pani senator.

## SZPRYCHA 5.

Idą-płyną korytarzem obok napisów po francusku: LAVEZ-VOUS LES MAINS i RAMASSE TA POUBELLE, i nawet NE PASSE FUMER, co Gwendy uznaje za tekst dla idiotów. Ale z Francuzami i ich gauloisami nigdy nic nie wiadomo.

Słychać nieustannie ciche skrzypienie, do którego się przyzwyczała, ale Winston chyba nie.

– Nie znoszę tego dźwięku. Jakby cała stacja się rozpadała.

– Nie, to ty ją zniszczysz – mówi Gwendy. – Zniszczysz wszystko.

Ten zarzut spływa po nim jak woda po kaczce. Klasyczny narcyz, myśli Gwendy. Może w pewnym stopniu dotyczy to wszystkich ludzi, którzy odnieśli wielki sukces. Boże, ma nadzieję, że nie.

– Czemu je dałaś temu ciapatemu? I co mu powiedziałaś?

Ciapaty, myśli Gwendy. Jezu. A Jafarię pewnie nazywa „czarnuchem”.

– Bo mu ufam, mówiłam ci. A co mu powiedziałam? – Kręci głową. – Nie pamiętam.

To kłamstwo. Teraz pamięta wszystko. Na przykład jak trudno było je oddać. Pamięta zaciekawioną minę Adesha, a przede wszystkim pamięta, jak go ostrzegała, żeby nie dotykał guzików. „Może poczujesz chęć, żeby ich dotknąć, ale musisz się powstrzymać. Potrafisz?” Adesh powiedział: tak, tak, na pewno potrafi, a ponieważ Gwendy musiała komuś zaufać, oddała mu pudełko. Potem powstrzymała niemal nieodparty impuls, żeby je odebrać, przycisnąć do piersi i krzyknąć: „Moje! Moje!”. Nawet pamięta, że pomyślała o Gollumie z *Władcy pierścieni*, który nazywał Jedyny Pierścień swoim skarbem.

Ale je oddała.

– No, jesteśmy na miejscu – stwierdza Winston. Czyta napis na drzwiach. ADESH „ROBAL” PATEL. PUKAĆ PRZED WEJŚCIEM. – Może damy sobie spokój z pukaniem.

Gwendy żałuje, nie po raz pierwszy, że drzwi do pokoi, apartamentów i laboratoriów na stacji MF nie mają zamków.

– Ty pierwsza, moja droga. Nie spodziewam się niespodzianek, ale lepiej dmuchać na zimne.

Gwendy naciska klamkę i wchodzi do środka. Z boomboxa przypiętego do głównego stołu roboczego, żeby nie odfrunął, płyną ciche dźwięki sitara. Pod napięciem tkwi jakiś mały gadżet.

Druga rzecz, którą widzi Gwendy, to ostatnie, czego się spodziewała. Kazała Adeshowi schować pudełko do którejś szuflady; jest ich co najmniej pięćdziesiąt, ale ono stoi na wierzchu, na podłodze dużej klatki, w której entomolog przeprowadza eksperymenty z lotem owadów. Gwendy wyraźnie widzi maleńkie dźwigienki po bokach i rzędy kolorowych guzików na wierzchu. Drzwi dużej klatki stoją otworem.

– Co jest z tymi muchami? – pyta Winston. Kilka wisi nad pudełkiem z guzikami, od czasu do czasu leniwie machając skrzydełkami. – Zdychają?

– Odpoczywają – wyjaśnia Gwendy. – Według Adesha całkiem dobrze się przystosowały do warunków słabej grawitacji.

Spogląda na boombox i przedmiot na wierzchu obudowy. Teraz rozumie. Nie ma pojęcia, jakim cudem Adesh przewidział tę sytuację, ale tak, rozumie i wie, co musi zrobić.

Jeśli tylko zdoła.

– Wejź tam – nakazuje jej Winston. – Weź pudełko i przynieś mi.

Gwendy mówi bardzo powoli i wyraźnie:

– Takiego wała. Chroniłam je, dopóki mogłam, i najlepiej, jak mogłam, i nie oddam go tobie ani nikomu innemu. Sam je weź.

– Dobrze. Ale ty pójdziesz ze mną. – Winston chwyta ją za ramię, wbijając paznokcie w jej ciało. – Moja droga.

Gwendy udaje, że się wyrywa; cofa się na tyle, że tyłkiem dotyka stołu roboczego z mikroskopem, monitorami i centryfugą. Sięga ręką za siebie, licząc, że wygląda to tak, jakby chciała się przytrzymać stołu, a w rzeczywistości chwyta przedmiot leżący na boomboxie. Proszę, Boże, nie pozwól, żeby to zobaczył, i nie pozwól, żebym to upuściła. Chociaż przedmiot i tak nie upadnie, tylko powoli spłynie na podłogę.

Sterownik prawie wysuwa jej się z palców, ale udaje jej się przytrzymać go w garści i przycisnąć do pleców. Winston warczy i kieruje na nią zieloną tubkę.

– Dosyć! Włóż tam!

– Dobrze, wejdę. Tylko nie rób mi krzywdy.

– Ja cię nie tylko skrzywdzę. Włóż tam! I nie myśl, że dobiegniesz do drzwi.

Gdyby spojrzał w dół, zobaczyłby, że ona coś ukrywa, płaski dwudziestocentymetrowy prostopadłościan, który wygląda jak pilot do telewizora. To dość oczywiste. Ale Garetha Winstona interesuje przede wszystkim przedmiot, po który poleciał tak daleko. Jego nagroda. Jego skarb, myśli Gwendy.

Wpływają do dużej klatki, Gwendy przodem. Ukradkiem chowa sterownik do środkowej kieszeni kombinezonu, udając, że rozciera bolące ramię. Winston wślizguje się za nią i popycha ją przed sobą.

– Tam. Pod ścianę.

Pcha ją mocno i Gwendy odlatuje do tyłu.

Proszę, niech to zadziała. O Boże, proszę.

Winston schyla się i podnosi pudełko. Wyrywa mu się ciche westchnienie, niemal erotyczne.

– Czuję to – mówi. – Jest potężne, prawda?

– Bardzo potężne – zgadza się Gwendy.

Sterownik, który Adesh jej zostawił, to następne pudełko z guzikami, tylko że ma ich cztery zamiast ośmiu. Gwendy nie wie, który guzik otwiera klatkę Borisa,

więc kładzie palec wskazujący na wszystkich czterech i naciska je.

Winston nic nie zauważa. Głaszcząc palcem guziki: jasnozielony i ciemnozielony dla Azji i Afryki, niebieski i fioletowy dla Ameryki Północnej i Południowej, pomarańczowy dla Europy i żółty dla Australii. Plus dwa na końcach: czerwony, spełniający życzenia, które mimo najlepszych chęci zawsze prowadzą do złego, i czarny Guzik Raka.

Tymczasem przyciski na sterowniku otworzyły cztery klatki. Drzwiczki unoszą się bezgłośnie. Z jednej klatki wylatują czarne mrówki, z drugiej czerwone, z trzeciej karaluchy. Z czwartej wyłania się Boris. *Pandinus imperator*. Wznosi się z nastawionym ogonem.

– Co one robią, te guziki? – pyta Winston. Pochłonięty oglądaniem, całkiem zapomniał o Gwendy. – Co się dzieje, kiedy je naciskasz?

– Złe rzeczy.

– A te dźwigienki po bokach? Co one ro...

– Odwróć się – mówi Gwendy, a potem z wielką przyjemnością dodaje: – Popatrz na mnie, ty tłusta psychotyczna kupo gówna.

Winston ze zdumienia otwiera usta. Oczy mu się rozszerzają w opuchniętej twarzy. Odwraca się. Gwendy nagle uświadamia sobie, że Boris może nie zareagować na jej głos, tak inny niż Adesha Patela, ale już za późno, żeby się tym martwić.

Krzyczy:

– *MAAR!*

Niepotrzebnie się martwiła. Boris macha trującym żądłem i pędzi przez klatkę, ignorując muchy, bo widzi większy cel. Winston krzyczy i próbuje zasłonić się ręką, ale przy niskiej grawitacji jest o wiele za wolny. Gwendy z dziką radością widzi, jak żądło Borisa wbija się dokładnie między jego oczy.

Miliarder krzyczy z bólu i strachu, odtrącając skorpiona obiema rękami. W miejscu, gdzie weszło żądło, jest dziura o średnicy grafitu ołówka. Cieknie z niej krew, a ciało dookoła zaczyna już puchnąć.

– Zabierz to ode mnie! Jezu Chryste, kurwa, ZABIERZ TO ODE MNIE!

Winston młóci powietrze obiema rękami. Boris wycofuje się, z łatwością unikając ciosów, i błyskawicznie machnąwszy uzbrojonym ogonem, odlatuje na bezpieczną odległość. Pudełko z guzikami, o którym Winston zapomniał, opada przed nim na podłogę. Jego broń – Zielona Tubka Śmierci, myśli Gwendy – unosi się w powietrzu. Winston wciąż wymachuje rękami, chociaż Boris odsunął się poza jego zasięg, i pod wpływem tych gwałtownych gestów broń kieruje się w stronę Gwendy, leniwie obracając się z boku na bok.

Gwendy po nią sięga.

Winston też po nią sięga, ale prądy powietrzne wywołane jego rękami działają na korzyść Gwendy. Chwyta tubkę. Winston próbuje ją złapać za kucyk, ale ona ruchem głowy przerzuca włosy na drugie ramię. Ryzykuje zerknięcie na tubkę, by się upewnić, że koniec z pierścieniem jest skierowany w jej stronę. Gdybym ją trzymała na odwrót i zmieniła w zupę własne wnętrze, pewnie nawet nie zdążyłabym docenić ironii sytuacji, myśli, wykonując unik w zwolnionym tempie, żeby uciec przed równie powolnym sierpowym miliarderem.

– Pożegnaj się z przemądrzałą dziwką, Winston. – Wymierza rurkę i przekręca pierścień przy podstawie.

Nie słycać żadnego dźwięku. Nie widać żadnego komiksowego promienia śmierci. Gwendy przez chwilę myśli, że to był tylko bluff, a potem przód białej koszuli Winstona rozkwita czerwonymi kwiatami. Jego oczy roztopiają się i spływają po policzkach jak grube błękitne łzy. Z nozdrzy i pustych oczodołów zaczyna wyciekać szara maź. Gwendy uświadamia sobie, że patrzy na rozpuszczony mózg, i zaczyna krzyczeć.

Adesh zostawił również na stole roboczym swój telefon, naładowany, i ustawił Smart Watcha, żeby go monitorował. Załoga siedzi przy stole w mesie, gada o dupie Maryni i popija kawę po śniadaniu, kiedy zegarek się rozświecila. Adesh naciska przycisk i wszyscy słyszą krzyk Gwendy.

Wrzaski ucichły, zanim dotarli do laboratorium entomologicznego w Szprysze 5. Gwendy, z pudełkiem na kolanach, kuli się pod ścianą, jak najdalej od wielkiej klatki, przyciskając pięści do ust. Rozlegają się podniesione głosy.

Kathy:

– Co, do cholery...

Adesh, potrząsając pięścią w powietrzu:

– Dorwałś go! Mówił, że go załatwisz!

Jafari:

– Kogo?

Doktor Glen:

– O mój dobry Boże w niebiosach.

Podążył wzrokiem za nieruchomym spojrzeniem Gwendy do wnętrza dużej klatki, gdzie ubranie zmarłego Garetha Winstona pływa w kałuży krwi i rozkładających się narządów. Gardło ma rozerwane. To, co zostało z jego twarzy, przypomina sflaczałą, pomarszczoną gumową maskę. Pełzają po niej czarne i czerwone mrówki.

Nawet w takiej chwili Adesh jest raczej naukowym obserwatorem niż przerażonym świadkiem.

– Te mrówki na niego sfrunęły! Adaptacyjne zachowanie! Zdumiewające!

Reggie Black zgina się w pół i zwraca śniadanie, które unosi się wokół niego w kęsach. Sam Drinkwater i Dave Graves robią to samo. Samowi udaje się złapać większość swoich wymiocin, ale wkrótce zaczynają wyciekać z jego złączonych dłoni.

– Wynocha stąd! – warczy Kathy. – Wszyscy wyjść! Zamykamy to pomieszczenie! Jeśli Winston złapał jakiegoś wirusa w rodzaju Andromedy...

– Nie złapał żadnego wirusa – odzywa się Gwendy. – Jego jedyną chorobą była chciwość. I na nią umarł.



GODZINĘ PÓŹNIEJ DZIEWIĘCIORO POZOSTAŁYCH członków załogi Eagle Heavy siedzi w sali konferencyjnej. Na stanowczą sugestię Gwendy, którą poparła z Ziemi dyrektorka CIA Charlotte Morgan, Chińczyków odcięto. Nadal mają dostęp do zewnętrznego pierścienia, ale nie wejdą do żadnej szprychy oprócz własnej. Ani Charlotte, ani Gwendy nie przypuszczają, żeby Chińczycy sprawiali problemy, ale Gwendy wierzy w mantrę nieżyjącego Garetha Winstona: zawsze lepiej dmuchać na zimne. No, ale nie spodziewał się Borisa.

Pudełko z guzikami stoi na środku stołu obok otwartego (lecz silnie zabezpieczonego) łącza z gabinetem Charlotte w Waszyngtonie. Kathy sięga po pudełko, a Gwendy musi się powstrzymać, żeby nie odtrącić ręki dowódczyni.

Po jednym dotknięciu Kathy sama ją cofa, i to szybko. Oczy jej się rozszerzają.

– Co to jest? – Nie czekając na odpowiedź, mówi: – Chcę mieć pełny raport, Gwendy. Możesz sobie być senatorem Stanów Zjednoczonych, ale tu, na górze, ja dowodzę i rozkazuję ci, żebyś mi wszystko powiedziała. – Zatacza ręką krąg wokół stołu. – Nam wszystkim.

Gwendy nie ma nic przeciwko, i nie tylko dlatego, że zasługują na to, by wiedzieć. Będzie potrzebowała ich współpracy, żeby wypełnić misję do końca. Charlotte milczy, ale Gwendy wie, że jej przyjaciółka słucha.

– Powiem, ale najpierw muszę coś wiedzieć. – Odwraca się do Adesha. – Zastawiłeś na niego pułapkę, tak?

Entomolog kiwa głową.

– Skąd wiedziałeś, że tak trzeba? Czy spotkałeś pewnego mężczyznę? Mniej więcej twojego wzrostu, w czarnym meloniku?

Sam pomyśl, że Farris – chory czy zdrowy – mógł się tu pojawić, jest absurdalny. Jednocześnie wydaje się całkowicie racjonalny. Gwendy wie z doświadczenia, że Farris może pojawić się wszędzie i równie szybko zniknąć. Kojarzy jej się ze starą piosenką Heart, tą o magicznym człowieku.

– Nikogo nie spotkałem – odpowiada Adesh. – Ale słyszałem głos. W głowie. Widzisz... przepraszam, to krępujące.

– Nie musisz się wstydzić – zapewnia Gwendy i bierze go za rękę. – Uważam, że właśnie odegrałeś bardzo ważną rolę w ratowaniu Ziemi i ludzkości.

Sam Drinkwater prychnął drwiąco. Kathy, która dotknęła pudełka z guzikami i poczuła jego moc, nie wydaje żadnego dźwięku. Skupia całą uwagę na Gwendy i Adeshu „Robalu” Patelu.

– Ostrzegałaś, żeby nie naciskać guzików, nawet ich nie dotykać, i dotrzymałem słowa – mówi entomolog. – Musisz mi wierzyć.

Gwendy kiwa głową. Oczywiście, że mu wierzy.

– Ale nic nie mówiłaś o tych małych dźwigienkach po bokach.

Teraz Gwendy rozumie. Uśmiecha się.

Adesh rozpina kieszeń i wyjmuje srebrnego dolara Morgana. Rzuca go do niej, orzeł i reszka wirują leniwie nad stołem. Gwendy nie musi oglądać monety, by wiedzieć, że pochodzi z 1891 roku.

– Pierwsza dźwigienka, za którą pociągnąłem, dała to. Zamierzałem oddać ci tę monetę... Mam nadzieję, że w to również uwierzysz.

– Wierzę. – Gwendy pstryknięciem posyła mu ją z powrotem. – Ale chcę, żebyś ją zatrzymał. Na pamiątkę. Potem pociągnąłeś za drugą dźwigienkę, tak? I dostałeś czekoladkę.

– To było coś pięknego. – W głosie entomologa słychać niemal nabożność. – Małeńki czekoladowy skorpion, całkiem jak Boris.

– *Pandinus imperator*.

Adesh kiwa głową z uśmiechem.

– Kto mówi, że masz kłopoty z pamięcią? – rzuca. – Była zbyt doskonała, żeby ją zjeść. Ale...

– I tak ją zjadłeś.

– Tak. Coś mnie zmusiło. Pokusa była zbyt silna, żeby się oprzeć. I wtedy usłyszałem ten głos. Wydawał się bardzo stary... bardzo zmęczony i dość odległy... lecz całkowicie pewny siebie. Powiedział, że będziesz wiedziała, co zrobić... kiedy przyjdzie pora.

Oczy Gwendy zachodzą łzami. Tak, to był Farris, jej prywatny *deus ex machina*. Stary i zmęczony, może nawet martwy, ale wciąż gdzieś tam jest. A jeśli ktoś zasługiwał na *deus ex machina*, to ona. I czyż jej osobisty bóg z maszyny nie powinien być tym samym człowiekiem, który ją w to wszystko wciągnął?

– Może wrócimy do początku? – sugeruje Bern Stapleton. – Ja na przykład chciałbym wiedzieć, jak to się stało, że jeden z najbogatszych ludzi na ziemi skończył jako kałuża brei, z mrówkami łożącymi po resztkach twarzy.

– Bardzo dobry pomysł – popiera go Kathy. – Posłuchajmy, pani senator. Od początku.

Dopóki jeszcze mogę, myśli Gwendy, bo Adesh się myli: ona ma poważne kłopoty z pamięcią. Znowu czuje, że mgła wypełnia jej głowę. Wie, gdzie jest, wie, że ci ludzie to załoga, z którą przyleciała na górę, ale nie pamięta ich nazwisk, oprócz Adesha Patela i Kathy London. Na pewno London? Nieważne. Przechyla się przez stół, pociąga za dźwigienkę po prawej stronie pudełka z guzikami i wrzuca do ust czekoladowego misia koala. Mgła się rozwiewa. Ale oczywiście powróci.

– To się zaczęło, kiedy miałam dwanaście lat – mówi. – Wtedy po raz pierwszy zobaczyłam pudełko z guzikami i je dostałam.

Mówi przez czterdzieści pięć minut, przerywając tylko, żeby napić się wody. Nikt jej nie przerywa, nawet Charlotte Morgan, która po raz pierwszy słyszy całą historię.

PRZEZ TRZYDZIEŚCI SEKUND PANUJE milczenie, kiedy ósemka słuchaczy przetrawia to, co usłyszała. Potem Reggie Black odchrząkuje i mówi:

– Upewnijmy się, czy na pewno zrozumiałem. Twierdzisz, że jesteś odpowiedzialna za Jonestown, gdzie zmarło dziewięćset ludzi. A ta kobieta w Kanadzie była odpowiedzialna za koronawirusa, który zabił dwa miliony i dalej zabija...

– Nazywała się Patricia Vachon – uściśla Gwendy. Teraz pamięć jej dopisuje. – I to nie była jej wina. Na koniec po prostu nie mogła się oprzeć przyciąganiu pudełka. Właśnie dlatego jest takie niebezpieczne.

Reggie macha ręką: może *si*, może *no*.

– I zniszczyłaś również Wielką Piramidę w trzęsieniu ziemi, zabijając sześć osób.

Charlotte odzywa się po raz pierwszy. Głośnik jest tak doskonały, że wydaje się, jakby siedziała z nimi w pokoju.

– Nie w trzęsieniu ziemi, proszę pana. Nie ustalono przyczyny.

– Nie chciałam, żeby ktokolwiek zginął – zaznacza Gwendy. Nie potrafi powstrzymać drżenia w głosie. Myśli o swojej dawnej przyjaciółce Olive Kepnes, która zginęła na Schodach Samobójców pomiędzy Castle Rock a Castle View. – Nigdy. Myślałam, że ta część Gujany, na której się skupiam, jest niezaludniona... i byłam tylko dzieckiem, na litość boską. Piramida miała być zamknięta, całkowicie pusta z powodu nowej fali COVID-dziewiętnaście. – Nachyla się do przodu i wpatruje w nich. – Ci młodzi ludzie weszli tam dla hecy. Dlatego pudełko z guzikami jest takie niebezpieczne, rozumiecie? Nawet czerwony guzik jest niebezpieczny. Robi to, o czym myślicie... tylko że robi więcej, a z mojego

doświadczenia wynika, że to „więcej” nigdy nie jest dobre. Myślę, że nawet wybuch atomowy nie mógłby zniszczyć pudełka z guzikami, a ono działa na umysł posiadacza. Dlatego Farris przekazywał je kolejnym osobom.

– Ale zawsze wracało do ciebie – zauważa Jafari.

– Powiedz mi – Reggie się uśmiecha – czy to pudełko było też odpowiedzialne za jedenastego września?

Gwendy nagle czuje się bardzo zmęczona.

– Nie wiem. Chyba nie. Ludzie nie potrzebują pudełka z guzikami, żeby robić okropne rzeczy. W ludzkiej duszy jest mnóstwo zła.

– Przepraszam, ale ja w to nie wierzę – mówi spokojnie Sam Drinkwater. – To bajeczka dla dzieci.

Charlotte odzywa się z głośnika:

– Czy to zastępca dowódcy misji Drinkwater?

– Tak, proszę pani.

– No dobrze, panie Drinkwater, proszę posłuchać. Widziałam przesłuchanie detektywa Mitchella. Wszystko, co Gwendy wam powiedziała o śmierci jej męża, jest prawdą. Nagranie z telefonu komórkowego jest bardzo niepokojące, ale nasi technicy zapewniają, że żadna część nie była zmanipulowana ani zniekształcona przez efekty specjalne. Co do Wielkiej Piramidy, to Gwendy wymieniła ją i nacisnęła czerwony guzik w mojej obecności, a po paru godzinach piramida rozpadła się z powodów, których naukowcy wciąż nie rozumieją. Pracuję w CIA i nie wierzę w nic, dopóki nie mam dowodu, a w to wierzę. Myślę, że osobnik, który przekupił detektywa Mitchella, nie był człowiekiem... albo nie do końca nim był. I wierzę, że pudełko, na które patrzycie, jest bardziej niebezpieczne niż cały arsenał atomowy na Ziemi.

– Ale...

– Żadne ale – przerywa mu energicznie Charlotte. – Chyba że pan uważa, że taki pragmatyczny biznesmen jak Gareth Winston umarł z powodu fantazji. –

Milknij na chwilę. – Co mi przypomina, że musimy wymyślić jakąś przykrywkę dla jego śmierci. Która na pewno wstrząśnie giełdą.

– Sądzę, że to był okropny wypadek podczas spaceru w kosmosie – mówi Kathy. – On... Gwendy? Dobrze się czujesz?

– W porządku – odpowiada Gwendy. – Trochę boli mnie głowa. Właściwie to dobry pomysł.

Doktor Glen mówi ponuro:

– Będziemy musieli go zgarniać szufelką. A ten jego gadżet wystarczy, żeby mnie przekonać, że tu się dzieje coś przekraczającego nasze zrozumienie. Ten gadżet wyrzucamy razem z nim.

– Absolutnie – zgadza się Kathy.

Reggie Black, który, jak podejrzewa Gwendy, popierałby Niewiernego Tomasza z Biblii, kręci głową.

– Zgadzam się, że to wszystko jest bardzo dziwne. Ale nie zgadzam się, że naciśnięcie tego czarnego guzika może zniszczyć cały świat.

Gwendy niemal się spodziewa, że Reggie zaproponuje: „Naciśnijmy go, żeby sprawdzić”. Ale nie proponuje. Całe szczęście. Gdyby zrobił chociaż ruch w stronę pudełka z guzikami, przeskoczyłaby przez stół, żeby go powstrzymać.

– To bez znaczenia – odzywa się Adesh. – Chyba wszyscy to widzicie?

Spoglądają na niego ze zdziwieniem, nawet Gwendy.

– Odsyłamy pudełko w urządzeniu, które nazywamy minirakieta. Wszystko jedno, czy to wcielenie nadprzyrodzonego zła, czy tylko przedmiot, który wydaje czekoladki i srebrne dolary... – Wzrusza ramionami i uśmiecha się. To bardzo słodki uśmiech. – Tak czy owak, zniknie. Minirakieta nie będzie nawet orbitować wokół Ziemi razem z resztą kosmicznych śmieci, które katalogujemy. – Na jego twarzy pojawia się rozmarzenie. – Odleci do gwiazd i nigdy nie wróci.

Ta logika jest nieodparta.

Kathy Lundgren odwraca się do Gwendy.

– Zrobimy to jutro. Ty i ja. Mój dziewiąty spacer w kosmosie, twój pierwszy. Ten, który telewizja będzie transmitować do twoich wyborców, będzie twoim drugim, ale nikt nie musi o tym wiedzieć, prawda?

– Prawda – zgadza się Gwendy.

Kathy kiwa głową.

– Będziemy patrzeć, jak minirakieta leci w stronę Księżyca, w stronę Marsa i dalej w wielką pustkę. Z ładunkiem na pokładzie.

– Brzmi nieźle. A co z Winstonem?

– Pan Winston jest cały i zdrowy – odpowiada Kathy. – Cierpi tylko na lekką kosmiczną niedyspozycję i zaszył się w swojej kabinie. Nie czuje się na siłach, żeby komunikować się z dołem. Nie przypuszczam, żeby odbył spacer w kosmosie... swój całkowicie nieautoryzowany spacer w kosmosie... przez najbliższe kilka dni. – Uśmiecha się ponuro. – Nie musimy przerywać pracy z powodu tego pozłacanego śmiecia. Nie zgadzasz się?

– Zgadzam się – odpowiada Gwendy. – Całkowicie.

Wciąż żałuje tego, co się stało w Jonestown, chociaż przypuszcza, że to w znacznej mierze wina wielebnego Jima Jonesa. Żałuje zniszczenia Wielkiej Piramidy, a jeszcze bardziej żałuje tych, którzy stracili tam życie. Ale nie żałuje Garetha Winstona. Ani trochę.

– Która z tych dźwigni wydaje czekoladki? – pyta Reggie Black.

– Ta. – Gwendy pokazuje palcem.

– Mogę?

Nie chce, żeby dotykał pudełka, ale kiwa głową.

Reggie pociąga za dźwigienkę. Szczelina otwiera się, wysuwa się półeczka. Jest pusta.

Gwendy odwraca się do Adesha.

– Ty spróbuj.

Małeńka półeczka się chowa. Entomolog zagina mały palec wokół dźwigienki i delikatnie ciągnie. Półeczka się wysuwa, tym razem z malutką czekoladową

łasicą. Adesh bierze ją, ale oddaje Bernowi. Ten ogląda czekoladkę, potem wkłada do ust, gotów ją wyjąć, gdyby okazała się niesmaczna. Tymczasem przymyka oczy w ekstazie.

– O mój Boże! Pyszna!

Reggie Black wydaje się poirytowany.

– Dlaczego dla mnie nie działa?

– Może pudełko nie lubi fizyków – odpowiada Gwendy.



## TEGO WIECZORU.

Gwendy idzie po zewnętrznym pierścieniu stacji kosmicznej Many Flags. Stacja jak zwykle poskrzypuje i stęka – odgłosy jak w nawiedzonym domu, których tamten człowiek, zły człowiek, nie lubił, ale Gwendy nie przeszkadzają. Nie pamięta, jak się nazywał tamten zły człowiek, chociaż na pewno przypomniałaby sobie, używając łańcucha skojarzeń doktora Ambrose’a. Zaczęłabym od cygara, myśli.

Mężczyźni idącemu obok niej też chyba nie przeszkadzają skrzypiące odgłosy. Twarz ma pogodną i jest bardzo piękny. Tylko że jego uroda to maska. Czasami jego rysy falują niczym woda w stawie na silnym wietrze i Gwendy widzi jego prawdziwą twarz. Trochę przypomina łasicę, jak ten czekoladowy przysmak, który dostał Bern. Gwendy nie pamięta również jego imienia. Nic nie szkodzi. Natomiast pamięta imię mężczyzny-który-nie-jest-człowiekiem: Bobby. Tak go nazywał zły człowiek. Myśli: Cygara. Myśli: Kto palił cygara? Winston Churchill. I już wie.

– Zły człowiek nazywa się Garin Winston – mówi.

– Prawie zgadłaś – odpowiada Bobby. – Ale to nieważne, on nie żyje.

– Stopił się – mówi Gwendy. – Jak Zła Czarownica w *Czarnoksiężniku z Uz*.

– Prawie zgadłaś – powtarza Bobby. – Ważne jest to: istnieją inne światy oprócz tego.

– Wiem. Ktoś mi powiedział, ale nie pamiętam kto. Może pan Farris.

– Ten wścibski facet – komentuje Bobby.

Idą dalej. Stacja kosmiczna trzeszczy. Nie spotykają nikogo, ponieważ to pora snu na MF. Są sami w nawiedzonym domu.

– Jest dwanaście światów – oznajmia Bobby. – Sześć promieni, dwanaście światów, po jednym na końcu każdego promienia. A w środku jest Wieża. Nazywamy to Mroczną Trzynastką.

– Jacy my?

– Taheen.

To nic Gwendy nie mówi.

– Promienie trzymają światy, a Wieża zasila promienie – ciągnie Bobby tonem wykładowcy. – Teraz, kiedy Karmazynowy Król nie żyje, tylko jedna rzecz może to zniszczyć.

– Pudełko z guzikami – zgaduje Gwendy, ale Bobby uśmiecha się i kręci głową.

Rozkłada ręce, które chwilami rozmywają się w łapy z ostrymi szponami na końcach, w geście mówiącym: „Stać cię na więcej”. Gwendy zaczyna protestować, że wcale jej nie stać, że ma wczesne stadium alzheimera (może wywołanego przez pudełko, kto wie?), ale potem uświadamia sobie, że jednak ją stać.

– Czarny guzik na pudełku z guzikami. Guzik Raka.

– Tak! – Bobby klepie ją po ramieniu.

Gwendy się cofa. Nie chce, żeby jej dotykał. Wtedy czuje to samo, co czuł zmarły Garin Winship, słysząc skrzypienie i pojękiwanie stacji.

– Nie wolno ci pozbyć się pudełka, Gwendy. To, co musisz zrobić, to nacisnąć czarny guzik. Zniszczyć Wieżę, zniszczyć promienie, zniszczyć światy.

– Rządź, Discordio?

– Właśnie, niech rządzi Discordia. Zakończ wszechświat. Sprowadź ciemność.

– Jak w Jonestown? Tylko wszystko i wszystkich, tak?

– Tak.

– Ale dlaczego?

– Ponieważ chaos to jedyna odpowiedź.

Bobby spogląda w dół. Ona też spuszcza wzrok i widzi, że trzyma w rękach pudełko z guzikami.

– Naciśnij go, Gwendy. Naciśnij go teraz. Musisz, bo...

GWENDY BUDZI SIĘ I Z PRZERAŻENIEM widzi, że naprawdę trzyma w rękach pudełko z guzikami, a jej kciuk spoczywa na czarnym guziku. Stoi przed otwartym sejfem w szafie, zmięty zapasowy kombinezon ciśnieniowy spoczywa u jej stóp.

– Chaos to jedyna odpowiedź – szepcze. – Egzystencja to martwe równanie.

Czuje przemożne pragnienie, żeby nacisnąć guzik, choćby po to, by uwolnić się od niepewności i rozpacz. Chciałaby, żeby Farris wkroczył i ją uratował, tak jak pomógł Adeshowi, ale nie słyszy w głowie jego głosu i nie wyczuwa jego obecności. Jęczy i jakimś cudem ten dźwięk przerywa jej trans.

Wkłada pudełko z guzikami z powrotem do sejfu, zaczyna zamykać drzwiczki, lecz uznaje, że jeszcze z nim nie skończyła. Nie chce go dotykać ze strachu, że ten okropny przymus powróci, ale musi to zrobić. Pociąga jedną z dźwigni i wysuwa się czekoladka. Gwendy wrzuca ją do ust i świat natychmiast nabiera wyrazistości.

Ponownie pociąga za dźwigienkę, pełna obaw, że tym razem półeczka wysunie się pusta, ale pojawia się druga czekoladka. To jamnik, który wygląda dokładnie jak długoletnia towarzysza jej ojca, Pippa. Chce ją włożyć do kieszeni – na później – ale orientuje się, że nie ma kieszeni. Jest w szortach do spania i koszulce Uniwersytetu Maine. Ale to nie wszystko. Na jednej nodze ma sportowy but, na drugiej skarpetkę, a na rękach izolowane rękawice robocze, jakie otrzymał każdy członek załogi. Pewnie są do czegoś potrzebne, na Eagle Heavy i stacji MF każda część ubrania i wyposażenia jest do czegoś potrzebna, ale Gwendy nie może sobie przypomnieć, do czego. Może na wypadek nagłego spadku temperatury? Jej umysłowe zaćmienia ciągle objawiają się na różne sposoby i teraz widzi, że napisała na rękawicach LEWA i PRAWA.

Ale ile czasu minie, zanim zapomnę, co znaczą te słowa? Ile czasu minie, zanim odkryję, że już nie umiem czytać?

Płakać jej się chce od tych myśli, lecz nie może marnować czasu na łzy. Nie wie, jak długo zachowa jasność umysłu dzięki czekoladce, a zapasową zachowuje na jutro, kiedy ona i Kathy Lundgren włożą kombinezony przed spacerem w kosmosie o 8.00.

Kathy.

Teraz, kiedy myśli jasno, uświadamia sobie coś, co powinna wiedzieć znacznie wcześniej.

Bierze telefon, wybiera numer dowódcy misji z książki telefonicznej MF i dzwoni. Jako pierwszy oficer Kathy zawsze ma włączony telefon. Usłyszy sygnał i odbierze. Musi odebrać, ponieważ Gwendy właśnie zrozumiała, że sama nie może tego zrobić. Jeśli spróbuje, Kathy ją powstrzyma... chyba że ma powody, żeby tego nie robić.

Telefon dzwoni tylko raz, a kiedy Kathy odbiera, głos ma czysty i rześki. Może wcale nie spała, nawet o tak późnej porze.

- Gwendy. Jakiś problem?
- Raczej rozwiązanie. Muszę z tobą porozmawiać.
- Dobrze. – Żadnego wahania. – Przyjdź do mojej kwatery.

KWATERA DOWÓDCY JEST MNIEJSZA i bardziej spartańska niż apartament Gwendy, ale Kathy zachomikowała paczki kakao i robi im po kubku. Słodycz przypomina Gwendy wczesne dzieciństwo: kakao z tatą w letnie poranki, kiedy mgła jeszcze leży na trawniku.

Po jednym łyku przyczepia kubek magnetycznie do małego stolika obok wąskiego łóżka Kathy (tu nie ma salonu) i wyznaje dowódcy Eagle Heavy, co próbowała ukryć.

– Miałaś rację. Doktor miał rację. Nawet Winston wiedział. Mam wczesne stadium alzheimera i teraz bardzo szybko się rozwija.

– Ale test, który zdałaś, udowodnił...

– Niczego nie udowodnił. Zaliczyłam go na piątkę dzięki czekoladkom, ale ich działanie nie trwa długo. Parę minut temu obudziłam się w rękawicach i jednym bucie. Nie był zawiązany, bo już nie pamiętam, jak się wiąże sznurowadła.

Kathy patrzy na nią z milczącą zgrozą, co Gwendy rozumie, i ze współczuciem, czego nie znosi.

– Na razie jakoś zawiążuję, bo znalazłam w sieci wierszyk, którego się nauczyłam, kiedy byłam w przedszkolu...

– Ten o dwóch myszkach?

Mimo zdenerwowania i strachu Gwendy się śmieje.

– Ty też, co? Tylko że teraz nie pamiętam tego wierszyka. To znaczy... dopóki nie zjem czekoladki.

– Zakładam, że zjadłaś jedną, zanim tu przyszłaś.

Gwendy kiwa głową.

– Ale one są niebezpieczne, jak wszystko, co dotyczy pudełka z guzikami. A pudełko robi się coraz silniejsze w miarę, jak ja słabnę. Kiedy się obudziłam, tuż przed telefonem do ciebie, trzymałam je w rękach i byłam gotowa nacisnąć czarny guzik. Dosłownie dotykałam go kciukiem.

– Dzięki Bogu, że się go pozbędziesz!

– Razem się go pozbedziemy. Ale to nie wszystko. – Gwendy nabiera tchu. – Chcę odejść razem z nim.

Kathy, która podnosiła kubek do ust, odstawia go tak gwałtownie, że kakao chlapie na stół.

– Zwariowałaś?

– No tak. Na tym polega alzheimer. Ale w tej chwili jestem całkiem zdrowa na umyśle. I świadoma. – Gwendy nachyla się do przodu, przygważdża Kathy spojrzeniem. – Razem z pudełkiem znikną czekoladki. Jeśli wciąż tu będę, moja degeneracja będzie postępować bardzo szybko. Zanim wrócimy na Ziemię, może nawet zapomnę, jak się nazywam.

Kathy otwiera usta, żeby zaprotestować, ale Gwendy nie dopuszcza jej do głosu.

– Nawet jeśli nie, to kiedyś zapomnę. Będę nosiła pieluchy. Siedziała we własnych szczytach i gównie, dopóki ktoś nie przyjdzie mnie oporządzić. Gapiła się przez okno w jakimś ekskluzywnym domu opieki w Waszyngtonie albo w Wirginii, nie wiedząc, na co się gapię. Zostanie mi akurat tyle rozumu, żeby wiedzieć, że się zgubiłam i nigdy nie znajdę drogi powrotnej do siebie.

Płacze, ale głos ma spokojny.

– Mogłabym ci powiedzieć, że znajdę sposób, żeby dyskretnie popełnić samobójstwo, kiedy wrócimy na dół, ale wątpię, czy zdobędę się na dyskrecję, i wątpię, czy będę wiedziała, jak to zrobić. Mogę zapomnieć to zrobić. A mam dopiero sześćdziesiąt cztery lata i fizycznie jestem zdrowa. Mogę tak wegetować jeszcze przez dziesięć lat, dopóki nie wykończy mnie zapalenie płuc albo mutacja COVID-u. Może przez piętnaście albo dwadzieścia.

– Gwendy, rozumiem, ale...

– Proszę, nie skazuj mnie na to, Kathy. Posłuchaj. Kiedy byłam małą, rodzice kupili mi teleskop. Całymi godzinami patrzyłam przez niego na gwiazdy i planety, często z ojcem, ale raz z mamą. Patrzyłyśmy na Skorpiona i rozmawiałyśmy o Bogu. Chcę odejść razem z pudełkiem, Kathy. Chcę wycelować minirakieta w stronę Skorpiona i wiedzieć, że kiedyś, za milion lat, naprawdę tam doleczę. – Uśmiecha się. – Jeśli istnieje życie po śmierci... moja mama w to wierzyła... mogę tam być duchem, który powita moje idealnie zachowane ciało.

– Naprawdę rozumiem – zapewnia Kathy. – I zgodziłabym się, gdybym mogła. Ale pomyśl też trochę o mnie, dobrze? Pomyśl, co mnie czeka później. Stracę stopień i pracę... którą kocham... i to nie wszystko. Pewnie pójdę do więzienia.

– Nie. Nie, jeśli wszyscy zgodzą się na to, co wymyśliłam. Sam, Jaff, Reggie, Adesh, Bern i doktor. A zgodzą się, ponieważ wtedy unikniemy dochodzenia, które by zablokowało na rok plany korporacji TET dotyczące eksploracji kosmosu i turystyki. Może na dwa, a nawet pięć lat. TET ściga się teraz ze SpaceX. Myślisz, że nasi ludzie chcą zostać w tyle o całe lata?

Kathy unosi brwi.

– Nie wiem, co ty... – Przerywa. – Winston. Mówisz o Winstonie.

– Tak. Ponieważ każda historyjka, którą wysmażymy, żeby wyjaśnić jego śmierć, będzie podejrzana. Mogą zamknąć MF. Zamrożą wszystkie plany rozwoju turystyki, TET i SpaceX. I przeprowadzą dochodzenie, które obejmie ciebie i całą załogę. – Gwendy bierze oddech, po czym wyklada swojego atutowego asa. Zachowała go na koniec, jak zawsze robiła na burzliwych zebraniach komisji. – I zostają jeszcze ja. Będę przesłuchiwana, a przy moich umysłowych zaćmieniach kto wie, co mogę chlapanąć?

– Jezu Chryste – mruczy Kathy i przegarnia rękami krótkie włosy.

– Ale istnieje rozwiązanie. – Tę zagrywkę również stosowała na przesłuchaniach komisji. Nauczyła się jej od Patsy Follett. Najpierw walnij ich młotem, radziła Patsy, potem podaj środek przeciwbólowy.

– Jakie rozwiązanie? – Kathy patrzy na nią nieufnie.

– Nasz jutrzejszy spacer w kosmosie jest nieautoryzowany, prawda? Nikt o tym nie wie oprócz Charlotte Morgan i załogi Eagle Heavy.

– Racja...

Gwendy bierze łyk kakao. Jakie dobre, i te wspomnienia letnich poranków z ojcem w Castle Rock. Odstawia kubek, po czym z rękami opartymi na udach i dłońmi splecionymi między kolanami nachyla się do przodu.

– Nie wyjdziemy w kosmos – mówi.

– Nie?

– Nie. Gareth i ja wyjdziemy w kosmos bez wiedzy twojej i kogokolwiek z załogi. Postanowiliśmy to zrobić na własną rękę, a ponieważ nie mamy doświadczenia, nie użyliśmy lin ani kabli łączności. Coś poszło źle i po prostu odlecieliśmy w pustkę.

– Dlaczego mielibyście zrobić coś tak idiotycznego?

– Dlaczego znaleziono *Mary Celeste* opuszczoną, ale nietkniętą i zdatną do żeglugi? Co się stało z załogą szkunera *Carroll A. Deering*? – Chwilowo pamięć Gwendy dopisuje; nie myślała o *Carroll A. Deering*, odkąd napisała o tym referat w ósmej klasie. – Nikt nie wie. A jeśli wasza ósemka dotrzyma sekretu, nikt się nigdy nie dowie, dlaczego Winston i ja wybraliśmy się na spacer w kosmosie.

– Hm... – mruczy Kathy. – Żeby tak z zimną krwią...

– Masz działać z zimną krwią.

– To by rozwiązało dwa problemy. Nie musielibyśmy się tłumaczyć z brejowatej śmierci Garetha Winstona ani martwić się, że coś wypaplasz, kiedy... hm... twój stan się pogorszy.

– Charlotte Morgan wam pomoże. Dopilnuje, żeby to ona kierowała przesłuchaniem załogi, i z oczywistych względów zamiecie wszystko pod dywan.

– Tak przypuszczam. Muszę się nad tym zastanowić.

Gwendy bierze Kathy za rękę i lekko ściska.

– Nie – mówi. – Nie musisz.



PO POWROCIE DO SWOJEJ kwatery Gwendy siada przy biurku, otwiera apkę dyktafonu w telefonie i natychmiast zaczyna mówić. Nie ma czasu do stracenia, działanie czekoladki może się skończyć w każdej chwili, ale nie potrzebuje dużo czasu, żeby powiedzieć to, co ma do powiedzenia. Potem pisze krótką notatkę. Przyczepia ją gumką do telefonu i wkłada go do brązowej koperty. Zaczyna ją zamykać, lecz po namyśle dodaje coś jeszcze. Zakleja kopertę i pisze na niej dużymi literami: ADESH.

Wraca do łóżka i zasypia z podwójną nadzieją: że więcej nie przyśni jej się potwór o imieniu Bobby i że kiedy się obudzi, jej umysł obudzi się razem z nią.

SPOTKANIE ZAŁOGI W SALI KONFERENCYJNEJ odbywa się o 6.00. Kathy przedstawia sytuację tak zwięźle i precyzyjnie, że Gwendy nie mogłaby jej dorównać teraz, kiedy czekoladka z zeszłej nocy prawie przestała działać. To inteligentni ludzie i rozumieją. Rozumieją również, że rozwiązanie zaproponowane przez Gwendy oszczędzi im mnóstwa kłopotów, kosztów oraz możliwego przesłuchania w Senacie, gdzie będą bezlitośnie przypiekani na oczach widzów w całym Stanach.

Pozostaje tylko jedno istotne pytanie i zadaje je Reggie Black.

– Co się stanie z ciałem Winstona? Tym, co z niego zostało?

– Wyparuje razem z resztą odpadków, zanim opuścimy stację – odpowiada Sam Drinkwater i wydaje odgłos zasysania: – Puf. Zniknęło.

Nikt nie komentuje.

Na zakończenie zebrania załoga ustawia się w rzędzie. Wszyscy ściskają Gwendy, Adesh jako ostatni.

– Przykro mi – mówi, obejmując ją. – Jesteś taka dzielna. Nie zasługujesz na to i tak mi przykro.

Gwendy odwzajemnia uścisk.

– Mam dla ciebie kopertę. W środku jest mój telefon i wiadomość dla mojego ojca. Przekażesz mu ją?

– To będzie dla mnie zaszczyt.

Adesh ociera oczy, ale łzy – symbole jego smutku i szacunku – unoszą się przed jego twarzą.

– I polecę tam, gdzie dotąd nie poleciała żadna kobieta, więc nie płacz nade mną, Margentyno. – Marszczy brwi. – Tak jest poprawnie? Margentyna?

– Absolutnie – zapewnia ją Adesh. – Absolutnie poprawnie.

7.30.

Na zewnętrznej obwodnicy stacji MF przed każdą ze szprych o parzystym numerze są śluzy, ale Gwendy i Kathy wyjdą na zewnątrz z Eagle Heavy, gdzie powietrze czuć stęchlizną, a trzy załogowe poziomy wydają się opuszczone. Przed włożeniem kombinezonu Gwendy wrzuca do ust zaoszczędzoną czekoladkę.

– Pewnie nie masz jeszcze jednej, co? – pyta Kathy.

Gwendy zastanawia się, wzrusza ramionami, a potem rozwiązuje troczki wyściełanego aluminium worka na ławce obok niej. Wyciąga pudełko z guzikami. Wydaje się teraz apatyczne, zrezygnowane, jakby pogodziło się ze swoim losem, ale Gwendy mu nie ufa. Pociąga za dźwigienkę wydającą czekoladki. Wysuwa się sprytna malutka półeczka, ale jest pusta.

– Przepraszam, Kath. Pudełko z guzikami czasem daje, a czasem nie daje.

– Przyjęłam. Chociaż chciałabym jednej skosztować. Trzymasz się, Gwendy?

Gwendy kiwa głową. Trzyma się znakomicie. Po zjedzeniu czekoladki jest bystra jak górski potok. Kobieta, która napisała na rękawicach LEWA i PRAWA, zniknęła, ale powróci.

A może nie.

– Co cię tak śmieszy? – pyta Kathy. – Uśmiechasz się.

– Nic – odpowiada Gwendy, ale ponieważ wypadałoby powiedzieć coś więcej, dodaje: – Po prostu cieszę się na mój pierwszy spacer w kosmosie.

Kathy nie odpowiada, ale Gwendy czyta w jej myślach: Pierwszy i ostatni.

– Czy na pewno komputery w kontroli misji nie zarejestrują, że otworzyliśmy tutaj śluzę?

– Potwierdzam. Te komputery są wyłączone do naszego powrotu. Żeby oszczędzać energię.

Płyną do śluzy powietrznej, trzymając hełmy pod pachami, i siadają na dwóch ławkach. Jest ciasno – na Eagle Heavy wszędzie jest ciasno – więc stykają się kolanami. Gwendy zaczyna zakładać hełm, ale Kathy kręci głową.

– Jeszcze nie. Najpierw sześćdziesiąt wdechów i wydechów. Ćwiczenia oddechowe, pamiętasz?

Gwendy kiwa głową.

– Żeby się pozbyć azotu.

– Słusznie. Gwendy... jesteś pewna?

– Tak – odpowiada bez wahania.

Wszystko jest ustalone, bajeczka, którą opowiedzą później, przedyskutowana i zaakceptowana przez wszystkich. Gwendy i Winston nie zjawiają się na śniadaniu, ale nikt nie pomyśli, że to dziwne, bo przecież są pasażerami, dodatkowym ładunkiem, i przysługuje im luksus spania do późna. Nikt się nie zaniepokoi przynajmniej do 10.00, a wtedy Kathy wróci już na MF. Zaczną się poszukiwania. Miną co najmniej cztery godziny, zanim Sam Drinkwater zadzwoni na dół z wiadomością, że VIP-y zaginęły i mogły zdryfować w kosmos, kiedy wyszły na zewnątrz. Okropny wypadek, Bóg jeden wie, co im strzeliło do głowy, żeby popełnić taką głupotę, ple, ple, ple.

Gwendy jest trochę zamroczone od szybkiego oddychania. Kathy zapewnia, że to normalne i minie, zanim opuszczą Eagle Heavy. Po dwóch minutach ciężkiego dyszenia oznajmia, że już czas założyć baniak.

– I pamiętaj, komunikacja tylko hełm do hełmu. Nikt nas nie słyszy, wszystko zostaje między nami dziewczętami. Czekam na potwierdzenie.

– Potwierdzam – mówi Gwendy i zakłada hełm.

Kathy próbuje jej pomóc, ale ona protestuje, machając ręką; sama zakłada hełm i wypatruje zielonego światełka na małym panelu kontrolnym na wysokości ust.

Kiedy je widzi, wciąga rękawice, uszczelnia je i czeka na drugie zielone światelko. Daje znak podniesionym kciukiem i robi kółko z palców.

Kathy odwzajemnia ten gest, zamyka drzwi do Eagle Heavy i siedzą, czekając na dekompresję śluzy.

– Odbierasz mnie, Gwendy?

– Głośno i wyraźnie.

– Nastaw temperaturę skafandra na maksimum, a potem ją obniż.

– Jak długo utrzyma się ciepło?

– W teorii tak długo, jak wystarczy powietrza do oddychania, niecałe sześć godzin. Temperatura może nawet utrzymać się dłużej, ale... – Wzruszenie ramion mówi resztę: „Ale już tego nie poczujesz”.

Talię Gwendy otacza pas z dwoma zwykłymi karabinkami wspinaczkowymi. Przywiązuje do jednego sznurek od worka zawierającego pudełko z guzikami. Kathy przyczepia do drugiego linę asekuracyjną. Teraz są związane niczym nurkowie: instruktor i uczeń.

– Gotowa do wyjścia? – pyta Kathy.

Gwendy znowu pokazuje podniesiony kciuk i kółko. O tak, bardzo gotowa, myśli. Czekałam na to, odkąd po raz pierwszy spojrziałam przez mój teleskop, ponad pięćdziesiąt lat temu. Po prostu o tym nie wiedziałam.

– Nie czekaj za długo z opuszczeniem zewnętrznego wizjera. Nocne przejście kończy się za mniej więcej siedem minut.

– Przyjęłam.

Kathy obraca wielką czerwoną dźwignię na środku zewnętrznych drzwi śluzy, a potem ją pociąga.

7.48.

Śluza powietrzna otwiera się na gwiazdy.

WYLATUJĄ W PRÓŻNIĘ ZŁĄCZONE LINĄ. Gwendy słyszy własny oddech i oddech Kathy przez komunikator w hełmie. Obok nich jest Eagle Heavy i Gwendy widzi, że ktoś z obsługi naziemnej napisał na kadłubie markerem drukowanymi literami: POWODZENIA, LUDZIE. Pod nimi jest Ziemia, błękitna i poznaczona pasmami chmur, nad jej potężnym ramieniem rośnie złoty nimb. Oto wschodzi słońce, myśli Gwendy.

Kathy prowadzi je powoli w dół, korzystając z zagłębionych uchwytów na burcie Eagle Heavy. Im bliżej dołu, tym bardziej uchwyty są osmalone od płomienia silników rakietowych, który buchał, kiedy Kathy ustawiała statek do dokowania.

Po drodze mijają luki oznakowane literami od A do E. Ostatni, F, znajduje się tuż nad dyszami silników. To jedyny z klawiaturą; pozostałe można otworzyć zwykłym kluczem nasadowym. Kathy musi zanurkować pod panel słoneczny, żeby się dostać do panelu F. Podnosi pleksiglasową osłonkę klawiatury i wstukuje kombinację, którą podała jej Gwendy. Tę samą, która otwierała kasetkę z napisem ŚCIŚLE TAJNE.

Gwendy uśmiecha się na widok tego, co wyciągnęła Kathy. Minirakieta ma metr osiemdziesiąt długości, może trochę mniej. W oczach Gwendy wygląda niemal dokładnie jak pojazd, który przywiózł na Ziemię Kal-Ela, czyli małego Supermana. Jej ojciec oddał większość swoich komiksów (albo je zgubił), ale znalazła na strychu pudło ze starymi komiksami o Supermanie i czytała je namiętnie po kilka razy.

Kathy przesuwa minirakieta do góry między nimi. Na wierzchu jest luk zamykany na zwykłe zatrzaski, nie bardziej skomplikowane niż zapięcia na

pudełku z lunchem, które Gwendy zabierała do szkoły jako ośmiolatka. Kathy otwiera je, sięga do środka i wyjmuję sterownik podobny do tego, którego użyła Gwendy, żeby wypuścić Borisa w laboratorium Adesha. Ale ten jest mniejszy i ma tylko dwa guziki.

Następne pudełko z guzikami, myśli. Jestem skazana na te cholerstwa.

Kathy podnosi zewnętrzny wizjer i Gwendy widzi, że dowódczyni się boi. Chociaż nigdy nie widziała pudełka z guzikami w akcji, jest śmiertelnie przerażona. Wyraz jej twarzy wystarczy, żeby Gwendy odczepiła worek od karabinka. Czuje w środku krawędzie pudełka z guzikami.

*Nie, szepcze w jej głowie stwór zwany Bobbym. Nie rób tego. Wieża musi runąć. Rządź, Discordio!*

Gwendy przypomina sobie zmęczoną twarz Richarda Farrisa, kiedy mówił: *Jakże się go brzydzę.*

– Pocałuj mnie w dupę! – burczy do Bobby’ego.

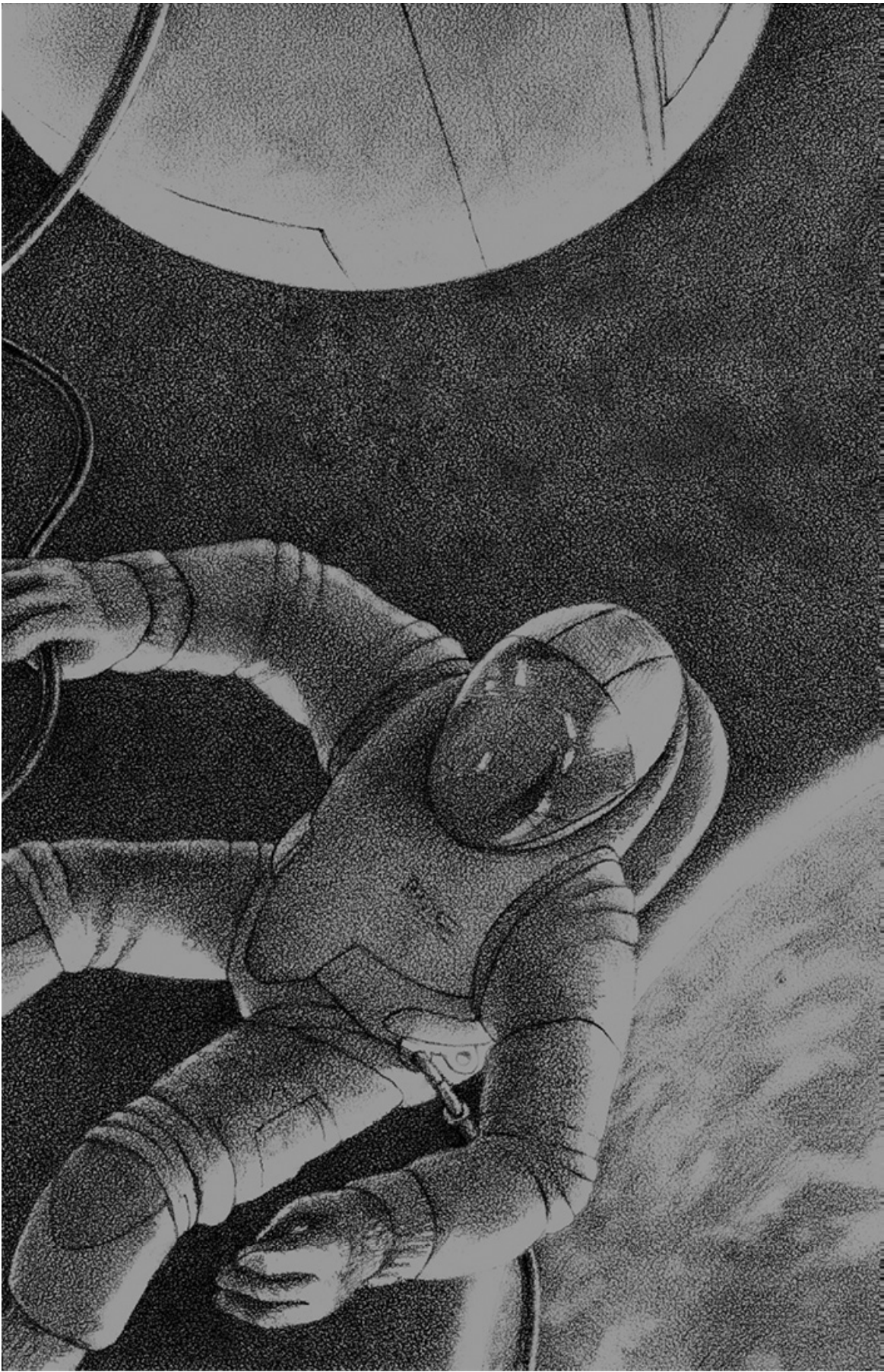
Nie wkłada pudełka z guzikami do brzucha minirakiety; wbija je do środka.

– Słucham? – pyta Kathy.

– Nie mówiłam do ciebie – odpowiada Gwendy i zatrzaskuje klapę.

Tymczasem sterownik odpływa. Gwendy sięga po niego, ale w tej samej chwili słońce wyłania się zza krzywizny ziemskiego horyzontu i oślepia ją. Jednak o czymś zapomniała: opuścić zewnętrzny wizjer. Zatrzaskuje go, spanikowana. Jeśli zgubią sterownik...





Ale Kathy łapie go w ostatniej chwili, zanim zdryfował poza ich zasięg, i podaje go Gwendy.

– Ostatnia szansa, kochana. Nie musisz odlecieć razem z nim.

– Nie muszę – zgadza się Gwendy. – Ale odleczę. Tak postanowiłam. Przytul mnie, Kathy. Pewnie to śmieszne, ale tego potrzebuję.

Obejmują się niezdarnie w pękatych kombinezonach, a wschodzące słońce zamienia ich wizjery w prostokątne kałuże bursztynowego ognia. Potem Kathy ją puszcza, odpina od talii linę asekuracyjną i przyczepia koniec do półkolistego uchwytu na zaokrąglonym dziobie minirakiety. Gwendy przypuszcza, że ten wygodny uchwyt pomógł operatorowi dźwigu włożyć raketę do luku F.

– Silnik ma nuklearne zasilanie – oznajmia Kathy.

– Wiem – rzuca Gwendy.

– I jest nie większy od paczki papierosów – mówi dalej Kathy, jakby jej nie słyszała. – Cud technologii. Wciśnij górny guzik, żeby go odpalić. Natychmiast zaczniesz się poruszać, ale bardzo powoli... jak samochód na niskim biegu. Rozumiesz?

– Tak.

– Stuknij w dolny guzik i przyspieszysz. Za każdym razem, kiedy w niego stukniesz, przyspieszysz bardziej. Nadążasz za mną?

– Tak. – Gwendy rozumie, ale patrzy na gwiazdy. Och, są wspaniałe. Jak można spoglądać na tę feerię światła i nie wierzyć, że życie jest cudowną tajemnicą?

– Nie ma systemu naprowadzania. Żadnego dżojstika. Jak już ruszysz, będziesz po prostu lecieć dalej i nie będziesz mogła zawrócić. Nie będziesz mogła zawrócić, Gwendy. Rozumiesz?

– Tak.

– No więc dobrze. – Kathy sięga za siebie i łapie jeden z uchwytów. Wkrótce podciągnie się na nich z powrotem, kopiając nogami jak nurek wynurzający się na powierzchnię. Z powrotem do ciepła i światła, i towarzystwa załogi. – Jeśli spotkasz jakichś obcych, przekaż im pozdrowienia od Kathy Lundgren.

– Przyjęłam – mówi Gwendy i saltuje. Sześć godzin, myśli. Zostało mi sześć godzin życia.

– Niech Bóg cię błogosławi, Gwendy.

– I ciebie.

Nie zostało już nic do powiedzenia, więc Gwendy naciska górny guzik na swoim ostatnim pudełku z guzikami. U podstawy minirakiety rozjarza się nikły czerwony pierścień, słaby blask, niemogący się równać ze splendorem słońca. Czy wydziela szkodliwe promieniowanie? Prawdopodobnie, ale jakie to ma znaczenie?

Lina asekuracyjna, dotąd zwisająca luźno, rozciąga się, napręża, a potem Gwendy oddala się od Eagle Heavy pod zewnętrznym pierścieniem stacji Many Flags. Wie, że nikt nie patrzy, ale i tak macha na pożegnanie. Potem stacja zostaje z tyłu. Gwendy dwukrotnie stuka w guzik przyspieszenia, lekko, i zaczyna poruszać się szybciej, leci, leżąc płasko z rozłożonymi nogami za minirakieta. To trochę jak surfowanie, ale właściwie nie przypomina niczego, co dotąd przeżyła. Nikt jeszcze czegoś takiego nie przeżył, myśli i się śmieje.

– Gwendy? – Głos Kathy jest coraz słabszy. Wkrótce całkiem ucichnie. Stacja MF już odpływa, błyszczy w słońcu jak klejnot w pępku Ziemi. – Dobrze się czujesz?

– Wspaniale – odpowiada Gwendy i naprawdę tak się czuje.

Wspaniale.

## PIĘĆ GODZIN PÓŹNIEJ.

Teraz jest przed nią tylko czerwony pierścień nuklearnego napędu minirakiety, ciągnącej ją stopniowo coraz dalej w czerń. Przypomina jej samochodową zapalniczkę w starym chevrolecie ojca. Wśród kilkunastu cyfrowych wskaźników w jej hełmie jest też miernik temperatury wskazujący, że na zewnątrz jest minus dwieście sześćdziesiąt stopni, ale w kombinezonie jest ciepło i przyjemnie, dwadzieścia dwa stopnie. Zapas tlenu skurczył się do siedemnastu procent. To już nie potrwa długo. Oczywiście wśród wskaźników nie ma szybkościomierza, więc Gwendy nie wie, z jaką prędkością się przemieszcza. Prawie wcale nie ma wrażenia ruchu. Kiedy ogląda się przez ramię (to niełatwe w kombinezonie, ale możliwe), Ziemia wygląda dokładnie tak samo – duża, błękitna i piękna – ale stacja MF znikła bez śladu.

Gwendy znowu patrzy przed siebie, na Drogę Mleczną. Chciałaby, żeby najjaśniejszy był Skorpion, ale jest prawie pewna, że to Syriusz, znany również jako Psia Gwiazda, ponieważ jest częścią gwiazdozbioru Canis Major. Przypomina jej się serdelkowaty pies jej ojca, Pippin. Tylko że chyba coś przekręciła.

– Pippa – szepcze. – Jamniczka Pippa.

Znowu traci rozum. Osacza ją mgła.

Gwendy wbija wzrok w Syriusza, który znajduje się mniej więcej na dziesiątej godzinie w jej polu widzenia. Druga gwiazda na prawo i prosto aż do rana, myśli. Z czego to jest? Jaś i Małgosia, prawda? Ale to się nie zgadza. Przetrzęsa gasnący umysł w poszukiwaniu właściwej bajki czy opowieści i wreszcie znajduje: Piotruś Pan.

Zostało już piętnaście procent tlenu i teraz nie wiadomo, co się szybciej skończy: powietrze do oddychania czy zdolność logicznego myślenia. Tylko że Gwendy nie chce odejść w ten sposób, nie wiedząc, gdzie jest... a jeśli nawet wie (raczej trudno pomylić przestrzeń kosmiczną z przystankiem autobusowym w Castle Rock), to nie pamięta, dlaczego tu jest. Chciałaby odejść, wiedząc, że wszystko stało się z jakiegoś powodu. Że w końcu wykonała zadanie, które jej wyznaczono. Że uratowała świat.

– Wszystkie światy – szepcze. – Bo istnieje nie tylko nasz świat.

Nie musi odejść otumaniona i zagubiona i nie musi odejść zmarznięta i drżąca, jeśli ogrzewanie wysiadzie, zanim skończy jej się powietrze. (Niejasno pamięta, że Carol – jeśli tak miała na imię – wspomniała, że ogrzewanie będzie działać dłużej, ale temperatura wewnątrz kombinezonu zaczęła już spadać stopień po stopniu). Gwendy wybiera inną opcję.

Tylko jedno ją rozczarowało. W 1984 roku Richard Farris, który dziesięć lat wcześniej dał jej pudełko z guzikami, przyszedł je odebrać. Usiedli razem w jej małej kuchni. Jedli ciasto kawowe i popijali mlekiem, jak starzy przyjaciele (w pewnym sensie byli przyjaciółmi), i pan Farris przepowiedział jej przyszłość. Powiedział, że zostanie przyjęta na warsztaty pisarskie w Iowa, i miał rację. Powiedział, że otrzyma nagrodę („Włóż swoją najładniejszą sukienkę, kiedy będziesz ją odbierać”), i otrzymała. Nie Nobla, ale na Najlepszą Książkę „Los Angeles Times” też nie można kręcić nosem. Powiedział, że Gwendy ma wiele rzeczy do powiedzenia światu i świat będzie słuchał, i to proroctwo się spełniło.

Ale tajemniczy pan Farris w meloniku nie uprzedził jej, że zakończy życie pełne ciepła i miłości w lodowatej kosmicznej próżni. I obiecał, że będzie żyła długo. Sześćdziesiąt cztery lata to już nie młodość, ale Gwendy nie uważa tego za wiek podeszły (choć w 1984 roku z pewnością by tak myślała). Powiedział jej, że umrze wśród przyjaciół, nie samotna w kosmosie i wciągana coraz dalej w pustkę przez miniaturową rakietę, która będzie leciała bez końca, bo paliwa wystarczy na lata, a potem zadziała siła inercji.

*Umrzesz w ładnej koszuli nocnej z niebieskimi kwiatkami na obrąbku, powiedział jej Farris. Słońce będzie ci świecić w okno i zanim odejdziesz, zobaczysz stado ptaków lecących na południe. Ostatni obraz piękna świata. Będzie trochę boleć. Nie bardzo.*

Tutaj nie ma przyjaciół, ostatnich zostawiła daleko za sobą.

Kosmiczny kombinezon zamiast ładnej koszuli nocnej.

I z pewnością żadnych ptaków.

Nawet słońce na razie zniknęło, tymczasowo zasłonięte przez Ziemię. I czy ona płacze? Cholera, tak. Łzy nawet nie unoszą się w powietrzu, ponieważ działa na nie przyspieszenie. Ale wizjer zaparowuje od łez. Gwiazda, którą oglądała – Rigel? Deneb? – rozmywa się.

– Panie Farris, skłamał pan – mówi Gwendy. – Może nie zobaczył pan prawdy. Albo może pan zobaczył i nie chciał, żebym musiała z nią żyć.

*Nie kłamałem, Gwendy.*

Jego głos, tak wyraźny jak wtedy, kiedy siedzieli w jej kuchni czterdzieści dwa lata temu, jedząc ciasto kawowe i popijając mlekiem.

*Wiesz, co robić, i w mózgu zostało ci dosyć tej ostatniej czekoladki, żeby wystarczyło ci na to czasu.*

Przez zawór po lewej stronie hełmu Gwendy zaczyna wypuszczać resztę powietrza z kombinezonu. Zostawia za sobą zamarznąłą chmurę. Wizjer się oczyszcza i Gwendy znowu widzi tę gwiazdę: nie Rigel, nie Skorpion, tylko Syriusz. Druga gwiazda po prawej.

Ogarnia ją jakby uniesienie, kiedy wdycha resztki rzadziejającego powietrza.

*Leżę teraz w łóżku i jestem stara – mam znacznie więcej niż sześćdziesiąt cztery lata. Ale ludzie, którzy mnie otaczają, są piękni i młodzi. Nawet Patsy Follett jest znowu młoda. Jest tu Brigitte Desjardin... Sheila Brigham... Norris Ridgewick... Olive Kepnes jest tutaj i...*

– Mamo? Wyglądasz najwyżej na dwadzieścia lat!

– Wiesz, kiedyś miałam dwadzieścia lat – mówi ze śmiechem Alicia Peterson. –  
Chociaż może trudno ci w to uwierzyć. Kocham cię, skarbie.

A teraz widzi...

– Ryan? To naprawdę ty?

On bierze ją za rękę.

– To ja.

– Wróciłeś!

– Nigdy nie odszedłem. – Ryan nachyla się, żeby ją pocałować. – Ktoś chce się  
pożegnać.

Odsuwa się na bok, żeby przepuścić pana Farrisa, który już nie jest chory.  
Wygląda jak człowiek, którego Gwendy zobaczyła po raz pierwszy na ławce obok  
placu zabaw w parku Castle View, kiedy miała dwanaście lat. W ręce trzyma  
kapelusz.

– Gwendy. – Dotyka jej policzka. – Dobra robota. Świetnie się spisałaś.

Gwendy już nie jest w kosmosie. Jest starą kobietą, leżącą w łóżku z jej  
dzieciństwa. Ma na sobie ładną koszulę nocną z niebieskimi kwiatkami na obrąbku.  
Wypełniła swój obowiązek, a teraz może odpocząć. Może się odprężyć.

– Wyjrzyj przez okno! – mówi Farris i pokazuje coś.

Gwendy wygląda przez okno. Widzi stado ptaków. Potem ptaki znikają i widzi  
pojedynczą jaśniejącą gwiazdę. To Skorpion, a za nim jest niebo. Całe niebo.

– Druga gwiazda po prawej – odzywa się Gwendy resztką tchu. Uśmiecha się. –  
I prosto aż... prosto aż...

Oczy jej się zamykają. Minirakieta z pudełkiem z guzikami w brzuchu pędzi  
dalej w kosmos i będzie tak pędzić przez następne dziesięć tysięcy lat, holując za  
sobą postać w kosmicznym kombinezonie.

– Prosto aż do rana.

## EPILOG

PEWNEGO WIECZORU JAKIŚ CZAS po opisanych wydarzeniach ojciec Gwendy Peterson siedzi przy oknie w domu opieki, gdzie mieszka – bardziej kruchy, bardziej chwiejny, ale jak sam powtarza, „nieźle się trzyma jak na swoje lata”. Wygląda przez okno na gwiazdy i myśli, że gdzieś tam wśród ich nieskończonej mnogości jego córka odbywa swoją pielgrzymkę. Na kolanach trzyma jej telefon, który dostał od miłego Hindusa, niejakiego Adesha Patela.

Patsy Follett, mentorka Gwendy, może nie wymyśliła tak wielu dowcipnych powiedzonek jak Oscar Wilde, ale całkiem sporo. Jedno z nich brzmiało: „Skandal żyje przez sześć miesięcy. Skandal owiany tajemnicą żyje przez sześć lat”. Minęły dopiero trzy lata, odkąd senator Peterson i pewien miliarder zaginęli w kosmosie, ale natłok bieżących wydarzeń wyparł ich ze świadomości ogółu. Jednak nie ze świadomości pana Petersona. Strasznie jest przeżyć jedyne dziecko i tylko dwie rzeczy łagodzą ból jego straty: myśl, że sam już długo nie pociągnie i że na pociechę ma jej głos. Jej ostatnie nagrane słowa. Świat nie musi wiedzieć, że jego córka umarła śmiercią bohatera; panu Petersonowi wystarcza, że on wie.

Tydzień po niespodziewanej wizycie Adesha Patela odwiedziła Alana Petersona jeszcze jedna osoba. Tym razem kobieta. Dzienny kierownik Domu Opieki Castle View – wyniosły mały człowieczek z cienkim jak ołówek wąsikiem, nalegający, żeby pensjonariusze zwracali się do niego „panie Winchester” – wkroczył na oszkloną werandę, gdzie Alan grał w kierki z Ralphem Mirarchim, Mickiem Meredithem i Homerem Baliko. Przedstawił wysoką blondynkę górującą nad jego ramieniem jako zastępcę dyrektora CIA Charlotte Morgan. Pospiesznie wygonił pozostałych mężczyzn z werandy, złożył komiczny półukłon przed gościem i zostawił ich samych.



Kobieta rzuciła panu Petersonowi ubawione spojrzenie, które mówiło: „Przykro mi, że pan tu utknął z takim patentowanym osłem”, i usiadła naprzeciwko.

– Proszę mi mówić Charlotte, panie Peterson. Jestem dawną i serdeczną przyjaciółką pana córki.

– W takim razie mów mi Alan. – Potarł siwą szczecinę na podbródku, żałując, że rano się nie ogolił. Ta pani to niezła laska. – I nie przypuszczam, że przyjechałaś z tak daleka, żeby rozmawiać o szpiegach i polityce zagranicznej.

– Nie, nie dzisiaj. – Uśmiechnęła się i dotknęła jego ręki. – Ale mam ci coś ważnego do powiedzenia. Coś ściśle poufnego i musisz obiecać, że nikomu tego nie powtórzysz.

Alan podniósł prawą rękę.

– Tak mi dopomóż Bóg.

– To mi wystarczy.

Szybko obejrzała się przez ramię, żeby sprawdzić, czy nadal są sami na werandzie. Pan Peterson, który nagle poczuł się tak, jakby grał drobną rolę w szpiegowskim filmie z Jamesem Bondem, zrobił to samo. Kiedy znowu spojrzał na dawną przyjaciółkę córki, ze zdumieniem zobaczył, że w jej oczach błyszczą łzy.

– Mogę stracić pracę i wylądować w więzieniu za to, co ci powiem, ale mam to gdzieś. Kochałam Gwendy. Była dla mnie jak rodzina.

– Cokolwiek to jest, zabiorę to ze sobą do grobu. – I pewnie prędzej niż później, pomyślał ze szczyptą czarnego humoru.

– Twoja córka nie wymknęła się na zakazany spacer w kosmosie. Każdy, kto ją naprawdę znał, wie, że to bzdura. – Wzięła głęboki oddech jak ktoś, kto wie, że przekracza punkt bez odwrotu, i kontynuowała: – Gareth Winston był złym człowiekiem, panie Peterson. I wbił sobie do głowy bardzo zły pomysł... niebezpieczny pomysł. Gwendy dowiedziała się o tym i powstrzymała go, zanim było za późno. Poświęciła życie, żeby inni ludzie... miliony innych... mogli żyć. Pewnie to brzmi strasznie pompatycznie, ale przysięgam, że to prawda.

Kiwnął głową.

– To podobne do naszej Gwendy.

– Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jakiej trzeba odwagi, żeby zrobić to, co ona. Ale swoją ostatnią misję wypełniła dobrowolnie i wierzę, że żałowała tylko jednego: że nigdy nie wróci do domu i nigdy więcej pana nie zobaczy. Ciągle mówiła o panu i pańskiej żonie. Uwielbiała pana, panie Peterson.

– Z wzajemnością – odparł zdławionym, znużonym głosem.

Wspomnienie tej wizyty już zaciera się w jego umyśle, kiedy patrzy na iPhone'a leżącego na jego kolanach. I jak robił już wiele razy, naciska guzik PLAY i zamyka oczy.

Cześć, tato.

Nie mam wiele czasu, ale chcę ci powiedzieć, że przepraszam. Proszę, nie smuć się za bardzo i cokolwiek zrobisz, nie trać ani jednej cennej minuty na gorycz czy gniew. I nieważne, co usłyszysz albo zobaczysz w wiadomościach, pamiętaj jedno: miałam zadanie do wykonania, ważne zadanie, i wykonałam je najlepiej, jak umiałam. Dawno temu, kiedy byłam małą dziewczynką z kucykami, biegającą po placu zabaw w parku Castle View, powiedziałeś mi coś, czego nigdy nie zapomniałam: kiedy stoisz przed wyborem, czy zrobić, co należy, czy nic nie robić, robisz to, co należy. Za każdym razem. Jestem taka dumna, że jestem twoją córką. Nigdy nie było lepszego ojca. Proszę, uśmiechaj się, kiedy o mnie myślisz. Proszę, pamiętaj dobre chwile. Jakie mieliśmy szczęście, ty, ja i mama! Trzej muszkietierowie, tak nas nazywała. Okay, lepiej już pójdę. Wiesz, jak nie znoszę się spóźniać. Żegnaj na razie, kochany. Kocham cię całym sercem i na pewno spotkamy się znowu. Mama, ty i ja. Zostawiłam ci małą niespodziankę w kopercie. Teraz jest twoje. Opiekuj się nim dobrze. Jest niezwykle. Można nawet powiedzieć, że jest...

– Magiczne – szepcze w ciszy ciemnego pokoju.

Alan Peterson wyjmując z kieszeni szlafroka małe białe piórko. Teraz nigdy się z nim nie rozstaje. Patrzy na nie, wspominając, a potem kładzie je na parapecie okiennym przed sobą. Natychmiast oblewa je księżycowa poświata barwy kości słoniowej. Wzrok Alana ponownie przyciąga nocne niebo za oknem. Tej nocy jest tyle gwiazd. Choć dąb częściowo zasłania widok, Alan widzi Drogę Mleczną i gwiazdozbiór Taurusa, Byka. Nad najwyższymi gałęziami myśliwy Orion spogląda na niego z góry. Nagle w myślach pana Petersona, nieproszone, pojawiają się słowa. Nie ma pojęcia, skąd się wzięły ani co znaczą, ale podoba mu się ich brzmienie tak bardzo, że wymawia je na głos:

– Istnieją inne światy oprócz tego.

Siedząc przy oknie i wpatrując się w nieskończoną ciemność, myśli, że łatwo w te słowa uwierzyć.

Po chwili zasypia i zaczyna śnić.

## O AUTORACH

**STEPHEN KING** Wybitny amerykański pisarz, nazywany Królem Horroru, został w 2003 r. uhonorowany prestiżową nagrodą Literacy National Book, a w 2015 r. odebrał z rąk prezydenta USA National Medal of Arts. Światową sławę przyniosła mu powieść *Carrie*. Kolejne utwory – powieści, opowiadania i komiksy – opublikowano w setkach milionów egzemplarzy i przełożono na kilkadziesiąt języków. Są wśród nich tak znane książki, jak: *Lśnienie*, *Sklepik z marzeniami*, *Bastion*, *Zielona Mila*, *Desperacja*, *Komórka*, *Czarna bezgwiezdna noc*, *To*, *Cujo*, *Instytut*, *Później*, trylogia kryminalna z Billem Hodgesem (*Pan Mercedes*, *Znalezione nie kradzione* i *Koniec warty*), a także ośmiotomowy cykl fantasy *Mroczna Wieża*.

[stephenking.com](http://stephenking.com)

**RICHARD CHIZMAR** jest współautorem (ze Stephenem Kingiem) bestsellerowej krótkiej powieści *Pudełko z guzikami Gwendy*. Jego ostatnie książki to *The Long Way Home*, czwarty zbiór opowiadań, i *Widow's Point*, napisana wspólnie z synem, Billym Chizmarem, mrożąca krew w żyłach opowieść o nawiedzanej latarni morskiej, niedawno sfilmowana. Jego krótkie utwory pojawiały się w licznych publikacjach, między innymi na łamach „Ellery Queen's Mystery Magazine” i w zbiorze *The Year's 25 Finest Crime and Mystery Stories*. Otrzymał dwie nagrody World Fantasy, cztery nagrody od International Horror Guild i jedną od Horror Writers Association Board of Trustees.

Utwory Chizmara przetłumaczono na ponad piętnaście języków, a on sam występował na licznych konferencjach jako instruktor pisania, gościnny prelegent, dyskutant i gość honorowy.

Znajdźcie go na Twitterze @RichardChizmar albo odwiedźcie jego stronę internetową: [Richardchizmar.com](http://Richardchizmar.com).

## ILUSTRATORZY

**BEN BALDWIN** jest artystą i ilustratorem, który posługuje się różnymi środkami wyrazu, od fotografii i komputerowych programów plastycznych do bardziej tradycyjnych technik malarskich i rysunkowych. Tworzył projekty okładek do książek i ilustracje do magazynów dla licznych klientów na całym świecie, a także unikatowe rysunki i obrazy na prywatne zamówienia.

**KEITH MINNION** sprzedał swoje pierwsze opowiadanie do „Asimov’s SF Adventure Magazine” w 1979 roku. Od tamtego czasu opublikował ponad dwadzieścia opowiadań, dwie nowele, album swoich najlepszych ilustracji, dwa zbiory opowiadań i jedną powieść. Od wczesnych lat dziewięćdziesiątych przez ponad dwie dekady był redaktorem i ilustratorem książek, a także wykonywał obszerne projekty graficzne dla Departamentu Obrony. Jest byłym nauczycielem, zarządzającym projektami w Departamencie Obrony oraz oficerem marynarki wojennej USA. Obecnie mieszka w dolinie Shenandoah w Wirginii, maluje akwarelami i olejami, a niekiedy nawet pisze fikcję.